

NOWA POLSKA

MIESIĘCZNIK

TOM III

NEW POLAND MONTHLY

ZESZYT 8

LONDYN

SIERPIEŃ

1944

W CHWILI ROZSTRZYGNIEĆ

*The good life is one inspired
by love and guided by knowledge.*

Bertrand Russell.

Ludzie nauki rzadko wchodzą w czynne życie polityczne. W ich świecie i w ich pracy inne, szlachetniejsze obowiązują prawa. Niechętnie porzucają oni czystą atmosferę naukowych badań dla wrzawy zebrań wyborczych a brak ścisłych kryteriów zniechęcał ich do brania udziału w dyskusjach politycznych. Dziś jednak udział ludzi nauki w organizowaniu życia zbiorowego staje się sprawą pierwszorzędnego znaczenia. Znaleźliśmy się bowiem w sytuacji, która daje nie tylko siłę zrozumienia zjawisk, ale i moc twórczą. Trzeba pamiętać i powtarzać zawsze że panujemy nad siłami natury, że żyjemy w potencjalnej erze obfitości i tylko od nas samych zależy stworzenie lepszego, pełniejszego i sprawiedliwszego świata.

Wiedza przyczyniła się do zmiany warunków życia ludzkiego na ziemi, a nie przyczyniła się do dostosowania życia ludzkiego do form nowych.

Mówiąc o roli nauki w organizowaniu życia nie myślimy oczywiście tylko o ulepszeniu środków produkcji czy rozdziału, o biologicznej opiece nad gatunkiem ludzkim. Nauka stanęła dziś wobec konieczności wypracowania środków do przystosowania się człowieka do nowych, zrodzonych przez cywilizację techniczną warunków życia.

Jest rzeczą oczywistą, że wszelkie takie próby nie mogą mieć miejsca w świecie wojen i przygotowań wojennych. Ulepszanie życia między jednym kataklizmem wojennym a nowym wybuchem coraz potężniejszych sił niszczycielskich, podobne się wydaje do pracy maniaaka zajętego przestawianiem mebli w domu objętym pożarem.

Nie żądamy od nauki życia zbiorowego zadań zbyt uniwersalnych, lecz w pierwszym rzędzie żądamy by opanowała ona kataklizmy wojenne i sprowadziła dobrobyt. Już wtedy wolno nam oczekiwać zmian ogromnych i płodnych.

Przeciwnicy ingerencji myśli naukowej w sprawy organizacji życia powołują się najchętniej na niezmiennność natury ludzkiej. Możemy zmienić — mówią oni — świat materii, ale natura ludzka jest od tysiącleci niezmienna. Warto tu zacytować słowa, które Norman Angell wypowiedział już z górami trzydzieści lat temu: „Jeśli pragniecie mnie przekonać, że człowiek paleolitu, który pożerał ciała swych wrogów i własnych dzieci niczym nie różni się od Henryka Spencera, trud tych wywodów będzie trudem daremnym”. Od czasów gdy słowa te wyszły spod pióra Normana Angell, przeciwnikom postępu przyszedł z pomocą faszyzm i hitlerizm. „Gdzież jest postęp — wołają oni — jeśli ludy cywilizowanej Europy zdolne są do okrucieństw straszliwszych, niż człowiek pierwotny”. Jest to argument o sile pozornej.

Bohaterowie Homera, bohaterowie Plutarcha, Danta, Szekspira wygłaszając długie przemowy pełne gestów i retoryki są dla nas, ludzi wieku dwudziestego, wystylizowanymi postaciami historii. Nie byli jednak takimi w oczach współczesnych. Tak mówiono, działano, reagowano naprawdę, realnie i to co nam wydaje się umownym językiem teatru było w owych czasach stylem życia, było obyczajem. Nasz obyczaj jest odmienny. Wychowanie nakazuje nam panować nad uczuciami, reagować spokojnie na ciosy i człowiek dzisiejszy nie wie nawet o ile zmienił się w swej istocie, wydoskonił.

Podobnie upadają instytucje, obyczaje i przesady zda się nie do pokonania, nie do zmienienia. W tym miejscu sceptycy chcą ciągle dowodzić, że polepszeń natury ludzkiej nie ma, powołują się na swoistą formę gwałtu, jaką są roboty przymusowe. Jest to istotnie swoista forma niewolnictwa, ale wprowadzona przez tych, którzy właśnie chcą świat cofnąć w rozwoju.

Marksiści z kolei twierdzą, że miast starożytnej formy niewolnictwa istnieje nowożytna, którą pieniądź wprowadził, niewolnictwo kapitalizmu. I im z kolei odpowiedzieć wypada, że forma niewolnictwa prywatnego nie pokrywa się z niewolnictwem kapitału, bo niewolnik pieniądza istniał zawsze obok niewolnika-rzeczy, istoty bezosobowej.

Stwierdzić trzeba, że mimo groźnych nawrotów, mimo reakcji, które przesłaniają obraz, ludzkość doskonali się. Stąd nie ma miejsca na stanowisko niepoprawialności natury ludzkiej, stanowisko, które pokrywa zawsze bądź głupotę, bądź lenistwo myśli, bądź po prostu złą wolę w patrzeniu na rzeczy świata.

Postęp nie idzie drogą równomiernego wznoszenia się i wie o tym każdy człowiek zajmujący się naukami przyrodniczymi. Postęp ludzkości jest postępem miłosierdzia. W tym kierunku

od czasu paruset pokoleń ludzkich, jakie znamy w przybliżeniu, nie podjęto żadnej naukowej próby, lecz jedynie próby moralno-etyczne. A już te wykazały że wielu okrucieństw i przesądów można człowieka oduczyć. Czas to zresztą krótki w porównaniu do istnienia naszego na ziemi. Sceptycyzm nasz w stosunku do człowieka oparty jest na bardzo nikłym materiale.

Przeciwnicy naukowej, humanitarnej organizacji życia chętnie wracają dziś do Rousseau'a i w powrocie do natury widzą drogę ocalenia. Ale cóż jest naturalną funkcją człowieka i jaki jest jej zasięg? Dwa i pół tysiąca niemal lat przed Rousseau'em — Lao-Tse nawoływał do powrotu na łono natury. Drogi, wozy na kołach i łodzie na rzekach wydawały mu się wymysłem sztucznym i oddalającym życie ludzkie od prostoty funkcji naturalnych. W oczach Rousseau'a te właśnie akcesoria opromienione były urokiem sielanki, opiewał ich urok i widział w nich niemal już elementy natury. Czy w czasach dzisiejszych powrót od samolotu do kolei żelaznych, od samochodu do roweru — jest powrotem do natury? Czytelnicy gazet pamiętają prawdopodobnie jak wielki przeciwnik cywilizacji technicznej Ghandi w wypadku zapalenia ślepej kiszki zwrócił się o pomoc nie do znachorów ale do nowoczesnego szpitala angielskiego. Wyrzekanie się zdobyczy postępu technicznego prowadzi do obłądki, lub do marazmu. Drogą rozsądniejszą jest opanowanie tego postępu, z którym jesteśmy związani nierozzerwalnie.

Nigdy chyba bardziej Heraklitowe „panta rei” nie miało głębszego niż dziś znaczenia. Płynność i zmienność form jest coraz szybsza i trzeba śmiałych i natychmiastowych decyzji, aby świat powstrzymać na równi pochyłej straszliwych niebezpieczeństw cywilizacji technicznej. Jak dotąd umiemy je jeszcze zwalczać, lub zabezpieczać się przed nimi. Pamiętajmy jednak że poprzednia wojna przyniosła nam tylko tanki, samoloty i gazy. Wojna obecna udoskonaliła dawne maszyny zniszczenia i wiele jest oznak, że pozostawi w spadku nowe znacznie groźniejsze metody masowego mordy. Istnieje coś w rodzaju ponurego wyścigu między zadawaniem ciosów a ochroną przed ciosami, między niszczeniem a poprawianiem. Uczni pracują nad zwalczaniem min magnetycznych, lub bomb latających. Inżynierowie amerykańscy zdobyli sobie ostatnio sławę w naprawianiu zbombardowanych portów. Zdrowy rozsądek wskazuje, że można by lepiej użyć zarówno ich energii jak ich talentów, i zamiast obmyślać jak chronić się przed środkami zniszczeń, wynalazczość obrócić w kierunku polepszenia bytu.

Żyjemy nie tylko w dżungli kapitalizmu, w dżungli ambicji, żądzy władzy i okrucieństwa, ale w dżungli słów utrudniających porozumienie. Oddanie spraw organizacji życia w ręce nauki jest niemal niewykonalne bez upowszechnienia tej idei, bez

powszechnego z r o z u m i e n i a . Wyzwolenie się spod „tyrании słów”, poddanie ludzi zdrowej kuracji semantycznej, jest pierwszym nieodzownym krokiem.

Słowa oderwane od rzeczywistości, abstrakcje działające emocjonalnie, te hodowle semantycznych bakterij, stanowią źródła istotnego, bardzo realnego niebezpieczeństwa. Słyszymy często, że życie jednostki należy do narodu, że państwo ma prawo dysponować życiem swych obywateli. Nie zapominajmy, że przed dzisiejszymi „wodzami” słowa te już wypowiedział Markiz de Sade („les enfants n'appartiennent qu' à la République”). Coraz jaśniej zdajemy sobie sprawę, że po tej wojnie nie wystarczy kontrola zbrojeń. Potrzebna będzie jeszcze kontrola pojęć i słów. Krzewienie nacjonalizmu, militaryzmu i nienawiści zwalczać nam przyjdzie nie tylko w Niemczech. Słowo jako środek porozumienia musi być oczyszczone z pyłu i rdzy stuleci. Zaklęcia szamanów, które się dziś nazywa wypowiedziami przewodców, muszą być poddawane surowej analizie logicznej. Jeśli bowiem stosunki między ludźmi mają być zdrowsze i rzetelniejsze, rzetelniejsza i zdrowsza musi być nasza mowa.

Nie szukajmy daleko. Popatrzmy w życie polskie krytycznie a obiektywnie. Lata całe karmiono nas słowami, które nic nie znaczyły, słowami, które mocarność czy mocarstwowość miały oznaczać, a które w istocie kryły niemoc za sobą. Wciąż jeszcze wracają wśród Polaków niejasne, niewyraźne słowa które upajają, upijają. Przetłumaczone na język dnia codziennego słowa owe oznaczają niewolę, krzywdę, nienawiść. Nie myśleliśmy tylko o reakcjonistach, którzy status quo ante chcą zachować. Są również wśród lewicy ludzie, którzy używają nadmiaru słów ciemnych, wymierzanie sprawiedliwości z gwałtem utożsamiających, wolność państwa z niewolą jednostki.

Mgławica wyrazów, myśli nieprzejrzystych, zdań nie do skontrolowania zginąć musi z naszej publicystyki tak samo, jak owo ciągle powoływanie się na przeszłość, mimo że o przyszłości jest naszym obowiązkiem myśleć.

Romantyzm nas wychował, romantyzm polski wyszlachetnił nas i uodpornił w niejednym. Ale nowa rzeczywistość która idzie jest racjonalną, przyrodniczą, techniczną i społeczną. Kto mowy swej nie dostosuje do tych prawd, zginie. I tu otwiera się pole działania dla ludzi pióra, którzy podjąć powinni trud torowania drogi dla nowej organizacji życia, dla humanitaryzmu naukowego, idei wspierającej się na wiedzy ścisłej a zrodzonej z miłości bliźniego.

* * *

W chwili tak ważnej, gdy losy narodu polskiego dokonują się wśród wypadków wojny, stanowisko społeczne, filozoficzne i moralne, które „Nowa Polska” tylekrotnie podkreślała, tylko

pozornie odbiega od rzeczywistości dnia i najbliższej naszej przyszłości.

Wyzwolenie Polski przez armię czerwoną spod opresji Niemiec nie powinno w żadnym wypadku otworzyć starych ran i konfliktów. Ktokolwiek patrzy na sprawy polskie pozytywnie, ktokolwiek prawdziwego i uczciwego rozwiązania szuka, nie może zatrzaskiwać się w obrazie i w kompleksach przeszłości. Nie myślimy zaprzeczać by społeczne stosunki w Polsce nie wołały o reformy i o daleko idące zmiany, nieraz radykalne w posunięciach. Lecz przeprowadzone być muszą one bez tej sumy nienawiści, którą łatwo rozbudzić, pohamować zaś niepodobna, bez tej rzezi, którą grożą nam nierozważni fanatycy krwi. Oprzeć się muszą, tak jak większość świata po tej wojnie, na humanitaryzmie naukowym i myśl polską wprowadzić na tę jedyną zbawienną dla Polski drogę.

Konflikt graniczny Polski z Rosją, paraliżujący porozumienie pomiędzy obu narodami wymaga ustępstw z obu stron, jeśli porozumienie ma być trwałe i rzetelne. Nie myślimy poddawać się demagogii emigracyjnych reakcjonistów, którzy krzykiem, hańbieniem od zdrajców, szeptaną i jawną propagandą zaszkodziли tak wielce sprawie polskiej.

Przyznajemy Rosji prawo domagania się reform w Europie w myśl bezpieczeństwa zbiorowego i społecznego. Ale tak samo mamy prawo domagać się reform społecznych w Sowietach w myśl praw człowieka, w myśl wolności słowa i życia jednostki.

Jakież będzie bowiem położenie komunistycznej myśli, Związku Radzieckiego, jeśli podyktuje mieczem rozwiązanie skomplikowanych problemów w Europie środkowo-wschodniej i na drogę, która umocniła świat anglosaski nie wstąpi? Czy istotnie będzie najbardziej postępowym z państw, na które będzie się oglądać świat pragnący humanitarnego porządku, czy będzie tylko imperium, z którym liczyć się wszyscy będą, ale które nadal pozostanie izolowane?

Miejmy nadzieję że ludowa Rosja zrodzona przez rewolucję, odbudowana olbrzymim wysiłkiem, uspokojona zwycięstwem nad Niemcami, nie popełni błędów Rosji Aleksandra I.

Gdyby jednak, jak to grożą nierozumni zwolennicy bratobójczych walk w Polsce, emigracja polska nie mogła powrócić do Kraju, gdyby oderwana została od ojczyzny i przeżyła tragedię Wielkiej Emigracji sprzed lat stu, jesteśmy zupełnie pewni, że nie podzieli ona losu białej emigracji rosyjskiej, która wypaliła się w bezowocnym oczekiwaniu na powrót do dawnych stosunków. Wśród obecnej naszej emigracji są siły, które w razie nieszczęśliwych dla Polski i Europy rozwiązań, wysuną tę emigrację na czoło walki o prawa człowieka. Idą one z mocą, która pokona wszelką tyranię przeszłości wszelkie zastarzałe doktryny dialektyczne, bo taki jest naturalny kierunek ludzkości.

HERR OBERST I TATARAK

(fragment z powieści „Zmowa Nieobecnych”)

Pchnęły furtę; z bijącymi sercami szły prędko alejką floksową. Peonie, które Zofia tak starannie dobierała spośród licznych odcieni różowości... których pochod rytmiczny pod płaczącymi brzożami tyle razy był dyskutowany i z grobli i z tarasu...peonie, dawniej często za blade, czy za skąpe, teraz — na chwałę Obersta — szalały kolorem i bogactwem. Ciężkie i czerwone truskawki leżały na matach, o tyle piękniejsze, niż za ostatniej wiosny szczęśliwej. Kret po dawnemu drażył pod placykiem swoje tunele, widoczne na powierzchni w postaci wypukłej arabski ze zwiru. Dokładnie w tym samym miejscu, co kiedyś, ćmy fruwały dokoła czeremchy.

— Chodźmy przez taras — rzekła Antonina. — Koło kuchennego wejścia Fryc najczęściej się kręci. Ja będę szła przodem. W razie czego panienki powiedzą jak jest — że panine siostrzenice i że mnie przyjechały odwiedzić.

Więc tak: zapach tego domu zupełnie się zmienił. Od razu na progu Zuzia stanęła ze zmarszczonym nosem. „Cóż to za trucizna?”. — „Oberst prawie nigdy cygara nie wypuszcza z gęby — stwierdziła Antonina — a jaki tylko Szwab do niego przyjdzie, to zara także samo za pudełko z cygarami się łapie”. Zuzia potrząsnęła głową. To nie cygara. Dom pełen był oddechu ludzi, których płuca źle dystylują powietrze, stworzone nie dla nich. Tutaj, po tym hallu Zofia chodziła rankami w swojej syryjskiej szafirowej szacie, śpiewając, ustawiając kwiaty, pógwizdując na Dianę. A wieczorem, w fotelach koło wielkiego otwartego komina, jej goście mówili rzeczy zabawne, mądre albo wstydlive, sięgając po tematy beztrosko, jak po bakalie do koszyka. Jesienią, nadziane konfiturą jabłka piekły się w ogniu, brocząc słodkimi kroplami; latem jedna tylko lilia w dzbanie glinianym o długiej wąskiej szyi białała we wnęce, kiedy zmierzch zapadał. Zegar z kukułką tykał w sieni, z jadalni dochodził brzęk srebra: zawsze nakrywano, czy sprzątano po czymś jedzeniu. Z pokoiów gościnnych i z ogrodu, w każdej porze, dolatywały głosy przyjaciół. Na stopniach schodów kładziono pasjansy i książki, w łazience huczało od dyskusji, bo nawet przy goleniu mężczyźni nie chcieli się nudzić. Na górnym balkonie w słońcu bronzowały ciała, a o księżycu egzaltowały się dusze; muzyka chodziła po piętach zmienna jak wiatr — tu zza uchylonych drzwi dwa takty Ravel'a, tam Czajkowskiego fraza „Raz w salę balowej, przypadkiem...” Szumiała gdzieś organdy nowa suknia, piłk — ping! pong! — sucho uderzały o stół, czyjaś z kimś sprzeczka przecho-¹dziła w szept, a znowu gdzie indziej śmiech wytryskał z ciszy. Za czasów Zofii powietrzem tego domu oddychało się łatwo i skwapliwie. Teraz Zuzia i Kira płytko łapały oddech. Nie tylko odór cygara; czyjes także nietutejsze ponure szaleństwo tłukło się między ścianami.

Meble z Górek dziewczyny poznały od razu. Ta np. inkrustowana konsola z różanego drzewa, na której w hall'u piętrzyły się numery „Sport im Bild” z Leni Riefenstahl w spodniach i bez spodni, stała dawniej w gabinecie profesora, dźwigając model samolotu. Kiedyś Zofia, dmuchnąwszy na zakurzony blat, powiedziała przy Zuzi: „Zazdroszczę panu tej konsoli, profesorze”. Któryś z najzłośliwszych diabłów usłyszał zapewne to westchnienie. Także wyroby miejscowej szkoły stolarskiej — proste, archaizowane ławy, nietrudno było odróżnić. Ale Ludwikowskie adamaszki na wąskich kanapkach i misternych krzesłach — resztki ponoć pałacowych splendorów Marczyzna — były obce. W tym półkamiennym i bielonym, pół drewnianym domu, przypominającym raczej Skandynawię, niż Faubourg St. Germain, wyglądały jak markizy po wielu nocach w Conciergerie —

brudne i spłowiałe. „Czy pójdziemy na górę?” — szepnęła Kira. Antonina wyrzała z sieni na korytarz — cicho. Wyrzała oknem w stronę bramy wjazdowej — pusto. „Niech panienki prędko idą. W pokojach naszej pani Oberst śpi i je. Tam najwięcej przebywa”.

Drewnianymi schodami z hall'u, które po dawnemu trzeszczały jak złe skrzydce, wybiegły na platformę między t.zw. folwarkiem Zofii a ścianą, dzielącą od galerijki oszklonej. „Folwark” składał się z pracowni, sypialni i ubieralni. Na drzwiach był teraz zatrask. Ścierpnięte ze zgrozy, ruszyły klamką — drzwi ustąpiły. Weszły na palcach... Z pracowni do sypialni na prawo prowadził otwarty łuk, ubieralnię stanowiła duża nisza w głębi, przestroniąta zazwyczaj kotarą. Ponieważ ta kotara znikła, cały „folwark” dawał się objąć jednym spojrzeniem: z odległych luster wyrzały dwie sylwetki dziewczęce, niepewnie tkwiące u progu. Odwróciły się; pod ścianą pracowni, gdzie dawniej stał fortepian, pełno było kufrów i waliz. Pośrodku pokoju na biurku leżały książki. Podeszły bliżej..

„A l'ombre des jeunes filles en fleurs”, „Pastiches et méandres”, „Salambo”, „Portrait of Dorian Grey”, „Die Brüdern Karamazoff”, „Erbchaft des Griechentums”. Zuzia gwizdnęła przeciągle. „Ciekawam czy także kradzione”... Na Flaubercie i Wildzie były istotnie pieczętki profesora. „Mógł jednak nakraść Wallace'ów, albo Decobre'ów” — zauważyła Kira. Na półce, oprócz książek, przewalały się nuty. Na wierzchu Bach, Pallestrina... W otwartym pudełku — klarnet. Przeniosły wzrok na ściany. Reprodukcje... Wenus z Knydos. Święta Rodzina Luini'ego. Sykstyńska seria Michała Anioła. Speszona, nagle jakby obrana z tej ostatniej nadziei, że człowiek, który depce jej szczęście, stanie bez żadnego obrońcy na Sądzie Ostatecznym, Zuzia skierowała się w stronę sypialni. „Kira! Ptaszki Zofii!” We wnęce, gdzie Zofia tak wiele czasu trawiła przed toaletą, na bocznych ściankach istotnie wisiały sobie nadal, oprawione w jesionowe listwy, dwie stare francuskie grawiury: papuga i sroka. „Nie wytrzymam, zabiorę!” — „Niech Bóg broni, panienko...” Zuzia cofnęła ręce. Przyśunęły się siostry do siebie, naraz bardzo zmęczone. Ale ich wzrok nie chciał się rozstawać z kątami, z których tak wiele wypelzało wspomnień. Przecież to tutaj, pośród tych lusterek stawały kiedyś przed Zofią w nowych sukniach, żeby pytać, czy dekolt nie za wielki, czy bufki nie za małe... Z tych szaf w murze, kiedy goście już czekali na dole, wylaniały się niewidziane przedtem szarfy, gazy, koronki, od których suknie w ostatniej chwili nabierały poezji. A pod tym okrągłym okienkiem, patrzącym na wawóz i rzekę, głowa Zofii, z cieniem od rzes na policzkach, tak miękko, tak leniwie powstawała z poduszki, kiedy drzwi otwierały się powoli i Zuzia z tacą mówiła: „Obudź że się nareszcie, wszyscy po śniadaniu”. Podeszły tam. „Patrz, to jej tapczan” — Kira uniosła róg pledu, pokrywającego ogromne, niskie łóżce. „Widzisz ten kreton?” Nie mogły się oprzeć — siadły. Geridonik obok był obcy. Zapewne Marczyński. Miał chinalnie Zuzia sięgnęła po garść fotografii. Pierwsza była — blondyna w stroju bawarskim, ładna, z dołkiem w brodzie. Druga była — mała dziewczynka w kostiumie kąpielowym, z łopatką i wiaderkiem. Trzecia była — naga brunetka, wyglądająca na reklamę Salon de Beauté. Czwarta — tłusta kobieta, także naga, w sprośnej pozie z ubranym mężczyzną. Piąta... Kira chwyciła kartki, chciała zebrać i położyć na miejsce. Wtem... jak sparzone, obie porwały się na równe nogi. Na pledzie, błyszczącą glansowaną powierzchnią, leżały obok siebie — dwa zdjęcia trupów. Dziecko może trzynastoletnie — ze ślicznie zarysowanymi piersiami, z ohydną raną brzucha, z szyją rozdętą — rzucone na gołe deski. Głowa, opadnięta w tył, niewidoczna. Na drugiej kartce, to samo chyba nieżywe dziecko, sfotografowane z pleców. Młodziutkie uda, pokryte sińcami; zmierzwiłone włosy nad karkiem.

„Panienki! Samochód trąbi! Na Boga!”... Rzuciły się ku drzwiom.

„Tędy, tędy, tylnymi schodami i przez podwórko.” Fryc już pewnością przy bramie. Potem prosto przez warzywnik do brzeźniaka i do Boćkowskich przez płot! Ja się tutaj zostanę”.

* * *

Leżąc w pokoiku pani Walickiej, Zuzia patrzyła na wążką smugę światła księżycowego, suwającą się po podłodze w miarę ruchu zasłon. Za tymi zasłonami nie było szyb, tylko Rudzińska piękna noc wiosenna. „Kira, spisz?” — „Nie”. Nic więcej nie umiała powiedzieć.

Zuzia myślała: Antonina odmawia teraz różaniec... Boi się spać. Nie spytałem jej o Dianę. Czy Dianę także zabili i sfotografowali? Nie widziałam Andrzeja. Ale widziałam te tabliczki po łacinie. W rowku między truskawkami leżała jego motyka... Andrzej wyszedł z ogrodu na krótko, właśnie kiedy myśmy przyszły. Teraz już dawno wrócił. Siedzi przy świeczce i spisuje ile kilo, po czemu, sprzedał dziś truskawek do restauracji *nur für Deutsche*. Motyka leży między grzędami. Teraz jest zimna i mokra od rosy. Błyszczycy, bo księżyc na nią świeci. Karolek też wyszedł... I też już wrócił. A może dopiero idzie przez park? Powraca. No, tak. Przecież gwizdże. Przedrzeźnia słowika. Karolku, nie tamtędy! Nie słyszysz, że auto Obersta trąbi? I tam jest za jasno — tam księżyc. Księżyc jest *nur für Deutsche*. Nie, nie upieraj się, Karolku, usiądź sobie razem z Zofią pod tą brzozą, aż oni stąd pójdą. Poco bierzesz motykę? Tej dziewczynki nie wolno zakopywać — trupy są *nur für Deutsche*. Za co zabili? Za to, że ona także tatusia szukała. Tak; nie wolno! Ojcowie są *nur für Deutsche*. Siedz spokojnie pod brzozą, Karolku, nalatałeś się, nazabijałeś Niemców i nad Londynem i w Kolonii, teraz czekaj. Ja wszystko za ciebie tu zrobię...

Kira myślała:

Tapczan Zofii jest. Storzyców na Polanie Krzewskiej nie ma. I tych ludzi, co polanę stratowali, także tam nie ma. Czy wszyscy gniją w malinach? Na pewno nie. Są teraz na innej polanie. Znowu gdzie indziej — ryją w ziemi, głodują, albo jedzą Sardines Portugaises, palą raz Virginie z Belfastu, raz machorę z Psiej Wólki, czytają Stürmera i czekają na Niemców. Ten „tatus” w palcie z sześcioma guzikami przepelzył właśnie z krzaków i oddał im paczkę. Marku, nie przyjeżdżaj! Mogą wziąć ciebie za Niemca, a w tej paczce, to były granaty. Czy wiesz? Porucznik Szwarz awansował. Jest teraz Oberstem i mieszka u Zofii. To ten, od którego uratowałeś mnie w Wiedniu. Ten sam, co miał mnie prowadzić na podwórze, gdzie S-S-i bili więźniów żelaznymi prętami. Dziękuję ci, najdroższy... Nie wiem jak to zrobiłeś przez tyle murów, ale dziękuję żeś mnie usłyszał, kiedy z więzienia krzyczałam do ciebie do Rzymu. Nie słuchaj już więcej, kochanie... Te krzyki stąd są za straszne. Ale to nie ja krzyczę... Nam z Zuzią jest dobrze, my jesteśmy żywe. Ta fotografia, to nie ja... Czy nie widzisz, że przedstawia dziecko? Nie; ja się wcale nie gniewam i wszystko rozumiem. Wiem, że wojna może być od miłości silniejsza i że Duce jest przyjacielem Führera. Wiem. Wy wszyscy na Zachodzie jesteście dziedzicami *des alten Griechentums*. Ach, nie!... *der alten Romanen*. Jestem troszkę zmęczona i myli mi się historia. Marku, hallo! Słyszysz mnie? Zapytaj papieża, czy to dobrze, że święta rodzina Luinego jest teraz w pokoju Obersta? Więcej już nic. Dobranoc. Ty także śpij dobrze *a l'ombre des jeunes filles en fleurs*... Twoja Nina.

Tak Zuzia i Kira myślały, czy raczej tak majaczyły — takie przesłania do świata powierzały ciemnościom — w noc po tym dniu, kiedy z Warszawy przyjechały stwierdzić, że dom Zofii w Rudzinie po dawnemu jest piękny i że Zielone Święta nadal po dawnemu są piękne.

* * *

Dzień następny wstał szary, z tą ciepłą mgielką, pachnącą mułem i wikliną, czasami dymem drzewnym, która z rana lubi się unosić nad rzekami w Polsce.

Pociąg warszawski ze stacji Rudzin, odległej o kilkanaście kilometrów od miasteczka, odchodził wczesną porą. Autobusy, ani taksówki nie kursowały, dorozki konne brały za przejazd niesłychane sumy. Postanowiwszy iść pieszo, dziewczyny musiały wybrać się w drogę zaraz po godzinie policyjnej, skoro skróty przez las były niemożliwe.

Jakże często dawniej schodziły tak wąwozem w dół, niewyspane po tańcach, dźwigając koszyk z „popasem”, do studni w rynku, przy której tancerze czekali na nie, przedzierzgnięci w zeglarzy, aby razem zbiec do łodzi i przepaść na cały dzień słoneczny, wodny i beżmyślny. Czar letniego rana w tym wąwozie, srebrnym od rosy, jeszcze ciepłym od wczorajszych szczeń, a już znowu pełnym obietnic, nie dał się wojnie rozproszyć, emanował z ziemi i z nieba tak samo, jak przed laty. Zuzia zaczęła śpiewać, Kira wymachiwała rękami. Zatrzymały się, upatrując na stoku poziomek. Rozgryzłszy niedojrzałą jagodę, Zuzia oświadczyła: „pyszne”. I naraz wąwóz zaroił się od nieobecnych.

Oto Zofia nadchodziła z góry, gwizdząc na psy, mała pod ogromnym kapeluszem ze słomy, ubrana w jasne suknie i w bursztyny; profesor stał na dole przy chatkach, powiewał fularową chustą, wołał: „prędzej, prędzej, ruszajcie się, marudy!” Wcale nie wiedział, że nagłąc przyjaciół do szybszego życia, poganiał ich w stronę rozłęki, a dla siebie rychłej śmierci przyzywał. Marco w swoich capryjskich jaskrawych płótnach wypadł z krzaków i pędził wielkimi susami wprost do tej chwili, o której ktoś kiedyś napisał: „voici l’instant suprême, l’instant de nos adieux”. Karolek, z wiosłami na ramieniu, kroczył elastycznie, świecąc nagim torsem, niby do łodzi i do rzeki, a przecież — wiadome to było teraz — do samolotu Lancaster i do raidów nocnych nad miastami, płacącymi ogniem za ogień.

„Tylko Krzysztof wiedział już wtedy co będzie” — westchnęła Kira.

„Aha — Zuzia przelknęła gorzką poziomkę — Krzysztof zawsze, jak ten kot Kiplingowski, chodził osobnymi drogami”. — „Pamiętasz, jak raz zaszliśmy go w polu, stojącego nad końską czaszką? Niby dziś, słyszę co powiedział: „wolałbym, żeby królem stworzenia był koń. Kości na polach byłyby mniej straszne”. A ja się oburzyłam: „Każda śmierć jest straszna”. A on powiedział: „Nie. Tylko z ręki człowieka. Niedługo zresztą pełno ludzkich kości tu będzie na tym polu”. — „Tak, on ma jakiś szósty zmysł. Może właśnie dlatego udało mu się dotąd uniknąć śmierci, choć żyje w takich opałach”. — „Nie rozumiem, jak mamusia mogła uwierzyć temu nieszczęsnemu listowi!” — „Bo mamusia nie wierzyła, żeby zwyczajni ludzie zasługiwali na cuda”. — „To nie był żaden cud. Jeżeli ktoś ucieka z niewoli i strzelają do niego, jak do jasnej świecy i potem nic o nim przez szereg miesięcy nie słychać, to kolega miał prawo myśleć, że Krzys zginął... A Krzys, mimo to, miał prawo ocaleć”. — „Krzys miał nawet prawo zmartwychwstać. Ale mamusia miała już prawo odpaczać”. Zacięły, znowu smutne.

Przez miasteczko przemknęły szybko, jak przez dom, nawiedzony chorobą. Na tyłach kościoła, za rynkiem, szosa przybliżyła się do rzeki. Zdżiczale sady śliwkowe zalegały wąski zielony pas nad wodą. Sitowie tworzyło jego frendzlę. „Ach! — krzyknęła Zuzia — zapomniałam o tataraku”... Zbiegła na sam brzeg zatoczki, gdzie woda, pokryta ostatnią pianą wiosennych przyborów, pluskała o kładkę, do której czasem przybijały łodzie. Po jednej stronie kładki rzeczywiście rósł bujny tatarak. Uklękła, wyciągnęła ramię i zaczęła siłować się z ostrymi liśćmi. Pędy były śliskie i bardzo mocno siedziały w dnie. „Żeby tak noża!” — mruknęła. Wtedy ktoś zakasłał tuż obok. Na trawie stał stary Walczak, powroźnik zamieszkały w ruinach nadrzecznego śpichrza. Teraz brama

była otwarta i przez nią, w głębi podwórca który powstał na miejscu magazynów, między sędziwymi grubymi murami, pod z dawien dawna nieistniejącym dachem, widniał warsztat, wystawiony na wszelkie pogody — tak pierwotny, nieustępliwy, jak świat. Pakuły, pęki konopi zalegały klepisko... Zuzia poskoczyła: „Panie Walczak, dzień dobry! Pan mnie nie poznaje? Tataraku chciałabym zabrać sobie do Warszawy”... Walczak poprawił kaszkiet. „Poznać, to ja panienkę od razu poznał. A tylko co tataraku, to jaby się tutaj nie tknął w tym miejscu”. — „Dlaczego?” Wzruszył ramionami. „Jakości opacznie człowiekowi coniebądź tu ruchać odkąd ta Ester z ty kładki do rzeki skoczyła”. — „Jaka Ester?” — „Dyć ta co tańcowała za kozami i śpiewała po górach, krawcowej Ryfki córka.” — „Ach, ta chudziutka, ta ruda? Co się z nią stało? Ona często na jabłka do nas zachodziła”. — „Ta sama. Jak się Niemcy wzięły miesiąc temu oblawy na Żydów robić i na ciężarówki ich pchać, tak naraz gruchnęło między narodem, że całkiem nie na roboty, ino na uduszenie jakimś diabelskim sposobem ich wiezą. Tak Żydostwo w gwałt — i uciekać. To Gestapo kulomiotami po nich. Ale dzieciaki są prędkie. Te Żydzieta, jak gąski przestraszone, na wszystkie boki wprost po powietrzu fruwali. Niektóry dzieciak przypadł gdzie w rowie, albo do piwnicy uskoczył, to — chociaż psami szული — w takim harmidrze żyw się ostał i potem go ludzie ukryli. Ale ta Ester gdzie ino, skikający, grzywą trzącznie, z tych ji rudych pierścionków skry lecą, a i chustkę tego dnia na plecy zawdziiała krasą, co jaże oczy rwała. To ten Szwab za nią, jak ćma do ognia. W rynku ji dopadł... Jakże nie ułapi za włosy, nie kopnie! Ta Ester na bruk bez słowa upadła. Swoją drogą ledwie się diabeł odwinął, ona już znów na nogach — i le-ci! Prawdziwie, że chyba jakieś żydowskie anieli ją nieśli, bo te nożyny, to tylko nad ziemią migali, a psy za nią, a po kamieniach, po piachu — krew z rany, co od kopnięcia dostała. Jażem na wzgórkę wpodłe śpichrza stojał, przefurknęła tą chuściną koło mnie, hop! na kładkę, psy się zastanowili, a ona tylko ręce w górę podniosła, zacerwieniła, zabłysko na wodzie, plusk poszedł — po niej. Skończyła się ta Ester w ty rzece”.

„Zuziu, prędeż!” — Kira wołała z szosy. Ale Zuzia patrzyła teraz w wodę, jak w lustro upiorów. „Nikt jej nie ratował?” — szepnęła. „Dyć ziandarmi ją za włosy wyciągli, sukienkę zewlekli, bili, šturchali, ale oczu ani ust nie zamkła choć niczego już nie widziała i głosu wydać nie mogła... Dejcje mi ją — powiedam — w tę krasą chustkę ją owinę, na kierkut zaniesę, choć nie Żyd, grobek dzieciakowi ukopię, kiej nikogo już takiego nie stało, coby tę młodą Ester sposobem starozakonnym pogrzebał! Nie dali. Całki dzień martwa na deskach leżała, jaż Oberst przyjechał i fotografię z niej zjął. Dopiero do rzeki z powrotem ją zepchli. Ale włosy to w tatarak się zapletli i jeszcze do trzeciego dnia cości rudo pobłyskiwało na słońcu”. „Gdzie twój tatarak? — spytała się Kira, kiedy Zuzia wreszcie wróciła znad rzeki — Coś ty taka blada?”

Zuzia milczała. A to już siostry poznały w ciągu blisko czterech lat wojny, że milczenie jest prawem, którego nawet wróg złamać nie potrafi... Więc dopiero w pociągu Zuzia dokończyła nadrzecznej rozmowy. „Gdzie mój tatarak? — powiedziała — Przepadł. Tatarak w Polsce nie jest już tatarakiem — straszny”.

MY, ŻYDZI POLSCY...

*Matce w Polsce lub najukochańszemu Jej
cieniowi.*

I

...I od razu słyszę pytanie: „Skąd to MY?” Pytanie w pewnym stopniu uzasadnione. Zadają mi je Żydzi, którym zawsze tłumaczyłem, że jestem Polakiem, a teraz zadadzą mi je Polacy, dla których w znakomitej większości jestem i będę Żydem. Oto odpowiedź dla jednych i drugich.

Jestem Polakiem, bo mi się tak podoba. To moja ściśle prywatna sprawa, z której nikomu nie mam zamiaru zdawać relacji, ani wyjaśniać jej, tłumaczyć, uzasadniać. Nie dzielę Polaków na „rodowitych” i „nierodowitych”, pozostawiając to rodowitym i nierodowitym rasistom, rodzimym i nierodzimym hitlerowcom. Dzielę Polaków jak Żydów i jak inne narody, na mądrych i głupich, uczciwych i złodziei, inteligentnych i tępych, interesujących i nudnych, krzywdzonych i krzywdzących, gentlemenów i nie-gentlemenów itd. Dzielę też Polaków na faszystów i kontrfaszystów. Te dwa obozy nie są, oczywiście, jednolite, każdy z nich mieni się odcieniami barw o rozmaitym zgęszczeniu. Ale linia podziału na pewno istnieje, a wkrótce da się całkiem wyraźnie przeprowadzić. Odcienie zostaną odcieniami, lecz barwa samej linii zjaskrawieje i pogłębi się w zdecydowany sposób.

Mógłbym powiedzieć, że w płaszczyźnie politycznej dzielę Polaków na antysemitów i antyfaszystów. Bo faszyzm to zawsze antysemityzm. Antysemityzm jest międzynarodowym językiem faszystów.

II

Gdyby jednak przyszło do uzasadnienia swej narodowości, a raczej narodowego poczucia, to jestem Polakiem dla najprostszyc, niemal prymitywnych powodów, przeważnie racjonalnych, częściowo irracjonalnych, ale bez „mystycznej” przyprawy. Być Polakiem — to ani zaszczyt, ani chluba, ani przywilej. To samo jest z oddychaniem. To samo jest z oddychaniem jeszcze człowieka, który jest dumny z tego, że oddycha.

Polak — bo się w Polsce urodziłem, wzrosłem, wychowałem, nauczyłem, bo w Polsce byłem szczęśliwy i nieszczęśliwy, bo z wygnania chcę koniecznie wrócić do Polski, choćby mi gdzie indziej rajskie rozkosze zapewniono.

Polak — bo dla czulego przesądu, którego żadną racją ani logiką nie potrafię wytłumaczyć, pragnę, aby mnie po śmierci wchłonęła i wessała ziemia polska, nie żadna inna.

Polak — bo mi tak w domu rodzicielskim po polsku powiedziano; bo mnie tam polską mową od niemowlęctwa karmiono; bo mnie matka nauczyła polskich wierszy i piosenek; bo gdy przyszedł pierwszy wstrząs poezji, to wyładował się polskimi słowami; bo to, co w życiu stało się najważniejsze — twórczość poetycka — jest nie do pomyślenia w żadnym innym języku, choćbym nim jak najbieglej mówił.

Polak — bo po polsku spowiadałem się z niepokojów pierwszej miłości i po polsku belkotałem o jej szczęściu i burzach.

Polak dlatego także, że brzoza i wierzba są mi bliższe niż palma i cyprus, a Mickiewicz i Chopin drożsi, niż Szekspir i Beethoven. Drożsi dla powodów, których znowu żadną racją nie potrafię uzasadnić.

Polak — bo przejąłem od Polaków pewną ilość ich wad narodowych. Polak — bo moja nienawiść dla faszystów *polskich* jest większa, niż faszystów innych narodowości. I uważam to za bardzo poważną cechę mojej polskości.

Ale przede wszystkim — Polak dlatego, że mi się tak podoba.

Na to słyszę głosy: „Dobrze. Ale jeżeli Polak, to w takim razie dlaczego „My, ŻYDZI”? Służę odpowiedzią: Z POWODU KRWI. — „Więc rasizm?!” — Nie. Wcale nie rasizm. Wprost przeciwnie.

Dwojaka jest krew: ta w żyłach i ta z żył. Pierwsza jest sokiem cielesnym, więc badanie jej należy do fizjologów. Kto tej krwi przypisuje jakieś inne, poza organicznymi, specjalne właściwości i tajemnicze moce, ten, jak to widzimy, w konsekwencji obraca miasta w zgłiszcza, wyrzyna miliony ludzi i wreszcie, jak to zobaczymy, sprowadza rzeź na własny swój szczep.

Druga krew — to ta właśnie, którą ów herszt międzynarodowego faszyzmu wytacza z ludzkości, aby zadokumentować tryumf własnej juchy nad moją juchą — krew niewinnie pomordowanych milionów ludzi, krew nie ukryta w arteriach, lecz krew ujawniona. Takiej powodzi męczeńskiej krwi nie było jeszcze jak świat światem, a krew Żydów (nie „krew żydowska”) najszerszymi, i najgłębszymi płynie strumieniami. Zczerniały jej potoki zlewają się już w burzliwą, pienistą rzekę — I W TYM OTO NOWYM JORDANIE PRZYJMUJĘ CHRZEST NAD CHRZESTY: KRWAWE, GORAĆE, MĘCZENNICZE BRATERSTWO Z ŻYDAMI.

Przyjmijcie mnie, Bracia, do tej zaszczytnej wspólnoty Niewinnie Przełanej Krwi. Do tej gminy, do tego kościoła chcę od dziś należeć.

Ta RANGA — ranga Żyda Doloris Causa — niechaj będzie udzielona polskiemu poecie przez naród, który go wydał. Nie za żadne zasługi, bo ich przed wami nie mam. Będę to uważał za awans i najwyższą nagrodę za tych parę wierszy polskich, które może mnie przeżyją i pamięć o których związana będzie z moim imieniem — imieniem Żyda polskiego.

IV

Na opaskach, jakie nosiliście w ghetcie, wymalowana była gwiazda Dawida. Wierzę w taką przyszłą Polskę, w której ta gwiazda, ta z opasek, stanie się jednym z najwyższych odznaczeń, udzielanych najwaleczniejszym żołnierzom i oficerom polskim. Będą ją oni z dumą nosili na piersi obok dawnego Virtuti Militari. Będzie i Krzyż Ghetta — nazwa głęboko symboliczna. Będzie Order Żółtej Łaty — zaszczytniejszy niż niejedno dotychczasowe świedcilo. I będzie w Warszawie, i w każdym innym mieście polskim, pozostawiony, utrwalony i konserwowany jakiś fragment ghetta w niezmienionej postaci, tak jak go zastaniemy, w całej zgrozie zgłiszcz i zniszczenia. Otoczmy ten zabytek hańby naszych wrogów, a chwały naszych umęczonych bohaterów łańcuchami, odlanymi ze zdobytych hitlerowskich armat, i świeże, żywe kwiaty będziemy co dzień wplatać między żelazne ogniwa, aby po wieczne czasy świeża i żywa pozostała pamięć przyszłych pokoleń o zmasakrowanym narodzie, i na znak, że zawsze żywy i świeży jest nasz ból po nim.

Kościółowi narodowych pamiątek przybędzie jeszcze jedna.

Będziemy tam prowadzić dzieci i opowiadać o najpotworniejszym w dziejach świata męczeństwie ludzi. W centrum tego pomnika, którego tragizm uwydatnią otaczające go nowoczesne, da Bóg, Szklane Domy odbudowanego miasta, płonąć będzie nigdy nie gasnący ogień. Przecho-dnie będą zdejmować przed nim kapelusz.

A kto chrześcijanin — przeżegna się znakiem krzyża...

Więc z dumą, z żałobną dumą będziemy nosić tę rangę, wszystkie inne zaćmiewającą — rangę Żyda Polskiego — my, cudem i przypadkiem pozostali przy życiu. Z dumą? Powiedzmy raczej: ze skrucną i żrącym wstydem. Bo przypadła nam ona za waszą mękę, za waszą chwałę, Od-puciele!

...Więc może nie „My, Żydzi Polscy”, ale „My, Widma, my, Cienie pomordowanych braci naszych, Żydów Polskich”...

My Żydzi Polscy... My, wiecznie żywi — to znaczy ci, którzy zginęli w ghettach i obozach, i my widma — to znaczy ci, którzy zza mór i oceanów wrócimy do kraju i będziemy straszyć wśród ruin swymi w całości zachowanymi cieleśkami i upiornością niby to zachowanych dusz.

My, prawda grobów, i my złuda istnienia, my, miliony trupów i kilkanaście, może kilkadziesiąt tysięcy niby nietrupów; my, nieskończenie wielka bratnia mogiła; my, kirkut, jakiego dzieje nie widziały i nie zobaczą.

My, poduszni w komorach gazowych i przetopieni na mydło, którym nie zmyje się ani śladów naszej krwi, ani piętna grzechów świata wobec nas.

My, których mózgi tryskały na ściany naszych nędzarskich mieszkańek i na mury, pod którymi nas masowo rozstrzelowano — tylko za to, że jesteśmy Żydami.

My, Golgota, na której mógłby stanąć nieprzebyty las krzyżów. My, którzyśmy dwa tysiące lat temu dali ludzkości jednego niewinnie przez Imperium Romanum zamordowanego Syna Człowieczego — i wystarczyło tej jednej śmierci, aby się stał Bogiem. Jaka religia urośnie z milionów śmierci, tortur, poniżeń i rozkrzyżowanych w ostatniej rozpacz ramion?

My, Szlojmy, Srule, Moški, parchy, bejlisy, gudłaje — my, których imiona i przezwiska prześcigną w dostojności brzemienia wszelkich Achillesów, Chrobrych i Ryszardów o Lwich Sercach.

My, znowu w katakumbach — w „bunkrach” pod brukiem Warszawy, człapiący w smrodzie ścieków, ku zdziwieniu naszych kompanów — szczurów.

My, z karabinami na barykadach, wśród ruin naszych bombardowanych z powietrza domostw; my, żołnierze wolności i honoru...

„Jojne, idź na wojnę!” Poszedł, szanowni panowie, i zginął za Polskę.

My, którym „twierdzą był każdy próg” każdego walącego się na nas domu.

My, Żydzi polscy, dziczejący w lasach, karmiący przerażone nasze dzieci korzonkami i trawą, my pełzający, czołgający się, nastroszeni, z jakąś cudem zdobytą lub za grube pieniądze wyblaganą, staroświecką dwururką...

My, Hiobowie, my, Nioby, my na pokucie po setkach tysięcy naszych żydowskich Urszulek...

My, głębokie doły potrzaskanych, pomiażdżonych kości i poskręcanych, pręgami pokrytych zwłok.

My — krzyk bólu! Krzyk tak przeciągły, że go najdalsze wieki usłyszą. My, Wycie, my Chór, zawodzący mogilne El mole rachmim, którego stulecie będzie stuleciu przekazywać.

My, najwspanialsza w dziejach kupa krwawego nawozu, którym użyźniłszy Polskę, aby tym, co nas przeżyją, lepiej smakował chleb wolności.

My, makabryczny rezerwat, my, ostatni Mohikanie, niedobitki rzezi, które jakiś nowy Barnum może obwozić po świecie, obwieszczając na pstrych plakatach: „Niesłychane widowisko! The biggest sensation in the world! Żydzi polscy — żywi i prawdziwi!” My, Gabinet Okropności, Schreckenskammer, Chambre des Tortures! „Osoby nerwowe upraszane są o opuszczenie sali!”

My nad rzekami zamorskich krain siedzący i płaczący, jak ongi nad rzekami Babilonu. Po całym okręgu świata płacze Rachel dzieci swoje, ale ich nie masz! Nad rzeką Hudson, nad Tamizą, nad Eufratem, Nilem, Gangęsem i Jordanem błakamy się w rozproszeniu naszym, wołając: „Wisło! Wisło! Wisło! Matko rodzona! Szara Wisło, nie od brzasku różowa, ale od krwi!”

My, którzy nawet grobów dzieci naszych i matek nie odnajdziemy — tak się warstwami poukładają, tak się na całą ojczyznę wszerek rozpostrą w jedno pogrzebanie! I nie będzie upatrzonego miejsca, żebyś mógł na

niem kwiaty położyć, ale, jak siewca ziarno, będziesz je szerokim rozmachem rąk rozizuciał. Może przypadkiem trafisz.

My Żydzi polscy... My, legenda krwią i łzami ociekająca. Kto wie, czy jej nie trzeba będzie pisać biblijnymi wersetami: „Oby rylcem żelaznym i ołowiem na wieczną pamiątkę wydrążona była” (Hiob XIX, 24). My, apokaliptyczne stadium dziejów. My, Jeremiaszowe Treny:

..., „Leży na ziemi po ulicach dziecię i starzec, panny moje i młodzieńcy moi polegli od miecza; pobiteś ich w dzień zapalczywości twojej, pomordowałeś ich a nie sfolgowałeś...”

..., „Wrzucili do dołu żywot mój, a przywalili mnie kamieniem. Wezbrały wody nad głową moją i rzekłem: Jużci po mnie!... Wzywam imienia Twego, o Panie, z dołu bardzo głębokiego... Widzisz, o Panie bezprawie, które mi się dzieje, osądzże sprawę moją... Oddajże im nagrodę, Panie, według sprawy rąk ich! Dajże im zatwardziałe serce i przekleństwo swe na nich! Goń ich w zapalczywości, a zgładź ich, aby nie byli pod niebem Twoim, o Panie!” (Treny Jeremiaszowe, III).

* * *

Nad Europą stoi olbrzymi i wciąż rosnący widmowy Kościotrup. W jego pustych oczodołach świeci ogień niebezpiecznego gniewu, a palce zacisnęły się w kościstą pięść. I On, nasz Wódz i Dyktator, będzie nam dyktował prawa nasze i żądania.

MARIA PAWLIKOWSKA

OMAR KHAYAM I DROGA MLECZNA

Galaktyka, srebrna galaktyka,
Co się kołem nade mną zamyka,
Bieleje w górze...

Omarze, kolego mój, persie,
Tyś przede mną oceniał ten pierścień,
Ponad wino i Fatmę i różę!...

Lecz w tych sferach gwiazdowego igliwia,
Lecz w tym światów perłowym oparze,
W tym zespole słonecznych miast,
Nie ma komu nas, poetów, podziwiać,
Nie ma komu nas, poetów, żałować,
Nie ma komu Czasu nam użyczyć
Od którego się przelewa wśród gwiazd —
— Nami pomiatają, Omarze...

* * *

Mgławico Orjona,
Vego, chmurą słońc wyrojona,
Andromedo, zawrotna Lirol!

Cześć wam, białoskrzydłym wirom!

Tam rozrzutność; tam wspaniałość wieczna;
a tu Ziemia, podobna krwawiącemu sercu,
sercu o siedmiu mieczach.

Tam biliony lat, kwadryliony,
wśród rozlewów gwiazdzistej kaszy —
a tu czas na godziny skrzętnie wyliczony —
— czas życia rodziców naszych...

Koniec wyniosłym gotykom,
cośmy ich już niegodni — — —
koniec drzewu, co ginie, rozdarte na dwoje,
w dzień uniesienia i zbrodni,
i Dwojgu, którzy giną w przymusowej rozłące
gdyż nazbyt wiernie serce połączyli swoje...

WACŁAW GRUBIŃSKI

BAJKI ULISSESA A RZECZYWISTOŚĆ AGAMEMNONA

WSTĘP

*Ukazuje się na ekranie wspinała księga,
na której okładce jest tylko jedno słowo*

Homer

*Okładka się odwraca. Widat portret
Homera. Ten portret robi się coraz większy,
aż się staje marnurowym posągami. Po
chwili posąg się ożywia. Powiększenie samej
głowy. Majestatyczny wyraz twarzy łagod-
nieje, Homer się uśmiecha.*

*Znów się ukazuje księga. Na ukos pierwszej
stronicy pisze niewidzialna ręka:*

W rzeczywistości było inaczej

*Kartki księgi się rozsypują, przeistaczają
się w obłok. Na obłoku płyną trzy boginie.*

CZĘŚĆ I

Jak się to stało

*Na obłoku płyną trzy boginie, Hera, Atena
i Wenus. Rozmawiają o piękności.*

HERA Ludzie są podobni do bogów,
owszem, ale nie są ładni. Są tak podobni
do bogów, jak brzydota jest podobna do
piękności.

ATENA Na ogół nie są ładni, prze-
cież czasami trafiają się i między śmiertel-
nymi piękni, jak bogowie.

HERA Częściowo, nie całkowicie.
Zdarza się ktoś o boskich nogach, ale
twarz ma brzydką. Albo odwrotnie.

WENUS Jako odwrotnie?

HERA Piękną ma „odwrotność”,
a inne rzeczy brzydkie.

ATENA Jó miała oczy krowie,

WENUS Tak. Zachwycające! To-
też zakochał się w niej Zeus!

HERA Plotka! Wcale się w niej nie
zakochał.

ATENA (*przymrużwszy oko, spojrzęła
wymownie na Wenus*) W każdym razie
któryś bóg się w niej zakochał.

HERA Przelotna miłostka! Zeus mnie
nie zdradza.

ATENA Dwumiesięcznych zalecanek
nie można uważać za zdradę...w obliczu
małżeńskej wieczności, która ciebie łączy
z Zeusem.

WENUS A ja wam powiadam, że
niektóre śmiertelniczki są prawie tak
piękne, jak boginie.

HERA Ja takiej nie widziałam!

ATENA Czasami, kto wie!...

HERA Która? Wiedziałoby się o tym
na Olimpie. Może Kassandra? Ma
krzywą łopatkę. Albo może małżonka
Ulissesa, Penelopa? Owszem, ma ładne
włosy, ale jakie ma kolana?!

ATENA Żona Agamemnona, Klitem-
nestra...

HERA Ma zęza!

ATENA Oh, w tak małym stopniu,
że to jest u niej nawet wdziękiem.

HERA I nie ma tego spadku ramion,
tego łagodnego pochylenia, za którym tak
przepadał Nessus, że porwał żonę Herku-
lesowi. Ona miała, wiecie, tę linię opty-
wową. Ale się później roztyła.

ATENA Za to Jokasta...

HERA Która?

ATENA Królowa tebańska.

HERA Piegna na całym ciele!

ATENA Jeżeli ci chodzi o karnację,
to tak alabastrowego ciała, jak ta...jak
ona się nazywa?... Bardzo jest nią zajęty
Achilles.

HERA Achilles tak jest zaprzyjaźniony
z Patroklosem, że nie zwraca uwagi na
żadne gęsi o alabastrowej karnacji.

ATENA Więc kto, według ciebie?

HERA Nie należałaby do brzydkich, powiedzmy Medea, gdyby nie miała sześciu palców u lewej nogi.

WENUS Plotkał

HERA Nie plotkał! Mówił mi jej kochanek.

ATENA Nie potrzebował ci o tym mówić kochanek, bo to może wdziedzić każdy. Medea palce ma w porządku.

HERA Na dwóch palcach nosi jeden pierścionek, w ten sposób maskuje zbytnią obfitość palców swojej lewej nogi. Nota bene, ona ma dwie lewe nogi!

WENUS Nie kłóćcie się. Możemy same zobaczyć. Jeżeli chcecie, możemy w ogóle zrobić przegląd piękności wśród ziemianek.

ATENA Świetny pomysł!

HERA Dobrze!

ATENA Niech nas Wenus prowadził!

Obłok na którym spoczywają boginie, zmienia kierunek, obniża lot, spływa między góry, nad potokami, zbliża się ku miastu.

Podwórzec pałacowy. Agamemnon ćwiczy oddział żołnierzy.

Bogini nie widać. Słychać głos Wenerę.

WENUS Król królów, Agamemnon! Agamemnon wydaje komendę.

AGAMEMNON Wstań! Padnij!

Wstań! Padnij!

GŁOS HERY Ładne chłopak!

Na progu pałacu ukazują się Klitemnestra. Ujrzała ją Agamemnon, ociera pot z czoła.

AGAMEMNON (do żołnierzy) Spocz-nij!

Ukazują się boginie.

ATENA O ile się nie mylę...

WENUS Tak, to małżonka Agamemnona, Klitemnestra.

ATENA Nie można jej odmówić urody. I nie widzę zezą, o którym mówiła Hera.

HERA Czekaj, niech się do niej zbliży Agamemnon! Zaraz zacznie zezować w stronę żołnierzy.

WENUS (oburzona) Jest zakochana w mężu! Jeżeli go nie widzi dwie godziny, staje się tak stęskniona za jego uściskiem, że sobie nie może znaleźć miejsca. Kocha go ze wszystkich sił.

HERA Taka jest najniebezpieczniejsza.

ATENA Dlaczego?

HERA Wyobraź sobie, że wszystkie siły jej miłości są narażone na kilkotygodniową nieobecność jej małżonka. Myślisz, że i wówczas nie będzie mogła sobie znaleźć...miejsca?

KLITEMNESTRA (do Agamemnona) Śniadanie (bierze jego rękę, pociąga go).

AGAMEMNON (wskazuje żołnierzy) Każ im podać serwatki. Gorąco!

Boginie przyglądają się uważnie Klitemnestrze.

ATENA Dobrze zbudowana.

Klitemnestra znalazłszy się z Agamemnonem w cieniu filarów, zatrzymuje małżonka.

KLITEMNESTRA Zapomniałeś o mnie? (ujmuje jego twarz w swe dłonie, staje na palcach; zbliża się ku małżonkowi z pocałunkiem).

ATENA Nie pozbawiona wdzięku.

HERA (patrzy na Agamemnona) Stuprocentowy mężczyzna!

WENUS i ATENA (uśmiechają się do siebie z powodu zpatrzenia się Hery w Agamemnona).

WENUS Lecimy dalej!

Boginie się unoszą. Widać dziewczęta, biegnące z dzbankami do żołnierzy... Zabawa.

Inny dziedziniec pałacowy.

Wysoka niewiasta w rozchlestanym ubraniu, z długą różgą w ręce, krzyczy na niewolników, którzy przenoszą worki i na niewolnice, które karmią kury. Stoi tyłem do publiczności.

WENUS Córka Priama, panna Kasandra. Gdyby nie jej krzykliwość... patrzcie, jaką ma linię! Długie nogi.

HERA Zawsze umorusana! Nie uznaję kobiet, które nie myją zębów.

Kassandra włożyła dwa palce w usta i gwizdnęła. Odwraca się, przykuca; podbiega do niej ogromny kundel, merdający ogonem. Kasandra się do niego uśmiecha radośnie, przy czym pokazuje dwa rzędy równych białych zębów.

ATENA Ona ma śliczne zęby!

HERA Sztuczne.

WENUS Może przy sposobności zobaczymy panią Hektorową?

HERA Rozwalona w biodrach, jak stara stodoła!

Boginie idą na drugi dziedziniec, gdzie się nad ogniskiem obraca połowa woju.

WENUS Nie wiem, jak się może podobać kobiecie tych rozmiarów!

ATENA Nie o rozmiary chodzi, lecz o harmonię.

HERA Jaka tu może być harmonia?

WENUS Spójrzj na Hektora.

Boginie odwracają głowy...

Widać ogromny pień, wysokości człowieka wbijającą się weń właśnie włócznię. Potem widać Hektora, który mierzy w pień drugą włócznią. Nagi olbrzym.

ATENA Harmonia jest!

WENUS Jest to najharmonijniejsze małżeństwo w Grecji.

HERA Dla takich mężczyzn największym wdziękiem w kobiecie jest jej kuchnia. Nic mam zamiaru podobać się Zeusowi przez moją zupę rakową.

WENUS Lecimy do Penelopy.

Boginie na obłoku, mijają malownicze przetrzenie, góry, rzeki, lasy; spotykają się z obłokiem gólebi.

ATENA Co to za człowiek?

WENUS Nie poznajesz go? Król Itaki, Ulisses, ze swoim sławnym łukiem.

HERA Poluje na wilka.

ATENA Dawno go nie widziałam.

WENUS Człowiek pełen mądrości. Jego żona nie zdradzi. Umiał ją związać.

HERA Czy można kobietę związać?

WENUS Słowami. Nie ma mocniejszej sieci, niż słowa.

HERA A cnota?

WENUS Cnotę rozwiążą słowa, umiętnie dobrane.

HERA Cnotę kobiety głupiej!

WENUS Mądrzej. Kobiętę głupią wiąże się...nie słowami.

ATENA Czym?

WENUS Strachem.

HERA Czyli, że kobieta mądra jest głupsza, niż głupia.

ATENA Dlaczego?

HERA Bo kobieta mądra da w siebie wmówić wierność.

WENUS A głupia?

HERA Głupia po prostu się hoi stracił kochanka przez niewinną zdradę. Bo kochanek jej zagroził porzuceniem! A mądra...filozoficznie odmawia sobie zdrady, która by jej sprawiła przelotną przyjemność, a o której kochanek przecież by nic wiedział.

WENUS Nie znasz się na miłości.

HERA Jestem za mądra na miłość.

WENUS Miłość nie ma nic wspólnego z mądrością, ani z głupotą.

ATENA Jak katar.

HERA Co?

ATENA Albo malaria.

WENUS Pokazać ci miłość?

HERA Pokaż.

WENUS Spójrzaj tam, między drzewa.

W zagajniku stoi pod rozłożystym drzewem figlarny malec, Kupidynek, który naciąga łuk. Zaraz potem widać gromadkę młodzieży Gonią się w pobliżu stada owiec.

WENUS Widzisz?

Teraz widać Ulissesa, który przykleknął na jedno kolano, naciąga łuk, wypuszcza strzałę. Potem widać strzałę, lecącą między drzewami. Potem widać wilka którego dosięga strzala. Wilk wydaje głos bólu i wściekłości, przewraca się...

WENUS To jest miłość.

Widać Penelope, siedzącą przy kołowrotku. Przystaje prząść, popada w zadumę. Wstaje, idzie ku wyjściu, patrzą, czy nie nadchodzi Ulisses... Odwraca się. Spogląda na marmurowy posąg Ulissesa. Siada u jego stóp.

ATENA Co za ramiona!

WENUS Jak pięknie wznosi się jej pierś!

HERA Ma wielką wadę.

ATENA Mianowicie?

HERA Nie wymawia litery R.

Atena i Wenus patrzą zdziwione na Herę.

HERA To się często łączy z krzywizną nóg.

Penelopa wstaje. Idzie. Jej przeźroczysta tunika, rozcieta z boku, ukazuje długie, proste nogi Penelopy.

HERA Ach nie! Litery R nie wymawia Helena spartańska!

WENUS Pokażę wam Helenę.

W pewnej chwili boginie płyną na obłoku wśród roju jaskółek.

Dziedziniec, otoczony murem. Kilku dziesięciu jeźdźców w hełmach jedzie kolem.

Pośrodku koła mąż, wspaniale uzbrojony, na roslým czarnym rumaku wydaje komendę.

WENUS Król Menelaos! Małżonek Heleny.

Jeźdźcy stanęli w szeregu. U ich boku Menelaos. Komenda. Jeźdźcy ruszają kłusem, skaczą przez rów z wodą.

WENUS Helena jest w pałacu.

Ogród. Po szerokich schodach pałacowych kroczy Helena. Za nią kilka niewolnic. Helena zmierza do basenu wśród kwiatnych kolombów. Stanąwszy nad wodą, zdejmuje szal z głowy. Przegląda się w wodzie. Zdejmuje tunikę. Naga.

ATENA I Helena wymawia R.

Helena wchodzi pomalu do wody.

HERA Niech ją demony porwą! Piękna!

ATENA Wszystko jest u niej piękne! Budowa, i oczy, i nos, i włosy!

WENUS I wierna. Choć nie zakochana.

HERA Jak to być może?

WENUS Łatwiej być wierną bez miłości, niż w ogniu miłości.

ATENA Miłość... Co ty mówisz?

WENUS Miłość jest pragmatykiem. Kto nie zaznał miłości, nie pragnie. Kochanka. Upojenia. Jest spokojny. Kto pragnie, pije z każdego źródła. Nie tylko z własnego.

ATENA Teraz rozumiem, dlaczego miłość jest grzechem.

WENUS Wybaczalnym.

ATENA Śmiertelnym.

WENUS Nieśmiertelnym.

Boginie odpływają. Widać Menelaosa wśród jeźdźców. Wydaje komendę.

HERA A ten idiota cały dzień na koniu!

ATENA Helena jest najpiękniejsza wśród śmiertelnych.

WENUS Ładna jest Jokasta, choć nie pierwszej młodości, i bardzo jest oryginalna Medea. Ale niewątpliwie pierwsze miejsce wśród ziemianek należy się Helenie.

HERA A wśród bogiń? Która z bogiń jest najpiękniejsza?

ATENA My jesteśmy najpiękniejsze. My, nasza trójka.

HERA To jest pewne. Ale nie chodzi o najpiękniejszą trójkę.

W tej chwili harmonia sfer może nieco przypominać melodię Offenbachowskiej arii „W lasku Idą”.

HERA Która jest najpiękniejsza z nas trzech?

ATENA Każda jest piękna na swój sposób. Motywem mojej urody jest powaga; twojej, Hero, temperament; Wenery — słodycz.

HERA Ze wszystkich teorii na świecie najbardziej nicnawidzę teorii względności. Piękność musi być ogłoszona kategorycznie.

ATENA Jak to?

HERA Bez żadnego „według” i „jeżeli”!

ATENA Jak to?

HERA „Jeżeli pod kątem widzenia powagi, to najpiękniejsza jest Atena!

Jeżcii...temperament, to ja, Hera! Jeżeli ...” itd. Nie, moje panie! Piękność dlatego jest czymś więcej, niż geniusz, że nie wymaga komentarza. Młody i stary, mądry i głupi, książę i pasterz, na widok piękności otwierają usta i koniec! Z zachwytu. Niewrażliwy na piękno jest tylko zawodowy krytyk teatralny.

ATENA Więc stańmy przed Apollem. Niech rozstrzygnie!

HERA Bogowie są stronni. Zwłaszcza w stosunku do bogiń. Mają swoje boskie słabostki i podlegają wpływowi.

WENUS Myśmy sądziły śmiertelnych, niechaj śmiertelni nas osądzą.

ATENA Śmiertelni od dawna to robią nie bez przenikliwości.

HERA Znam niewinnego człowieka krwi królewskiej, chłopca — dziewczę, marzyciela, o najszlachetniejszych zadatkach na przyszłość. Unika belfrów i sportsmatów, obcuje z naturą. Lubi spoczywać na murawie w cieniu zagajnika i patrzeć na błękit nieba. Nie ma umysłu wykrzywnionego przez intelektualizm, jest wrażliwy bez czułościowości i mieszka w nim spokój, który gdy się poruszy, będzie zapalem, pełnym wdzięku i szczodroblewości.

WENUS Wydaje mi się, że wiem, o kim mówisz.

HERA Parys, syn Priama!

ATENA Zazdroszczę dziewczynic, która obudzi jego spokój.

HERA On by mógł się poznać na naszej urodzie. Chcecie przed nim stanąć jak przed sędzią?

BOGINIE Zgoda!

Obłok zaczyna wirować...

Zagajnik, strumień... Na murawie leży Parys. Wstaje, zrywa kwiatek, idzie. Przyśtańc, usłyszawszy nad sobą śpiew ptaka. Podnosi głowę. Ptak skacze z gałęzi na gałąź coraz niżej, potem odlatuje. Zamysłony Parys idzie dalej. Zerwał jabłko. Spotyka trzy boginie.

ATENA Powiedz młodzieńcze...

WENUS ...która z nas...

HERA ...jest najpiękniejsza?

Obowiązkiem operatora jest zrobienie wszystkiego, co jest w jego mocy, żeby boginie były w tej chwili olśniewające.

Parys patrzy kolejno na boginie, wreszcie podaje jabłko Wenerze.

Atena przyjmuje wyrok Parysa z wyrozumiałością. Hera zaciska usta i marszczy brwi. Wenus promienieje.

HERA Popamiętasz mnie, głupcze! (znika).

ATENA Gdy pożyjesz dłużej, zrozumiesz, że piękności jest wiele (znika).

WENUS Dziękuję ci, Parysie. Wenus umie być wdzięczna! (znika).

PARYS (przeciera oczy) Co to było?

CZEŚĆ II

Nagroda Wenery

Na królewskim dworze Priama Hektor namawia ojca, żeby wysłał Parysa do Sparty na naukę rzemiosła wojennego.

HEKTOR On nic nie robi!

PARYS Jakto nic nie robię?

HEKTOR Łazisz po dolinach i gajach, wylegujesz się nad strumykami...

PARYS Podziwiam naturę. Musi przecież ktoś podziwiać naturę! Nie podziwiać natury znaczy obrażać bogów, którzy ją stworzyli. Ty byś się tylko rąbał! A ja bym tylko kochał.

HEKTOR Słyszysz ojciec?!

PRIAM Spokojnie, chłopaki. Obaj macie rację. Po trochu. Potrzebne jest jedno i drugie: trzeba pracować i należy kochać. Mógłbyś, Parysie, zachwycać się naturą w chwilach wolnych od pracy.

Parys przybywa na dwór Menelaosa z listami polecającymi od Priama.

Uroczyste przyjęcie. Menelaos i Helena siedzą na tronach. Wchodzi Parys.

Wenus z obłoków pokazuje Kupidynowi dwór króla Menelaosa.

KUPIDYN Ależ ona jest zamężna!

WENUS Co cię to obchodzi!

KUPIDYN Moralność...

WENUS Nic jej się nie stanie. Byłoby gorzej, gdyby Parys był żonaty. Ale Parys jest wolny. A Menelaos kocha się w wojsku.

Kupidyn sfrunął z obłoku.

Gdy Parys składa pergamin królowi Sparty, z marmurowego postumentu w rogu sali pałacowej brązowy Kupidynek strzela z łuku.

Ugodzona strzałą w serce, Helena wydaje okrzyk zachwytu.

Zaraz po wczecie, w nocy, Parys uwozi Helenę z Agłówką.

Przestrzenie międzyplanetarne, obłoki, gwiazdy, księżyc. Kupidyn mówi do Wenery:

— Narobiłaś bigosu!

Na pełnych żaglach łódź sunie po morzu.

PARYS Jesteś piękniejsza, niż gwiazdy, jesteś słodsza, niż powiew tego wietrzyka, który pieści nas swoim dotknięciem i uwozi w krainę szczęścia.

HELENA Dokąd?

PARYS Do mojej trojańskiej garsoniery.

HELENA Czy Menelaos nas tam nie dosięgnie?

PARYS My house is my castle. Mam brata, który nas będzie bronił z zamiłowania do wojny.

HELENA Pocałuj mnie, bo mi się zdaje, że mówiąc nawet najmądrzej, tracimy czas na głupstwa.

Śród obłoków w promieniu księżycy Kupidyn mówi do Wenery:

— Dobrze ją trafiłem!

Tymczasem Menelaos śpi, za dużo wypiłszy wina.

W przestrzeniach międzyplanetarnych Hera namawia Morfuszę, żeby przez sen zawiadomił Menelaosa o niewierności Heleny i zdradzieckości Parysa.

Morfuszę wyjmuje z rogu obfitości węża o pawim ogonie i wąż ten przepętza przez powieki śpiącego Menelaosa.

Menelaosowi zaczyna się snić, że mu wyrastają ogromne rogi jelenie. Menelaos się budzi, szuka obok siebie Heleny, której nie ma. Zrywa się.

Pościg — w niewłaściwym kierunku.

Potem Menelaos się zjawia u króla królów, Agamemnona, oskarżając Parysa.

Rada królów greckich. Postanawiają wojnę przeciw Troi.

Wymarsz wojsk, najrozmiaćciej uzbrojonych.

CZEŚĆ III

Po dziesięciu latach

Pod murami Troi utarczki i bitwy. W dzień.

Cicha noc w Troi.

Pałac Priama. Opodal dom wodza naczelnego, mniejszy i niższy. Obydwa budynki zalane światłem księżyca.

Na dach pałacu wstępuje Helena.

HELENA (upojona pięknoscią nocy) Nie mogę spać! Ciszta też jasnej nocy jest prawie muzyką! Powietrze wydaje się słodkie, jak objęcia miłosne! W taką noc samotność jest torturą! Wyciągam ramiona w pustkę! Do gwiazd za daleko, do kochanka jeszcze dalej! (po chwili)

Taka sama noc witała mnie w Troi, gdy dziecię lat temu przybyłam po raz pierwszy do domu Parysa w uścisku Parysa! Gdzie jesteś, Parysie sprzed lat dziesięciu?! Ja się nie zmieniłam. W sercu. I w kształcie! Za sprawą Wenery, której laskawość dla mnie nie ma granic, jestem piękna jak w dzień porwania. I to samo pragnienie szczęścia przepelnia me łono. A przecież Parys... Dlaczego? Naturze męskiej za podstawę bogowie dali zmienność (z uwielbieniem). Parys jest stuprocentowym mężczyzną! Tyle ma w sobie kobiecości! Ta noc przyprowadzi mnie o szalciństwo! (Spojrzała w dół; przed pałacem stoi szylwach, młody chłopiec, szczupły, strojny, oparty o włócznię.)

HELENA Żołnierz. Śpi. Jaki zgrabny! (przygląda mu się z przyjemnością) Nie wolno spać na służbie! Gdyby oficer, obchodzący strażę, zobaczył go śpiącego, chłopak by poszedł do paki. Trzeba go obudzić (wola cicho) Żołnierzu! (po chwili drugi raz wola). Żołnierzu!

ZOŁNIERZ (ocenił się, rozgląda się zaniepokojony) Co? Gdzie? Nic ma... (zaczyna chodzić; przystaje, opiera głowę o drzewce włóczni, zasypia).

HELENA (zgorzogna) Znowu! (zrywa kwiat spośród liści, które oplatają ścianę pałacu i rzuca ten kwiat na żołnierza).

ZOŁNIERZ (znów się budzi, podnosi kwiat, przygląda mu się; w te chwile spada drugi kwiat; żołnierz podnosi głowę) Królowa! (staje na baczność).

HELENA (miętko) Upuściłam różę. Żołnierz (trzyma różę w ręku, nie wie co ma zrobić).

HELENA Pragnę ją mieć z powrotem. ZOŁNIERZ (podniósł rękę, żeby rzucić różę, ale się spostrzegł, że to nie wypada) Doprawdy...

HELENA Kocham tę różę! Jeżeli mi ją wręczysz, pozwolę Ci ucałować rąbek mojej szaty.

ZOŁNIERZ Królowo!

HELENA (złotnie) Drzwi pałacu są zamknięte.

ZOŁNIERZ Rozkaz królowo! (rzuca włócznię, wdrapuje się po murze; klekka przed królową, podaje jej różę).

HELENA Wstań. Zobacz, jak mi serce bije z obawy, żebyś nie spadł (bierze jego rękę i przyciska do swojej piersi).

ZOŁNIERZ Królowo, mąci mi się w głowie!

HELENA Nie upadnij! (obejmuje go) Musisz odpocząć. Odstąpić ci moje łóżce.

ZOŁNIERZ (wykonał ruch niepewności).

HELENA Parysa nie ma w pałacu.

ZOŁNIERZ Jest na murach obronnych?

HELENA (w przejściu dotykając dłonią ramienia posągu nagiej bogini) Na marmurach bezbronnych... (poculunek).

Tymczasem wysokie mury Troi obchodzą Enej, naczelnny wódz, sprawdza, czy strażę czuwają. Mury są grube, z wykuszami, nie do zdobycia. Tu i ówdzie baseny, napełnione wodą. Enej wchodzi na mur i ogląda stamtąd daleki obóz wojsk greckich. Na zewnątrz murów biegnie szeroki rów z wodą.

Gwiazdy błędną, niebo szarzeje, zaczynają się odzywać ptaki.

Z domu wodza naczelnego wychodzi Parys, trzymający w objęciach Diotimę.

DIOTIMA Nie mogę się z tobą rozstać!

PARYS A myślisz, że ja mogę? Muszę!

DIOTIMA Jeszcze chwilę!

PARYS Zaraz nadejdzie twój ojciec. (siadają na ławce przed domem).

DIOTIMA Tak cię kocham, że pragnęłabym być twoim sercem, które w tobie bije, na zawsze zamknięte w twojej piersi.

PARYS Co by ci z tego przyszło?

DIOTIMA Byłabym z tobą, nicustannie.

PARYS Zastanów się, przecież wówczas nie mógłbym cię całować! (wybuchają śmiechem i gorąco się obejmują).

(ptaki śpiewają coraz głośniej)

DIOTIMA Co zrobić, żeby... (pauza).

PARYS Gdyby nie Helena, moglibyśmy się pobrać.

DIOTIMA (nieśmiało) Przecież nie jesteś jej mężem.

PARYS Ale jestem gentlemanem. Skompromitowałem ją, muszę, jako jej narzeczony czekać cierpliwie żeby owdowiała. Gdy owdowicie, poślubię ją, ponieważ Helena heroicznie znosi swoją fałszywą sytuację towarzyską. Moja szwagierka, cnotliwa Andromacha, patrzy na nią, jak pies na kota. Kassandra też jej dokucza przez wrodzoną zrzędnosć. Nie, nie, Helena nie ma wesolego życia w Troi! Ja ją zaniedbuję — dla ciebie, kochanie, — a ona mimo to jest mi wierna. (obejrzał się na pałac) Śpi biedaczka i ciężko jej na sercu. Zażożyłbym się, że przez sc. wzdycha.

DIOTIMA Tylko się nie roztkliwiaj!
Gdybyś się ze mną ożenił, byłabym ci tak samo wierna jak Helena.

PARYS Ja się z nią nie ożeniłem!

DIOTIMA Wszyscy was uważają za małżeństwo.

PARYS Gdyby była moją żoną, rozwiódłbym się z nią dla ciebie Diotimo. Natychmiast!

DIOTIMA Najdroższy Parysie!

PARYS Nie miałbym wyrzutów sumienia, ponieważ rozwód może być dla kobiety nieszczytciem, ale jej nie kompromituje.

DIOTIMA To zależy.

PARYS Co zależy?

DIOTIMA Jeżeli się kobieta rozwodzi, to wszystko w porządku. Ale jeżeli się rozwodzi mężczyzna, to kobieta jest skompromitowana, bo jest porzucona.

PARYS Nie wiem, czy...

DIOTIMA Prawdziwą kompromitacją dla kobiety jest tylko jedno: być porzuconą!

PARYS Myślisz?

DIOTIMA Naturalnie! I wszyscy tak myślą.

PARYS A porwanie?? Porwanie jest taką kompromitacją, że wywołało wojnę!

DIOTIMA Kompromitacją mężczyzny.

PARYS Jak to?

DIOTIMA *(uderza palcem w pierś Parysa)* Nie tego mężczyzny, który porywał, lecz tego, któremu porwano.

PARYS *(zadowolony z siebie)* Bardzo mi żal Menelaja.

DIOTIMA Dlaczegoś mnie nie porwał? PARYS Musiałś podrosnąć. Porywanie dzieci karane jest więzieniem.

DIOTIMA A teraz byś mnie porwał? PARYS Gdyby była druga Troja, w tej chwili! *(chwyci Diotimę w objęcia)*.

DIOTIMA Parysie!

PARYS Co?

DIOTIMA Mam myśl!

PARYS Powiedz.

DIOTIMA Gdyby tak...zwrócić Menelajowi Helenę?

PARYS Nicmożliwe.

DIOTIMA Dlaczego?

PARYS Prestige mocarstwowy Troil. Poza tym...wojna trwa dziesięć lat: pomyśl, ilu w tej wojnie zajaśniało bohaterów! Po obydwóch stronach. Gdybyśmy teraz doszli do przekonania, że rozlew krwi można zahamować przez zwrócenie Menelajowi jego Heleny, jak by wyglądali bohaterowie? Wszystkie czyny bohaterskie stałyby się śmieszne. Przecież to można było zrobić przed pierwszą bitwą!

DIOTIMA Kiedy się pomyśli, z jakich okoliczności wyrasta bohaterstwo...!

PARYS Pociesz się, że ludzkość dopiero jest w kolebce. Przyjdzie czas, że zmadrzejemy.

DIOTIMA *(zarzucając ręce na szyję Parysowi)* Wątpię.

PARYS Oh, Diotimo, Diotimo!

DIOTIMA I nie wiem, czy by to było lepiej.

PARYS *(ze śmiechem)* Co?!

DIOTIMA Jeżeli mądrość ma przyjść na miejsce miłości, to już wołę wojny!

PARYS *(zachwycony)* Co ty wygadujesz!
DIOTIMA Wołę być głupia z tobą, niż mądra z profesorem geometrii!

(pocalunek)

(głos pobudki, czysty, jasny głos trąbki)

PARYS Zaraz wróci Twój ojciec.

DIOTIMA I znów będziemy cały dzień osobno!

PARYS Myśl o mnie!

DIOTIMA Będę cię cały dzień czuła!

(rozstają się)

Na dachu pałacu ukazują się żołnierze, szybko schodzą po murze. Podnosi włócznię. Do ubrania ma przypiętą różę. Ciałuje ją.

Wraca Enej, wódz naczelny. Przystanął Przegląda się żołnierzowi. Zrywa różę z jego piersi i rzuca na ziemię. Wchodzi do swego domu.

Na murach wstają żołnierze.

W obozie greckim. Cwiczą się kopijnicy. Kucharze rozpalają ogniska. Znoszenie wody w wiadrach.

Namiot Agamemnona. Przed namiotem straż.

Na dwóch żerdziach rozpostarta płachta z ogromnym napisem:

Król królów Agamemnon

Inne namioty z podobnymi napisami: Król Ulisses, Król Achilles, Ajax i Ajax, Król Menelaos...

Menelaj wychodzi ze swojego namiotu, przeciąga się, ziewa. Żołnierz przypasuje mu miecz. Szyszaka nie wkłada, trzyma w ręku

MENELAJ *(do żołnierza)* Krzesło!

ŻOŁNIERZ *(wynosi z namiotu krzesło)*

MENELAJ *(siada)* Mleka!

ŻOŁNIERZ *(podaje dzban i kubek)*

MENELAJ *(pije z dzbana: zamyslił się; rzuca dzban o ziemię)* Mam tego dosyć! *(wstaje porywczo)* Kto to powiedział, że wojna jest największą stratą czasu? Miał rację!

ŻOŁNIERZ *(staje na baczność)* Tak jest, królu Menelaju.

MENELAJ Wiem, że tak jest!

ŻOŁNIERZ Tak jest!

MENELAJ Do Agamemnona! Powiedz, że chcę z nim pomówić.

ŻOŁNIERZ Rozkaz! *(wybiega)*.

MENELAJ *(siada, zapada w ponurę zamyslenie, od czasu do czasu przesuwając ręką nad czołem i nad głową, jakby mu się śniło, że mu wyrastają rogi jelenie)*

DRUGI ŻOŁNIERZ Królu Menelaju!

MENELAJ *(patrzy tępym wzrokiem na Drugiego Żołnierza)* O co chodzi?

DRUGI ŻOŁNIERZ Posłaniec od Ajaxa Starszego.

MENELAJ Czego chce?

DRUGI ŻOŁNIERZ Coś przyniósł.

MENELAJ Co?

DRUGI ŻOŁNIERZ Nie wiem.

MENELAJ Przyprawdzi!

Po chwili wchodzi żołnierz Ajaxa, staje na baczność.

ŻOŁNIERZ AJAXA Król Ajax Starszy zaprasza cię, królu Menelaju na obiad. Był wczoraj na polowaniu i ubił dużą

sztukę. Trofea przysła Ci w prezencji
(*wyjmując z worka wspaniałe rogi jelenie*).

MENELAJ (*mimowoli poruszył ręką nad swoją głową*) Podziękuj Ajaxowi. (*wściekły*) Powiedz mu, że te rogi przymocuje sobie nad łóżkiem.

ŻOŁNIERZ MENELAJA (*przed namiotem Agamemnona*) Mój król, Menelaos, zaraz przybędzie do króla królów, Agamemnona.

ŻOŁNIERZ AGAMEMNONA (*uroczyście*) Król królów jeszcze śpi.

W drodze powrotnej żołnierz Menelaja spotyka swojego króla.

ŻOŁNIERZ Król królów jeszcze śpi.

MENELAJ (*wściekły*) Co?! (*pełdzi dalej*).

W namiocie Agamemnona. Półożąc na makatach, Agamemnon i Bryzeida jedzą śniadanie.

BRYZEIDA Jeżeli wszystkim jeńcom tak dobrze się dzieje, jak mnie, to nie wiem, po co się toczy wojna.

AGAMEMNON Helenie też jest dobrze w Troi.

BRYZEIDA Więc właśnie! Powiedz mi, miły królu, o co się bijecie?

AGAMEMNON Mów mi po imieniu.

BRYZEIDA Agamemnonie, pocałuj mnie i powiedz, czy by nie było lepiej zaprzestać tej wojny.

AGAMEMNON Menelaj jest ośmieszony.

BRYZEIDA Ta wojna ośmiesza go jeszcze bardziej.

AGAMEMNON Przelewanie krwi zmazuje wszelką śmieszność.

BRYZEIDA Czy to nie za wysoka cena? Zresztą, cóż tak okropnego jest w śmieszności? Lepiej być śmiesznym, niż mordercą.

AGAMEMNON Rozumiesz, jak kobieta. Królowi nie wypada być śmiesznym. To tak, jak by przyszedł na ucztę w jednym sandale i przez roztargnienie miał drugą nogę bosą.

BRYZEIDA Więc, żeby ludzie przestali się z tego powodu uśmiechać, zarządzasz się rzeź?

AGAMEMNON Ty tego nie rozumiesz!

BRYZIEDA A ty rozumiesz?

AGAMEMNON Ja to wyczuwam. To jest kwestia poczucia. Poczucia honoru.

BRYZEIDA Chciałeś powiedzieć humoru!

AGAMEMEMNON (*oburzony*) Daruj, ale mieć żonę, która ucieka z młodym chłopcem!... (*uśmiecha się*) Biedny Menelaj!

BRYZEDIA Wiesz, Agamemnonie, bawi cię to po dziesięciu latach wojny!

AGAMENON Bo to komiczne!

Wchodzi żołnierz.

ŻOŁNIERZ Królu królów!

AGAMEMNON Co tam?

ŻOŁNIERZ Chce z tobą mówić król Menelaj.

AGAMEMNON (*zaskoczony*) Ależ...

ŻOŁNIERZ Pilna sprawa. Chodzi o porwanie królowej Heleny.

AGAMEMNON Niech to diabli! (*do żołnierza*) Za chwilę!

ŻOŁNIERZ (*wychodzi*)

GŁOS MENELAJA Agamemnonie!

AGAMEMNON (*do Bryzeidy*) Schowaj się!

BRYZEIDA Gdzie?

AGAMEMNON Zawini się!

BRYZEIDA (*naciąga na głowę makatę*)

AGAMEMNON (*rzuca na nią poduszkę*)
Wchodzi Menelaj.

MENELAJ Jeszcze śpisz?

AGAMEMNON W nocy...pracowałem...do późna.

MENELAJ (*zdezorientowany*) Nad czym?

AGAMENON Nad zdobyciem Troi.

MENELAJ Ja właśnie w tej sprawie.

Już dłużej nie mogę! Co wymyśliłeś?

AGAMEMNON Musimy ich pokonać.

MENELAJ No, pewnie! Ale jak? Co wymyśliłeś w nocy?

AGAMEMNON Doszedłem do przekonania, że...

MENELAJ Że co?

AGAMEMNON Że...trzeba zwołać naradę wojenną.

MENELAJ Ja do ciebie z tym samym! Myśleliśmy w nocy o tym samym!

BRYZEIDA (*wysunęła głowę spod makaty*)

AGAMEMNON Bo ostatecznie raz trzeba skończyć!

MENELAJ Ja sobie rady nie mogę dać bez Heleny! Ciągłe sam, ciągle sam!

I najcierpliwszy ma tego dosyć! Na którą godzinę wyznaczysz posiedzenie? Ostatecznie mamy w radzie wojennej kilku mądrych ludzi. I żonatych. (*sposzrzęgl*

Bryzeidę) Co to?

AGAMEMNON Gdzie?

MENELAJ Pod poduszką.

AGAMEMNON. To... Ta...

MENELAJ Ładna dziewczyna.

AGAMEMNON To jeniec.

MENELAJ Chłopiec?

AGAMEMNON Prawie.

MENELAJ Jakto prawie?

AGAMEMNON Ona jest taka młoda, że jeszcze nie jest dziewczyną.

MENELAJ Co ty mówisz?

AGAMEMNON Oczywiście, że formalnie jest dziewczyną. Formalnie!

MENELAJ Co ty gadasz?!

AGAMEMNON Przed tobą przecież nie będę ukrywał.

MENELAJ Co tu jest do ukrywania? Pokaż ją!

AGAMEMNON Ona jeszcze śpi.

MENELAJ Z otwartymi oczami?

AGAMEMNON Nie! Zresztą, ci powiem. To jest Bryzeida, którą wziął do niewoli Achilles, a ja mu ją zabrałem.

MENELAJ Niech panienka wstanie.

BRYZEIDA (*wstaje*)

MENELAJ Wiesz, że bardzo, bardzo!

AGAMEMNON Pomściłem cię.

MENELAJ Jak to?

AGAMEMNON Za Helenę.

MENELAJ Dziękuję. Jak się panienka czuje w niewoli?

BRYZEIDA Tak samo jak na wolności.

MENELAJ Jak to?
BRYZEIDA Też mnie pilnują. Tylko się zmienił narzeczony.

MENELAJ (do Agamemnona ponuro) Zwołaj posiedzenie (wycbodzi).

AGAMEMNON Po coś wysuwała głowę spod pierzyny?

BRYZEIDA Chciałam zobaczyć małżonka Heleny. Wołam ciebie! (rzuca się Agamemnonowi na szyję).

Trojanie robią wycieczkę. Otwiera się brama w murze i wysypuje się kilkudziesięciu wojowników, uzbrojonych w miecze i tarcze, a mają i kopie i oszczepy.

W obozie greckim alarm. Z namiotów wypadają wojownicy. Jeden drugiemu pomaga przyspaść kolczan ze strzałami, czy miecz, czy spina z tyłu zbroję.

Wrzawa. Grzmią trąby.

Przedpole między murami zewnętrznyimi Troi a obozami greckimi. Tu i ówdzie wysunięte stráže greckie.

Otwiera się brama w murze, wypada kwadryga, na niej Hektor z włócznią.

Gdy jeden z żołnierzy greckiej straży przedniej zobaczył kwadrygę, zaczyna uciekać w stronę obozu. Hektor go dopędza, żołnierz uskokzył za drzewo palmowe, które w tym miejscu rośnie samotnie. Hektor rzuca włócznią, żołnierz się uchyła, włócznia się wbija w pień palmowy. Kwadryga mknie dalej. Żołnierz wypuszcza strzałę z łuku za Hektorem, chybia.

Wnętrze namiotu Menelaja. Menelaj leży na łóżku. U wezłowia ogromne rogi jelenie. Wbiega żołnierz.

ZOŁNIERZ Trojanie atakują!

MENELAJ (siadł na łóżku) Zdawało mi się, że śnię. Dawaj pancerz! Dobry mieli pomysł, bo mnie już roznosiło. Duża wycieczka?

ZOŁNIERZ Piechota i wozy, i kopijnicy... Wszystkie bronie! Nawet ci z toporami!

(słychać trąby)

MENELAJ (wyszedł przed namiot, przyslonił oczy dłonią, patrzy na przedpole) Czy to nie Hektor wyjechał?

ZOŁNIERZ (przeżaszony) Hektor?!

MENELAJ Co ci się stało? Jesteś synem Sparty, czy nie jesteś?

ZOŁNIERZ (Udaje odważnego) Naturalnie.

MENELAJ No, więc! (znów patrzy, przysloniwszy oczy dłonią) Żeby Parys... Ale Parys woli inne harce. Pokojowe! Podaj mi konia!

Przed namiotem Achillesa.

PATROKLES Pożycz mi swojej kwadrygi, Achillesie. Dwa moje kasztany okulały. Przywiozę ci głowę Hektora.

ACHILLES Zastanów się Patroku. Hektor jest dwa razy większy od ciebie. To doświadczony zapaśnik.

PATROKLES Nasze włócznie są jednakowej długości.

ACHILLES Hektora mnie zostaw.

PATROKLES Powiedziałeś, że nie wyjdiesz w pole, dopóki ci Agamemnon nie zwróci Bryzeydy.

ACHILLES (wybuchowo) Obraził mnie!

PATROKLES Pozwól, że ja tymczasem...

ACHILLES Przyrzeknij mi, Patroklesie, że jeżeli go z wozu chybisz włócznią, na miecze z nim nie pójdziesz.

PATROKLES Nic wiem, co przedsięwzięmie Hektor. Jakże więc mógłbym ci przyrzekać, że się nie będę rąbał z Hektorem. Uściskaj mnie! (padają sobie w objęcia).

Przedpole. Wojownicy się pojedynkują. jedni pieszo, inni na koniach, czasami przemkną wóz.

Menelaj na koniu, w otoczeniu wojowników spotyka kwadrygę Hektora. Hektor wstrzymuje konie.

HEKTOR To ty, Menelaju! Przyczyni wojny!

MENELAJ Przyczyna jest za murami!
HEKTOR Zejdź z konia, spróbujemy, kto mocniejszy.

MENELAJ Nie ciebie szukam, Hektorze! Szukam Parysa!

HEKTOR Parys nie ma czasu z powodu Heleny (odjechał).

MENELAJ Bodaj by ci porwali Andromachę, byku dwunogi!

W innym miejscu trzech Trojańczyków naciera na Ajaxa Starszego. Biegnie mu z pomocą Ajax Młodszy, jednego Trojańczyka położył uderzeniem w głowę, drugi się do niego odwrócił, walczą. Walka dwóch Ajaxów jest długa i wszystkimi sposobami. Tymczasem ów Trojańczyk, który już leżał, siada, zbiera się z siłami, wstaje i znów naciera.

Na obłokach spotykają się dwie boginie, Hera i Wenus.

HERA Widzisz, czego narobiła Twoja słabość do Parysa! Dałaś mu Helenę i dziecięć lat trwał wojna!

WENUS Nie posądzałam mężczyzn o taką głupotę.

HERA Nota bene główny winowajca, Parys, najmniej się miesza do boju.

WENUS Głównym winowajcą jest Menelaj.

HERA Miłość wywołała tę wojnę!

WENUS Zazdrość Menelaja! Miłość nie wywołuje zniszczenia; jest elementem twórczym. Zazdrość jest żywołem niszczącym!

Przybywa Atena.

ATENA Zobaczcie, jak się bawi Ulisses.

Boginie spoglądają w dół. Oparty o drzewo palmowe, Ulisses strzela z łuku. Trafia konie, pedzące z wozami wojennymi.

HERA A widziałaś, jak pracują Ajaxy?

Ajaxy się męczą nad zamordowaniem przeciwników. Jeden pomaga drugiemu.

ATENA Patrokles ściga Hektora.

HERA Nie dam nic zrobić Hektorowi. Cenię go za wierność żonie.

ATENA Ty, za wierność?

HERA Mężczyzna powinien być wierny.

ATENA Ah, mężczyzna!

HERA Ponieważ niewierność kobieca jest tylko figlarnością, nie pociąga za sobą

sprzeniewięzienia się uczuciowego mężczyźni. Mężczyzna każdą nową przygodę gotów jest uważać za pierwszą prawdziwą miłość.

WENUS (*wzruszyła ramionami*) Nie znasz się na tych rzeczach.

ATENA Miłość...

HERA Miłość...

WENUS Miłość nie wynika z żadnych przyczyn.

ATENA Więc... Skąd się bierze?

Kupidyn splywa na obłok.

WENUS (*dotyka koleczanu ze strzałami Kupidyna*) Stąd. (*przewiązuje oczy Kupidynowi szalem*) Strzelaj na ślepo!

KUPIDYN (*rozradowany*) Jak ja to lubię! (*napina strzałę na łuk, zakreślił się na pięcie, mierzy w dół, wypuszcza strzałę*)

WENUS Patrzcie, co się stanie.

Widać strzałę, lecącą wśród obłoków, potem nad polami, lasami, nad miastem, nad gajem... W gaju śpi na murawie Tytania. Rozchyłają się przed nią galezie krzaków, przed Tytanią staje osioł. W tej chwili strzala wbiła się w pierś Tytanii. Tytania się budzi. Otwiera oczy, patrzy z zachwytem na osła i mówi:

— Cóż to za piękne zjawisko! Kim jesteś, młodzieńcze?

Osiol wydaje mruknięcie.

TYTANIA Kocham cię! (*wstaje, obejmuje szyję osła*) Jesteś nie tylko piękny! Z twego czoła bije blask geniuszu! Pozwól się kochać! Będę ci wierna do śmierci.

Osiol chrupnął obojętnie kilka liści z krzaka.

WENUS (*do Hery*) Widziałas?

HERA (*zła i przestraszona*) Uważam, że ta zabawa (*wskazuje koleczanu ze strzałami na ramieniu Kupidyna*) to wielkie nadużycie. Zchył taki smarkacz miał prawo bezkarnie ośmieszać ludzi!...

WENUS I bogów. Piękność, która się zakochała w osle, jest boginią. Nie poznałyście Tytanii?

HERA To już za wiele!

ATENA (*do Hery*) Nie narażaj się Wenerze. Gotowa cię ustrzelić dla hipopotama.

HERA Zastanówcie się! Przecież ta wielka wojna jest dziełem takiej jednej głupiej strzały! Całe Bałkany się trzęsą! Koleczanem Kupidyna powinien być się rozporządzać nie smarkacz, ale naj-mądrzejszy z bogów.

ATENA Najmądrzejszy?

HERA No, chyba!

ATENA Który?

HERA (*zakłopotana*) Któryś z dojrzałych, mądrych bogów.

ATENA Gdzie ich masz? Czy ci nie wiadomo, że cechę bogów jest nie dojrzałość, lecz młodość?

WENUS (*z uśmiechem*) Niedojrzałość. -

Tymczasem Kupidyn odleciał od bogini i z obłoków wypuszcza po trzy strzały naraz w byle jakim kierunku. Później, nie widać Kupidyna, tylko mnóstwo strzał, pędzących w różne strony. Za jedną z tych strzał prowadzi nas reżyser nad pałac Agamemnona. Pod pałacem idzie młody człowiek. Z bramy

wychodzi Klitemnestra. Spotykają się. Strzala wbiła się w pierś Klitemnestry. Klitemnestra chwytą się za serce, patrząc z zachwytem na młodzieńca.

Boginie na obłoku.

HERA Widzisz? To Klitemnestra, żona Agamemnona. On walczy, narazą życie, a twój Kupidynek przyprawia mu tymczasem rogi.

WENUS Czy nie miałabyś ochoty rzucić okiem na Agamemnona?

W namiocie króla królów Bryzeida przedstawia sobie stołek i obejmuje Agamemnona. Agamemnon całuje ją i niesie na rękach, jak dziecko, w kolo namiotu.

BRYZEIDA Gdyby to widziała twoja żona!

AGAMEMNON Mężczyzna ma prawo zdradzać żonę, ponieważ... (*potknął się*)

BRYZEIDA Ponieważ co?

AGAMEMNON (*kaszlnął*) Ponieważ jest mężczyzną.

BRYZEIDA Żona ma prawo zdradzać męża... z tych samych powodów.

AGAMEMNON (*ze śmiechem*) Jest mężczyzną?

BRYZEIDA Ponieważ jest kobietą.

Ajax piluje mieczem, leżącego przeciwnika. Drugi Ajax siedzi okrakiem na Trojańczyku i bije go głowicą miecza po szyjaku. Ten Trojańczyk leży do góry plecami i stara się wierzgnąć Ajaxa.

W innym miejscu pędzi wóz Patroklesa. Dopędza Hektora.

PATROKLES Nie uciekaj Hektorze!

HEKTOR (*się ogląda*) Kto ty jesteś?

PATROKLES Ten, który chce cię zabić.

HEKTOR Niczyli pomysł. Ak ja szukam Agamemnona, ponieważ myślę, że śmierć króla królów położy kres tej wojnie.

PATROKLES Najpierw ty zginiesz! (*rzuca w Hektora włócznią*)

Włócznia przelatuje obok Hektora.

HEKTOR (*ze śmiechem*) I jako żyję! Nie rób głupstw, chleraku, bo cię to będzie drogo kosztowało. Powiedz mi lepiej gdzie jest Agamemnon.

PATROKLES Boisz się mnie!

HEKTOR Żal mi cię.

PATROKLES A ja sobie kpię z ciebie!

HEKTOR Po raz ostatni ci mówię odczep się!

PATROKLES Ogłoszę w obozie, że Hektor stchórzył!

HEKTOR (*wstrzymuje konie, zeskakuje z wozu*) Zejdź!

PATROKLES (*schodzi z wozu, bierze miecz do ręki*)

HEKTOR Zastanów się.

PATROKLES (*milczy w bojowej postawie*)

HEKTOR Uderzaj!

PATROKLES (*napada*)

HEKTOR (*cofa się pomalutku*)

Hera staje w pobliżu walczących. Boginie na obłoku.

WENUS (*do Ateny*) Żal mi Patroklesa

ATENA Zapal jest najniebezpieczniejszą chorobą młodości.

HEKTOR *(chwycił swoją mocną ręką kiść Patroklesa. Scisnął. Miecz wypada z dłoni Patroklesa. Hektor rzuca Patroklesa o ziemię, chłasnął go mieczem, odchodząc, siada na wóz, odjeżdża).*

Hera unosi się w powietrzu.

Przed namiotem Achillesa.

Biegnie żołnierz, wołając:

— Zginął Patrokles!

Wychodzi z namiotu Achilles.

ACHILLES Widziałeś?

ŻOŁNIERZ Zabił go Hektor!

W murach trojańskich otwiera się brama, do miasta wjeżdża Hektor. Brama się zamyka.

Ajax Starszy i Ajax Młodszy spojrzeli na trzy trupy trojańskie, ocierają pot z czoła, krew z mieczów i ciężkim krokiem wracają do obozu.

Na obloku dwie boginie, Wenus i Atena, posmutniały. Dalej, w przestworzu, widać płynącą Herę. Atena i Wenus rozstają się, każda odpływa w inną stronę.

CZĘŚĆ IV

Narada

Przed namiotem Agamemnona. Królowie się schodzą na naradę.

W namiocie Agamemnona. Pośrodku stoi stół. Wchodzą królowie, zajmują miejsca przy stole.

W palacu Priama. Priamu i Andromacha.

ANDROMACHA Cały ciężar wojny spoczywa na barkach Hektora.

Wchodzi Hektor.

PRIAM Niepokoiliła się o ciebie Andromacha.

HEKTOR *(całuje Andromachę w czoło)* Wszędzie dobrze, ale koło ciebie najlepiej. Agamemnona znów nie było. Agamemnon bardzo rzadko wychodzi w pole.

PRIAM Gdybyś go, synku, sprzątnął, Grecy by zaraz poszli na układy. Myślę, że w warunkach pokojowych powinniśmy żądać kolonii.

Wchodzi Parys.

HEKTOR Pytał o ciebie Menelaos.

PARYS Następnym razem kłaniaj mu się ode mnie.

ANDROMACHA Mógłbyś trochę pomagać bratu w wojnie.

PARYS Racja stanu wymaga, żebym się nie narażał. Pomyśl, jakby wyglądała nasza polityka w tej wojnie, gdyby Menelaj mnie zabił!

ANDROMACHA Nie byłoby powodu do dalszego zatrzymywania Heleny, a tym samym skończyłaby się wojna.

PARYS Dziękuję szwagierce! Na szczęście wyższa polityka państwowa, dbająca o moralność, zapatruje się na to inaczej.

ANDROMACHA Nie wiem, co może być moralnego w popieraniu jawnego

cudzołóstwa, zwłaszcza po śmierci cudzołózczy!

PRIAM Ty się na tym nie znasz, moje dziecko. Parys musi żyć dla prestige'u narodowego.

ANDROMACHA Parys musi żyć z Heleną dla prestige'u narodowego, a mój mąż, który nie ma nic z tego cudzołóstwa, musi co dzień nadstawiać karku!

PARYS Każdy na swój sposób ponosi ofiary dla ogólnego dobra.

ANDROMACHA Ty nie ponosisz żadnych ofiar, ponieważ zdradzasz Helenę!

PARYS Co to za nowe plotki?!

ANDROMACHA Wiem co mówię!

Jesteś podwójnym cudzołózcą!

PRIAM Cicho! To się nie może wydać! To jest tajemnica państwowa! Parysie, zaklinam cię na honor, bądź ostrożny!

PARYS Nikomu nie robię krzywdy.

Helena się nie skarży.

ANDROMACHA Co się ma skarżyć?!

Po prostu cię zdradza! To jest kobieta

rzeczowa.

PARYS Helena?!

PRIAM Cicho! Usłyszysz służba.

PARYS Z kim?

ANDROMACHA Z kim się da!

PARYS Dowody!

HEKTOR Nie mogę pozwolić na prowadzenie tak nieprzyzwoitych rozmów w obecności mojej żony. *(bierze pod rękę Andromachę)* Chodź stąd, moje dziecko.

ANDROMACHA Rogi są przeznaczaniem zarówno Menelajów, jak Parysów!

W namiocie Agamemnona.

AGAMEMNON Udzielam głosu Menelajowi.

MENELAJ *(wstaje)* Ja powiem krótko. Według mnie dosyć tego!

AJAX MŁODSZY Czego?

MENELAJ Wojny!

AJAX STARSZY Chcesz się wycofać

z wojny? *(smiechi)*

MENELAJ Nie! Chcę skończyć wojnę!

AGAMEMNON Wszyscy tego chcemy. Ale jak?

MENELAJ *(z ogromną siłą przekonania)*

Zwycięstwem!

KTORYŚ Z KRÓLÓW Dobryś!

MENELAJ Cały ciężar wojny dźwigam na sobie ja!

Protesty królów.

AJAX MŁODSZY Jakim sposobem tylko ty?

AJAX STARSZY Właśnie!

MENELAJ Ponieważ ja jeden między wami noszę rogi. Dziesięć lat noszę!

Dosyć!

AJAX MŁODSZY Kto ci kazał?

AGAMEMNON *(karcąco)* To nie jest zależne od niego. Rogi są niezależne.

AJAX MŁODSZY Żeby się był pilnował...

AJAX STARSZY Nie dopilnował żony!

AJAX MŁODSZY Zaniedbał pilnowania żony! Rogi są wynikiem zaniedbania.

AGAMEMNON Nie pomoże pilnowanie, gdy wejdziesz w drogę fatalność.

AJAX STARSZY Co to jest fatalność?

ULISSES Uważam, że to pytanie zakrawa na bluźnierstwo. Kto śmie podawać w wątpliwość istnienie fatalności? Gdy żona zechce, zawsze oszuka męża.

AJAX MŁODSZY Ale dlaczego ma zechcieć?

ULISSES To właśnie jest fatalność.

AGAMEMNON Nie odbiegajmy od przedmiotu obrad. Menelaju możesz mówić.

MENELAJ Ja już powiedziałem. Jestem za zwycięstwem Troi.

AGAMEMNON Ale co radzisz w tym przedmiocie?

MENELAJ Radzę...naradzić się w tej sprawie.

NESTOR Możeby zarządzić wróżby?

AGAMEMNON Do wróżb przedziemy w wolnych wnioskach.

ULISSES Mury Troi są nie do zdobycia. Z zewnątrz Troi nie zdobędziemy. Głodem Troi nie weźmiemy. Mają pola uprawne, sady owocowe i warzywne, bydło, ptactwo domowe i ryby. Wczoraj na obiad Priam i jego rodzina jedli kuropatwy.

NESTOR Można by ich zaatakować od strony wody.

AGAMEMNON Probowaliśmy to przecież zrobić kilka razy. Wejście do zatoki jest wąskie, flotę mają dużą, z brzegów mogą niszczyć nasze okręty.

ULISSES Od strony wody moglibyśmy ich zwyciężyć tylko jednym sposobem. (krótka pauza, wszyscy słuchają) Gdybyśmy mieli okręty...podwodne.

AGAMEMNON Ba!

ULISSES Ta sama trudność co z murami.

AJAX MŁODSZY Jak to?

ULISSES Nic by nam mury nie przeszkadzały, gdybyśmy mieli wojowników fruwających.

NESTOR Jeszcze nie jesteśmy bogami, mój Ulisiesie.

ULISSES Muszę wam powiedzieć, królowie i wodzowie, że ostatniej nocy śniły mi się te niemożliwości i przez cały dzień dzisiejszy o nich myślę.

AJAX STARSZY Po co myśleć o niemożliwościach!

ULISSES Ponieważ wydały mi się możliwe.

NESTOR Bogowie zysują nam we śnie wiadomości, z których ludzie mądrzy powinni na jawie wyprowadzać wnioski.

AJAX MŁODSZY Najrozumniejszemu z Greków nie ośmieliliby się bogowie zysłać snów niemądrych.

AGAMEMNON Opowiedz, Ulisiesie. Może się co z twojego snu da zastosować w wojnie.

ULISSES Widziałem okręt, który, jak wieloryb, zanurzył się powoli w wodę.

AGAMEMNON Jak wyglądał?

ULISSES Nie miał żagłów. Poruszał się przy pomocy, jak gdyby pletw, których dobrze nie widziałem. Szybko płynął naprzód, i, oto...zaczął się zanurzać.

Królowie siedzą zastłuchani. Na ekranie ukazuje się łódź podwodna, płynąca na powierzchni morza. Słychać głos Ulisiesa.

GŁOS ULISSESA Okręt ten wyrzucał strzały morskie, te strzały powodowały wybuchy wodne. Jednocześnie widziałem olbrzymie ptaki, które fruwały na nieruszających się skrzydłach. Na tych ptakach siedzieli wojownicy, którzy rzucali ogień. Przeciwno tym ptakom podniosły się na ziemi ogromne dzioby ptaków, ukrytych między krzakami. Te dzioby oplwały gorącą śliną. Pod samym gajem stały żelazne słonie o podniesionych trąbach. Wojownicy doskakiwali do tych słoni, drapali boki słonia, uderzali go w kłęby, po czym rozgniewane zwierzę wydawało wściekłe ryknięcie, wypływało ogień i dostawało czkawki. Nie wierzyłem swoim oczom. Przez pole biegli żołnierze z żelaznymi rurami w rękach, przystawali, przyklękali, padali na ziemię i strzelali z tych rur niewidzialnymi, ale hałaśliwymi strzałami. Tu i owdzie stał żelazny pies i szczekał, (kulomioty, karabiny maszynowe), tu i owdzie z ziemi wyrwał się dym i kamienie leciały w górę, jakby potężny olbrzym podziemny uderzył spod spodu niewiarygodnie wielką pięścią. My się musimy napracować nad zabiciem jednego człowieka, musimy się z nim zмагаć. We śnie widziałem jak padały szeregi wojowników, oplutych przez jednego szczekającego psa z żelaza. Nasza wielka wojna wydała mi się dziecięcą zabawką.

To co opowiada Ulisies, jest ilustrowane fragmentami zdjęć z ostatniej wojny europejskiej. Widać bitwę morską, bitwę lądową, artylerię, naloż, walenie się domów pod bombami, czołgi...

GŁOS ULISSESA Fortece nie stały na miejscu, miały koła, albo raczej węże pod sobą i z boków, pędziły do boju, jak nasza konnica. Nad fortecami żelazne orły o szytych skrzydłach, warczące tak głośno, że nie można rozmawiać na ziemi. Ludzie, zawieszani pod ogromnymi kwiatami, spływali wolno na ziemię, zeskoczywszy z żelaznych ptaków (spadochroniarze). Fortece ruchome rozgniaty na swojej drodze drzewa i domy! Okręty nieprawdopodobnej wielkości zatapiało jednym pociskiem. Przez pola i lasy szli ludzie, mężczyźni, kobiety, dzieci...wszędzie leżały trupy, trupy, całe narody trupów.

Królowie siedzą zastłuchani. Cisza. Agamemnon wstaje, poprawił na sobie szaty...

AGAMEMNON No, tak, Ulisiesie. Opowiedziałeś nam rzeczy, które się mogą zdarzyć tylko we śnie. Opowiedziałeś nam okropną bajkę. Teraz przejdźmy do rzeczywistości.

NESTOR Tak, to są bajki. Ludzie są pijanymi bogami.

AJAX MŁODSZY (wzruszył ramionami) Fortece na wozach! Bez koni! Jadące!!

AJAX STARSZY Właśnie! Bez koni! Jakim sposobem mogą się ruszać? Żeby przynajmniej miały żagle! Pchał by je wiatr.

NESTOR Wiatr? Chyba burza!
AGAMEMON Dobrze mówisz Nestorze. Musiał by to być huragan! I to jaki! A tu biegają, jak żywc!

AJAX STARSZY Albo okręty podwodne! Gdybyśmy nawet mieli okręt, który płynię pod wodą, to przecież nie mamy marynarzy, którzy pod wodą umieją oddychać!

ULISSES Jeszcze dziwniejsze są okręty fruujące. Taki statek w powietrzu. Ale, pomyślcie, mając jeden okręt podwodny, albo takiego konia fruującego, moglibyśmy się dostać do Troi, wywołać tam pożar, otworzyć bramy...

MENELAOS Nazywają cię, Ulisiesie, najprzebiegłym człowiekiem na świecie. Wymyśl sposób dostania się do Troi, a uzyskasz naszą wdzięczność i nieśmiertelną sławę.

AGAMEMNON Dobrze mówi Menelaj. Ty jeden, Ulisiesie, możesz nam oszczędzić drugich dziesięciu lat oblężenia. Waleczność naszych wojsk nie wystarcza. Potrzebny nam jest dowcip otwierający bramy miasta.

AJAX MŁODSZY Lubię wojnę, ale chciałbym na pewien czas wrócić do domu.

AGAMEMNON Ajax ma słuszość. Nie ma co ukrywać: tęsknimy za naszymi małżonkami.

(spoza zbroi w kącie namiotu wysuwa się głowa Bryzeidy)

AGAMEMNON I nasze małżonki tęsknią za nami.

(widać w ogrodzie Klitemnestrę, całującą się z kochankiem)

NESTOR Długa wojna wywołuje waśnie w naszym obozie. Wkrótce sobie obrzydniemy. Nawzajem.

AJAX STARSZY Na to liczy wróg! Czekaj, żebyśmy się pokłócili.

NESTOR Już teraz robimy sobie niepotrzebne przykrości. Nie widzę między nami Achillesa, obrażonego na Agamemnona.

AGAMEMNON *(wybuch)* Achilles zapomniął, że jestem wodzem naczelnym!

AJAX MŁODSZY Spokojnie, Agamemnonie.

MENELAJ Ja otrzymałem bardzo złośliwy prezent.

NESTOR Co takiego?

MENELAJ Rogi jelenie. *(wściekły)*
Ale to nic nie szkodzi!

Królowie się uśmiechają.

AGAMEMNON Ulisiesie! Myślę, że będę wyraziłem wszystkich tu zebranych, jeżeli powiem, że polecamy ci obmyślenie sposobu przeniknięcia do wnętrza Troi. Nie bez powodu bogowie zesłali ci sen o latających i jeżdżących fortcach.

ULISSES *(wstaje zamyślony)*

AJAX STARSZY Liczymy na ciebie.
AJAX MŁODSZY Jestem pewny, że coś wymyślisz.

NESTOR Połóż się wcześniej spać, może ci się znów coś przyśni. Coś do-rzeczniejszego.

MENELAJ Wstaw się w moje położenie, Ulisiesie.

ULISSES Jak to?

MENELAJ Niech ci się zdaje, że Penelopa jest Heleną.

ULISSES *(niezadowolony)* Każda Penelopa może być Heleną i odwrotnie.

MENELAJ Od czego to zależy?

ULISSES Od tego, czy się jest dla niej Menelajem, czy Ulissemem.

Królowie się rozchodzą.

Między namiotami idzie Ulisses w towarzystwie Menelaja.

MENELAJ O czym jesteś zamyślony?

ULISSES *(przystaje w zadumie)* Ja?... *(zbliżenie, Ulisses powiększony, potem się rozprasza i przeistacza w Penelopę, zamyśloną nad wrzuceniem)*

W namiocie Agamemnona.

BRYZEIDA Jakież to nudne!

AGAMEMNON Tak, moje dziecko, być królem, to ciężka praca. *(gładzi Bryzeidę po czole, siada i pociąga ją ku sobie)*

BRYZEIDA *(siadając na kolanach Agamemnona)* Napilabym się czego.

AGAMEMNON I ja. *(klaszczy w dłonie)*

Wchodzi żołnierz.

AGAMEMNON Wina!

Uliszes idzie z Menelajem. Widać Troję.

MENELAJ Pragnąłbym tam być. Zobaczyć Helenę.

ULISSES *(przystaje)*

MENELAJ Dużo bym za to dał!

Widać, że Ulissesowi strzeliła jakaś myśl do głowy.

ULISSES Nie bałbyś się dużego niebezpieczeństwa?

MENELAJ Żadnego!

ULISSES Potrafisz trzymać język za zębami?

MENELAJ Wszystko potrafię!

ULISSES Troja nasza! Chodź ze mną. *(idą szybkim krokiem)*

Wchodzą do namiotu Ulissesa.

ULISSES Czy masz między swoimi ludźmi dobrych stolarzy? Może cieśłów?

MENELAJ Mam.

ULISSES Przyslij mi trzech najlepszych. I ja mam trzech. Za tydzień zobaczysz Helenę.

Namiot Ajaxa.

AJAX STARSZY Trzeba odwiedzić Achillesa. Po śmierci Patrokla zamknął się, nie je i nie pije.

AJAX MŁODSZY Może to z powodu Bryzeidy?

W namiocie Achillesa.

AJAX STARSZY Wyjdź z nami, Achillesie.

ACHILLES *(apatycznie)* Po co?

AJAX STARSZY Nie możemy zrozumieć, co robi Ulisses. Zasłonił płotem kawał pola i coś tam w ukryciu przygotowuje. Może tobie powie, co się dzieje za tym płotem, bo nam nic nie mówi. Nawet Agamemnon nie wie.

AJAX MŁODSZY Jeden Menelaj jest dopuszczony do tajemnicy.

Wychodzą.

Przed namiotem Ulissesa spotykają Menelaja.

AJAX STARSZY Nie widziałeś Ulisses?

MENELAJ Jest w namiocie.

Ulisses wychodzi z ogromnym cyrkiem drewnianym w ręku

AJAX STARSZY My właśnie do ciebie. Podobno masz dobre wino.

AJAX MŁODSZY *(wskazuje cyrkle)* Czy to nowa broń, te rozkręczone patyki?

ULISSES Zgadłeś. To jest nowa broń. Pomocnicza. Jak się czujesz, Achillu?

ACHILLES Ciągłe mnie dławi podwojny gniew. O Bryzeidę i o Patrokla.

ULISSES Zostaw Bryzeidę Agamemnonowi. Weźmiesz lepszą brankę za trzy dni w samej Troi.

AJAX STARSZY *(szturgnął znacząco Ajaxa Młodszego).*

ACHILLES Drugi gniew, większy, rozsada mnie przeciw Hektorowi!

ULISSES Obydwa zaspokoisz jednego dnia.

ACHILLES Hektor nie wychodzi z miasta, od czasu gdy zabił Patroklesa. Czekałam na nicgo i to oczekiwanie zżera moje siły.

ULISSES Dostaniesz go w Troi. *(do Ajaxów)* Wejdźcie do namiotu. Każę przynieść wina.

AJAXY wchodzi.

ULISSES *(Zatrzymuje Achillesa)* Przyjdz jutro sam, o świcie. Pokażę ci coś, czego im nie mogę pokazać, bo mają za długie języki. *(wychodzi z Achillesem do namiotu)* Córka Eneja jest ładniejsza niż Bryzeida. I dziewczica. Nazywa się Diotima.

AJAX MŁODSZY *(wskazuje cyrkiel)* Jak się tym zabija?

Zołnierz wnosi dżban i kubki.

ULISSES Pamiętacie, co mi się śniło?

AJAX MŁODSZY Nurkujące okręty, fruujące wozy, jeżdżące fortece.

ULISSES *(potrząsa cyrkiem)* To jest kret podkopujący się pod mury.

AJAXY *(z niedowierzaniem)* Pokaż. *(biorą od Ulisses'a cyrkiel, oglądają).*

AJAX MŁODSZY Kret! Menelaju, rozumiesz co z tego?

MENELAJ Wiem, że będę w Troi.

AJAX STARSZY *(ze śmiechem)* Ale kiedy?

ULISSES *(wznosi kubek)* Wasze zdrowie! *(pija)* Jest taka rzecz, która przenika mury. Znacze ją. Nazywa się — myśl!

AJAX STARSZY Myślą często jesteśmy w Troi, ale nogami zostajemy tutaj!

AJAX MŁODSZY Myśl przenika mury, ale jest bezbronna, nie macha mieczem. Myśl nie zabija.

ULISSES Zabija.

AJAX MŁODZYSZY Myśl?

ULISSES Za myślą idzie człowiek.

AJAX MŁODSZYSZY Przez mury?

ULISSES Razem z myślą, przenikającą mury, przenika mury człowiek.

AJAX MŁODSZY Człowiek nie jest powietrzem, a nawet powietrze nie przenika murów.

AJAX STARSZY Coś ci się śni, Ulissesie!

ULISSES Śni mi się Penelopa, do której mogę wrócić jedynie poprzez mury trojańskie. Dlatego przeniknę te mury.

AJAX MŁODSZY Na jakim koniu?

ULISSES *(zamieniuwszy spojrzenie z Menelajem)* Na koniu mojej myśli.

AJAX STARSZY Mdły to koń, zwiewny!

ULISSES Potężny to koń, Ajaksie. Wróćcie się o tym przekonasz.

AJAX MŁODSZY Menelaj by tego konia nie dosiadł.

ULISSES Może i dosiadzie *(śmiech)*.

MENELAJ *(z zadowoleniem uderza się po udach)*. *(pija)*

Świt. Ulisses, Menelaj i Achilles idą ku wysokiemu parkanowi, otwierają furtę, przy której stoi żołnierz. Wchodzi. Pracuje tu sześciu robotników, leżą kłody drzewa i deski. Na parkanie wyrysowany kontur ogromnego konia, w innym miejscu narysowane kłęby końskie z drzewiami.

ULISSES Spójrzyj, Achillesie. W tym koniu zmieści się kilku wojowników. Jednym z nich będzie Menelaj. Gdybyś chciał mu towarzyszyć... Hektor ci się nie wymknie.

MENELAJ A mnie się nie wymknie Parys!

ULISSES A ja wrócę do Penelopy, która się z pewnością opęda zalotnikom, codzien stabsza na pokusy.

MENELAJ Obyś nie przybył za późno.

ULISSES Wzmacniam jej cnotę częstymi listami. W każdym liście zapowiadam swój powrót i wspaniałe dary, zdobyte na Trojańczykach.

ACHILLES Kiedy koń będzie gotowy?

ULISSES Za dwa dni.

ACHILLES Jakim sposobem wprowadzisz go do Troi?

ULISSES W tym moja głowa, Achillesie. Twoja rzecz być w brzuchu końskim.

ACHILLES *(po namyśle)* Zgoda!

Na obłoku Wenera spotyka Atenę.

WENUS Hera postanowiła zgubę Parysa. Będę go bronila wszystkimi sposobami.

ATENA Hera jest mściwa.

WENUS Podstawię nogę jej ulubieńcowi, Hektorowi.

ATENA Czasami mi się wydaje, że ludzie byłiby szczęśliwsi, gdyby nie było bogów *(odlatuje)*.

PENELOPA *(do zalotnika)* Nie. Zostanę wierna Ulissesowi.

ZALOTNIK Przez dziesięć lat się zestarzał. Wróci nie ten sam Ulisses.

PENELOPA Może ma zmienioną trochę twarz, może ma inne włosy, bielsze, ale to samo ma serce. Kocham go. Nie jego twarz kocham, nie jego włosy, kocham jego serce i jego mądre myśli.

ZALOTNIK A jeżeli w ogóle nie wróci?

PENELOPA Dostałam przed miesiącem list od niego. *(wyjmuje zza paska rulon pergaminowy)* Kocha mnie, jakby był przy mnie.

KLITEMNESTRA *(do kochanka)* Od trzech miesięcy nie dostałam listu od Agamemnona. Nie mogę go kochać, bo nie ma go przy mnie. Czy można kochać nieobecnych? Jestem prawdziwą kobietą. Ciebie kocham. Ty jesteś przy mnie!

HELENA *(haftuje)* Nudzę się. *(wstaje, wychodzi z ganek)*

U muru ogrodowego przechadza się młody żołnierz pełniący straż.

HELENA *(westchnąwszy)* Ładny chłopiec. *(po chwili)* Właściwie... takie chodzenie... to nie jest praca. Albo takie stanie! On się też nudzi. *(spojrzała w drugą stronę; po ogrodzie chodzą gołębie; dwa gołębie się całują)*

HELENA *(zniechęcona)* Dziwnie jest świat urządzony! *(wraca powoli do swojego haftu; przystanąła zamyślną)*

Wchodzi Andromacha.

ANDROMACHA Nic nie robisz!

HELENA Jakto nic nie robię? Nudzę się! *(siada nad stolikiem z haftem)*

Noc. Na murach Troi stoi Enej. Patrzy w dal.

Pod zagajnikiem widać podejrzany ruch, jakiś ognisko.

Enej *(do żołnierza)* Spuść się po murze. Podpełnij do zagajnika. Zobacz co się tam dzieje. Jeżeli się da, podsluchaj rozmowę. I wróć.

ŻOŁNIERZ Rozkaz!

Noc. Zagajnik. Olbrzymi koń drewniany. Kilku żołnierzy siedzi opodal. Dwoch kapłanów manewruje przed koniem zapalonymi pochodniami. Jest to taniec-modlitwa.

ŻOŁNIERZ GRECKI Zbliża się ostrożnie żołnierz trojański! Idzie po żyłka.

KAPŁAN Dobrze. Nie spłoszcie go. Wiecie, co macie mówić?

ŻOŁNIERZE Wiemy.

Na niebo wypływa księżyc. Trojańczyk się skrada.

KAPŁAN *(w pokłonach, skrzyżowawszy dwie pochodnie)* Władco zwycięstwa, jesteś nareszcie między nami, więc dzień naszego tryumfu nad Troją nadchodzi.

ŻOŁNIERZ *(do innych żołnierzy)* Czy jednak to potężne bóstwo nie znajduje się zbyt blisko murów trojańskich? Gdyby silna wycieczka nocna wypadła z miasta i porwała nam tego świętego konia, Trojańczycy by wygrali wojnę, nie my. Bo to wojsko zwycięża, wśród którego ten święty koń przebywa.

DRUGI ŻOŁNIERZ Zbyt małą mu dano straż. Wystarczyło by dziesięciu Trojańczyków. Zwłaszcza, że bardzo mi się chce spać.

ŻOŁNIERZ I mnie się oczy kleją.

TROJANCZYK *(podsluchuje)*

KAPŁAN DRUGI *(do konia)* Skoro jesteś między nami, jutrzejszy dzień będzie ostatnim dniem Troi!

Trojańczyk prędko wraca do miasta. Żołnierze greccy śmieją się z zadowoleniem.

Enej na murze. Po murze wspina się Trojańczyk.

Enej To ty?

ŻOŁNIERZ Ja, wodzu.

Enej Mów!

ŻOŁNIERZ Wielka nowina! Tam jest bóstwo zwycięstwa. Gdybyśmy je porwali, zwyciężymy!

Księżyc, gwiazdy, przestrzenie międzyplanetarne, cień Hery płynię przez Niebo.

W namiocie Agamemnona.

ULISSES Uprowadziłeś wojowników, żeby nie wychodzili z obozu na szczyk oręcza? Niech Trojańczycy bez przeszkód wezmą do niewoli kilku naszych ludzi strzegących drewnianego konia.

AGAMEMNON Wszystko zarządzilem.

ULISSES Następna noc należy do nas. Menelaj i Achilles otworzą nam bramy Troi.

Słychać zgiełk.

ULISSES Zdaje mi się, że się zaczyna *(wychodzą przed namiot).*

Zagajnik. Trojańczyk obokoczyli Greków. Potyczka. Kapłani chcą uciec. Jeden z nich wdrapuje się na drzewo. Drewnianego konia przywiązują linami do wozu, zaprzężonego w czwórkę koni. Ruszają.

ULISSES Teraz trzeba zarządzić alarm. AGAMEMNON *(do żołnierza)* Zatrąbić!

Po chwili słychać trąbienie.

Enej *(na murach)* Żeby tylko zdążyli!

Przed namiotem Agamemnona.

ULISSES Niech się nie spieszą! AGAMEMNON *(do żołnierza, który wrócił)* Zbiórka!

W promieniach księżyca widać oddział żołnierzy. Szykują się do wymarszu. Staje przed nimi Agamemnon. Przypjrzał się im.

AGAMEMNON Wystarczy połowa: Stąd lewa połowa oddziału: spać!

Połowa oddziału odchodzi.

AGAMEMNON Dobrze mnie zrozumiejcie! Tak macie ściągać nieprzyjaciela, żeby uciekł!

DOWÓDCA ODDZIAŁU To może lepiej, Agamemnonie, zostać w obozie?

AGAMEMNON Głupsi! Chodzi o pościg pozorny. Ich powodzenie zaprowadzi ich do klęski.

DOWÓDCA ODDZIAŁU Rozumiem. Najpierw pozwolic im uciekać, a w ostatniej chwili przeciąć im odwrót?!

AGAMEMNON *(wściekły)* Nie! Mają uciec! Ze wszystkim co zagarnęli!

DOWÓDCA ODDZIAŁU Mają uciec naprawdę?

AGAMEMNON Naprawdę!

DOWÓDCA ODDZIAŁU To może lepiej, Agamemnonie, w ogóle ich nie ściągać?

AGAMEMNON Oddam cię pod sąd połowy, tępa głowo!

ULISSES Pozwól, że ja mu wytłumaczę.

AGAMEMNON Mów! Mnie zła krew zalewa!

ULISSES Jak ci na imię?

DOWÓDCA ODDZIAŁU Kroton.

ULISSES Posłuchaj Krotonie. Tam w ciemnościach, Trojańczycy przygotowali kilka zasadzek. Kilka. I z lewej strony, i z prawej, i w głębi. Tam jest bardzo niebezpiecznie. Jeżeli pójdziesz szybko, miniesz zasadzkę, która się przyczyła za twoimi plecami. Jeżeli nie chcesz stracić życia i zgubić swoich żołnierzy, musisz się posuwać z niezwykłą ostrożnością, ciągle oglądając się za siebie. Pamiętaj że na każdym kroku mogą wyruszyć przed tobą i za tobą ogromne siły trojańskie. Rozumiesz?

DOWÓDCA ODDZIAŁU Tak jest.

ULISSES Na kądziego z was wypada dziesięciu Trojańczyków. Świetnie uzbrojonych. Mają łuki. Mają włócznie. Żołnierzy wyborowy!

DOWÓDCA Rozumiem. Będę unikał zaczepki, bo inaczej żywa noga z nas nie ujdzie.

ULISSES Właśnie!

DOWÓDCA Chodzi o to, żeby im napędzić strachu, samemu się nie narażając.

ULISSES Tak! W lot pochwyćcieś sens tego trudnego strategicznego manewru.

DOWÓDCA Rzecz będzie wykonana sumiennie! (zwraca się do oddziału) Żołnierze! Powoli i hałaśliwie!

W promienach księżyca idzie drewniany koni pod mury trojańskie. Otwiera się brama...

Poranek; przed pałacem Priama.

Śniadanie. Rodzina Priama zasiada do stołu: Priam, Hektor, Parys, Helena, Andromacha i Cassandra.

Wchodzi Enej.

ENEJ Oto nasza zdobycz ostatniej nocy.

Wprowadzają konia drewnianego.

ENEJ Jest to bóstwo zwycięstwa. Mamy bóstwo, będziemy mieli i zwycięstwo. (odchodzi)

Spod końskiego ogona wysuwa się głowa Menelaja. Menelaj się przypatruje rodzinie królewskiej i Helenie. Hektor spostrzega Menelaja. Menelaj próbuje się cofnąć do brzucha końskiego, ale Hektor zmusza go do wyjścia.

PARYS Hektorze, ja pomówię z Menelajem. Menelaju! Byłem młody, porywczy, lekkomyślny. Teraz to rozumiem. Teraz się tego wstydzę. Teraz chcę naprawić swoją winę. Menelaju, zabierz Helenę i między nami zgoda!

MENELAJ Nie, Parysie! To ja nie miałem racji, ścigając cię i wojując z tobą. Kochałeś Helenę!

PARYS Skrzywdziłem cię Menelaju!

MENELAJ Nie zrozumiałem cię, Parysie!

PARYS Naruszyłem twoje prawo małżeńskie. Powinienem być ukarany. Powinienem być pozbawiony Heleny. Oddaję ci Helenę. Nic wolno gwałcić prawa. Czym było by życie bez praw?!

MENELAJ (przeoczy ruchem głowy) Jest prawo i prawo! Dopiero teraz, przyrzawszy się Helenie, zrozumiałem, Parysie, że najwyższym prawem, idącym przed wszystkimi prawami, jest miłość! Zostawiam ci Helenę i zgoda między nami!

HELENA Czy ja się tak zmieniłam, Menelaju?

MENELAJ Jesteś...jesteś piękna nieco inaczej, niż dziesięć lat temu.

PARYS Zabierz swoją Helenę, Menelaju, i skończmy wojnę.

MENELAJ Zostawiam ci Helenę, Parysie, i odchodzę bez urazy.

PARYS (już zły) Menelaju, zabierz Helenę. Ostatecznie Helena jest twoją żoną!

MENELAJ Dziesięć lat była twoją kochanką. Cóż mi dzisiaj po niej?

ANDROMACHA Ależ to cynizm!

PARYS Zabierz ją! Zwracam ci Helenę!

MENELAJ Zabrałeś mi piękność, zwracasz wdowę po piękności!

HELENA Co?! (mdleje)

PRIAM (podrzynuje Helenę) Menelaju, nie jesteś gentlemanem.

MENELAJ Niech Parys będzie gentlemanem!

KASSANDRA Mówiłam, przepowiedziałam, że to się źle skończy!

PRIAM Kassandro, nie bądź krukierem.

KASSANDRA Dziesięć lat wojują o kobietę, a gdy przychodzi co do czego, obaj umywają ręce!

ANDROMACHA Cynizm!

Spod ogona końskiego wychodzi Achilles.

KASSANDRA I oni śmiały utrzymywać, że kobieta jest zmienna! (obejrzała się, ujrzała Achillesa, wydaje okrzyk przerażenia) Oh! Kto to jest?

ACHILLES Hektorze! Należy mi się twoja głowa za głowę Patroklesa.

PRIAM Nic mieszajmy pojęć. Wojna się toczy o Helenę.

ACHILLES To jest nasz spór uboczny.

HEKTOR Czy chcesz umrzeć zaraz?

ACHILLES Widzę, że ci się nie spieszy.

HEKTOR (do wszystkich) Miesjca! (podają mu miecz i tarczę)

Rozpoczyna się wielki pojedynek. Podczas tego boju otwiera się bok drewnianego konia i wypada z niego kilku zbrojnych Greków. Uwaga wszystkich skierowana jest na Hektora i Achillesa. Wojownicy Grecy biegną do bram miasta, zabijają straż, otwierają wręczając. Przyczajone pod murami wojsko greckie wdziera się do Troi.

Pojedynek Hektora i Achillesa trwa.

Tymczasem Grecy podpalają miasto, mordują mieszkańców.

PARYS (do żołnierza) Co to za zgiełk?

Wojownik wpada przed pałac królewski.

ACHILLES (topi miecz w piersi Hektora)

ANDROMACHA (wydaje okrzyk rozpaczy).

HEKTOR (pada).

ACHILLES (dyszy).

MENELAJ (do Parysa) Teraz nasza kolej!

WENERA (splywa z obłoków, zastania sobą Parysa).

PARYS (ucieka).

WOJOWNIK Grecy w mieście!

ENEJ (wbiega: do Priama) Królu! Uciekaj!

PRIAM (ciągle trzyma Helenę) Dokąd?

KASSANDRA Przepowiadałam!

Na wspaniałym koniu wjeżdża przez brame Ulysses z łukiem w ręku.

PRIAM (oddaje zemdloną Helenę Menelajowi).

Przed domem wodza naczelnego. Eneja. Wybiegła z domu Diotima. Biegnie ku niej Parys.

DIOTIMA Parysie!

PARYS Jesteś zapakowana?

DIOTIMA Co? Nie! Dlaczego?

PARYS Nie ma chwili do stracenia!

Zajeżdża rydwan, zaprzężony w białe konie. Woznicą na tym rydwanie jest Wenus.

PARYS (do Diotimy) Siadaj!
DIOTIMA (siadając) Tak, bez nesceru?

Odjeżdżają na tle zgiełku i pożarów.

Kupidyn strzela w serce Heleny i w pierś Menelaja.

Helena się budzi.

Menelaj i Helena jednocześnie wydają okrzyk zachwyty i padają sobie w objęcia.

Kotłowanina wszystkich bohaterów, bogiń, pożarów, fantastyczny kogelmogel wydarzeń, wreszcie ten chaos klaruje się w postaci pięknej Heleny, pogodnej... Obejmuje ją uśmiechnięty Menelaj.

KONIEC.

Londyn, 1944.

(Wszelkie prawa zastrzeżone.)

MIECZYŚLAW LISIEWICZ

RZĄD USPOKOJENIA *

Jesień 1922 roku zbliżała się ku końcowi. Park Łazienkowski pokryty był złotymi liśćmi które, na klombach wśród dokwitających astrów leżały grubym pokładem. Na stawie rdzawe desenie liści rozgarniały pływające łabędzie i kaczkę. Konie stapały ostrożnie, wyciągając lby, trwożone szelestem i chrzęstem listowia. Narutowicz jechał na swej wielkiej kobyle irlandzkiej, podczas gdy ja dosiadłem tego dnia po raz pierwszy importu z Arabii, o groźnym imieniu Halima el Fatih. Jednak owa wojownicza a zwycięska z imienia Halima, w rzeczywistości była delikatną, nerwową, jak śnieg białą klaczą syryjską. Pięknie kokietowała chodami, panaszem karku i odsadą nieskubanego, obfitego ogona. Miała nadcięte prawe ucho na znak, że przeznaczono ją w ojczyźnie do polowań na gajele.

Narutowicz, zaraz po spotkaniu, ocenił klacz okiem znawcy, po czym powiedział z uznaniem:

— Ładny koń!

— Piękny, tylko boję się, że za delikatny pod siodło oficerskie — odpowiedziałem. Po czym dodałem — Pan Minister lubi konie...

— Konie to moja pasja — odpowiedział z ożywieniem Narutowicz — bardzo lubię araby, lecz niestety nie mogę ich używać ze względu na wzrost i tuszę, zostawiam je Grabskiemu. Ja muszę zadowalać się patrzniem. Poza tym niech mi Pan wierzy, bardzo jestem przywiązany do tej mojej grubej kobyły — tu pochylił się i poklepał konia po karku — i w pełni doceniam jej zalety. Nie chciałbym, żeby kiedykolwiek spotkała ją krzywda. Przewidziałem dla niej piękne pomieszczenie w domku, który sobie za Belwederem buduję. Kiedyś pojedziemy tam i pokażę Panu.

Kiedy ujechaliśmy parę kroków, zwrócił się twarzą do mnie i dodał:

— Coś dziwnego wiąże mnie z końmi. Zawsze o najważniejszych zdarzeniach mego życia dowiadywałem się przy koniach, najważniejsze decyzje łączyły się też w jakiś sposób z końmi, lub jazdą konną. Dziwne, prawda?

I pojechaliśmy gawędząc dalej. Narutowicz opowiadał chętnie a zawsze ciekawie.

* Rozdział z książki M. Lisiewicza „Z Pamiętnych Dni”

Był to okres politycznie doniosły. Polskę czekały wówczas zasadnicze zmiany. Piłsudski zrezygnował z władzy i postanowił oddać ją w ręce legalnego i konstytucyjnego prezydenta. Sejm wrzał, jako że wraz z Senatem miał tworzyć Zgromadzenie Narodowe dla wyboru głowy Państwa. Skład polityczny Zgromadzenia pozwalał przewidywać, że wybrany będzie kandydat lewicy, lub kandydat prawicy, a nie np. kandydat centrum, lub jednego stronnictwa, bo taki podział ogólny zaznaczał się zarówno w Senacie, jak i w Sejmie. Nie było niestety żadnego ugrupowania środkowego. Konserwatyści rozmaitych odcieni nie przedstawiali wówczas, jak zresztą i później, ani liczebnie, ani wpływowo, realnej siły. Ostrze walk nie było niczym ograniczone i przejawiało się w gwałtownych reakcjach.

Wskutek stanowiska ludowców, dążących przede wszystkim do radykalnej reformy rolnej i wskutek sympatyj zachowawców (na przekór nazwie) zawsze postępowym, lewica mogła liczyć na głosy obu tych partii. Wsparta w dodatku głosami mniejszości narodowych — w obu izbach, przedstawiała masę liczebnie dominującą nad przeciwnikami z prawicy. Należało przypuszczać, że przedzie kandydat lewicowy, względnie taki, którego wskaże Piłsudski.

Prawica, pewna przegranej, pragnęła odegrać się inaczej. Nacjonalistyczne elementy poza parlamentarne, za cichym poparciem sejmowych kół, zaczęły wiązać się w związki i stowarzyszenia i przy ich pomocy wpływały na opinię publiczną. Wyjście z walką polityczną poza Sejm groziło konsekwencjami, jakie zresztą po tym nastąpiły. Organizacje polityczne prawicy nie zawsze były poważne, jak m. in. jedna o nazwie składająca się z licznych „P”, urządzająca swe zebrania w historycznych podziemiach pewnego kościoła. Tam w maskach i przy sztyletach składano przysięgi godne Kordiana. Piękne to i romantyczne na pozór — ale konsekwencje tych młodzieńczych czynów były smutne.

Młodzież uniwersytecka przedstawiała wówczas, jak zresztą i zawsze, urodzajną glebę dla agitacji. Byli to niedawni ochotnicy z wojny 1920 r. nienawidzący komunizmu. O komunizm podejrzewali wszystko i wszystkich, przede wszystkim każdego kto, nie głosił nacjonalistycznych hasel. Ruch faszystowski we Włoszech przeżywał wtedy swą radosną wiosnę. Był młodzieńczy, wysuwał zasady wzniosłe, więc porwał i naszych akademików. W dodatku ów ruch miał charakter skrajnie antykomunistyczny i antyparlamentarny — a te dwa hasła były w całej Polsce popularne.

Sejmu nikt nie lubił i wszystko złe, co się tylko działo, składano na karb partyjnictwa i sejmokracji — jak wówczas mówiono. Rzeczy te i sprawy mają dziś po latach dwudziestu inny sens. Ówczesny Sejm miał bardzo wiele wad i nie zawsze znajdował właściwą, zdrową dla interesów państwa, drogę. Była to rzecz naturalna. Wielka ilość partii w pierwszym t.zw. konstytucyjnym sejmie — była koniecznością. Trzeba było dać wszystkim możliwość legalnego wypowiedzenia się. Naród dotychczas rozdarty, nagle złączony, stanowił wielką niewiadomą. Nikt nie potrafił określić, jaka opinia dominuje, jaka partia jest silniejsza, jaka potrafiłaby na dłuższy czas wziąć odpowiedzialność za gabinet i rządy. Trzeba było czekać, co czas pokaże, pokazać zaś mógł jedynie w sejmie. Ważyły się siły narodu, była to chwila kształtowania się jego oblicza politycznego, krystalizowania się woli całości. Tymczasem premierowie, ciągle przez sejm obalani, raz ci z lewicy, raz owi z prawicy, wreszcie bezpartyjni — zmieniali się jak na scenie. I ciągle trwała niepewność.

Lewica w końcu zwyciężyła. Ogółem na całym świecie, po Wielkiej Wojnie, lewica znalazła się u rządów. Nie należy się dziwić — lewica tę wojnę wygrała, by przegrać potem pokój. Polski układ polityczny był tylko współrzedną układu politycznego świata. Lewica polska tych czasów miała szczególne znaczenie i zadanie. Jej radykalne reformy, jak

np. reforma rolna, czy przymus ubezpieczenia, lub nawet ochrona lokatorów — wybiły zęby rewolucyjnej agitacji ze wschodu, która operowała obietnicami właśnie takich reform. A jednak opinia warstw inteligencji i burżuazji powierzchowna i oceniająca polityczne zjawiska według zdarzeń dnia, widziała w tych reformach jedynie szkodę. Agitowana — burzyła się. Zdenerwowanie społeczeństwa przeniknęło nawet do wojska. Wszyscy, zarówno społeczeństwo jak i wojsko, oczekiwali wówczas jakichś radykalnych kroków ze strony Piłsudskiego i Sikorskiego, dwóch widocznych przewodców politycznych, operujących realną siłą.

Rok 1922 był chwilą przełomową, która miała zdecydować o losach Polski i — zdecydowała. Gdyby nie śmierć Narutowicza, rok 1926 byłby trudny do zrealizowania w tej formie. Narutowicz był postacią zakrojoną na miarę nie byle jaką. Dzięki jego umiarkowaniu i bezpartyjności, w rezultacie doszłyby do władzy elementy właściwe, a naród nie chwiałby się w ciągu lat dwudziestu, jak trzcina na wietrze, od sejmowładztwa do dyktatury.

Tutaj, jeżeli byśmy próbowali nakreślić pobieżnie sylwetkę Narutowicza, musielibyśmy zacząć od podstawowych cech jego charakteru: łagodności i dobroci. Bywają to cechy ludzi wielkiego wzrostu i tuszy. Przy tym był wyrozumiały i cierpliwy — co było znowu wykładnikiem doświadczenia i życiowej mądrości. Narutowicz był idealistą. Wierzył w ludzi i w szlachetność ich natury. Żyjąc wiele lat z dala od Polski, w atmosferze zaufania i współpracy, idealizował Polaków równając ich ze Szwajcami. Dlatego też, natrafiając już w Polsce co chwilę w tych — jakże drapieżnych czasach — na złość, nienawiść i na niechęć — cierpiał niezmiernie. I ten idealizm doprowadził go w końcu do jego drogi krzyżowej. Stała się ona udziałem człowieka, który naraził się dla celów najwyższych, a nigdy nikomu krzywdy nie wyrządził.

Ludzie szlachetni bywają bezbronni wobec intryg, bo nie wierzą w ich istnienie. Narutowicz nie wierzył w złość i nienawiść, to też gdy w dzień jego zaprzysiężenia odradzano mu jazdę w otwartym powozie — nie mógł zrozumieć dlaczego. Ciągłe twierdził, że Polacy nie posuną się do gwałtu wobec głowy Państwa. Nawet kamienie, które wówczas padły na jego powóz, nie zdołały zachwiać jego wiarą w szlachetność natury ludzkiej. W kilka dni później, mimo przeczuć, z których szczerze zwierzył się najbliższemu, mimo ostrzeżeń, wybrał się do Zachęty...

Jeżeli chodzi o cechy zewnętrzne — to przedstawiał się pierwszorzędnie. Prostotą i skromnością wzbudzał mimowolny szacunek u wszystkich, którzy mieli sposobność zetknąć się z nim jako z ministrem, czy z prezydentem. Władął językami. Posiadał stosunki i wpływy za granicą, w kołach dyplomatycznych, politycznych i przemysłowych.

Był znanym uczonym, specjalistą w zakresie urządzeń wodnych i sława jego sięgała daleko. W tej dziedzinie wiele przedsięwzięć światowych zasięgało jego fachowej opinii.

Narutowicz, mimo nacisku, długo bronił się przed wysunięciem swej kandydatury na Prezydenta. Zdawał sobie sprawę, iż skończą się jego nadzieje powrotu do spokojnej, fachowej pracy. Narutowicz marzył, że po powrocie kraju do normalnych warunków, wycofa się z areny publicznej. Obiecywał sobie, że podobnie jak w Szwajcarii, tak teraz w Polsce, przeprowadzi dobroczynną elektryfikację. Potoki i rzeki podkarpackie nie miały już zbierać co wiosnę, by groźną powódź nieść w doliny. Ujarzmione regulacją, tamami i zaporami zamknięte, miały służyć całemu krajowi zmieniając w siłę twórczą i dobroczynną niszczące dotąd potęgi swych wód. Koleje, fabryki, miasta i wsie, miały korzystać z ciepła i światła niosących dobrobyt.

Jakże byłoby to piękne! Niestety, nigdy do tego dojść nie miało. Jeszcze jeden polski fachowiec zmarnował się niewyzyskany należycie.

Uderzmy się w piersi — nie umieliśmy wyzyskać specjalistów i fachowców. Pierwsze lata istnienia Rzeczypospolitej były tego najlepszym dowodem. Mając znakomitych i doświadczonych mężów stanu, ministrów, działaczy społecznych i samorządowych, finansistów, stosowaliśmy do nich bezsensownie klucz partyjny. Hańbiono różnych ludzi. Już to oskarżeniami mniej lub więcej bezsensownymi, miotano na ludzi, którzy wielkie zasługi dla Polski posiadali, którzy mogli odegrać rolę jakże pożyteczną w państwie świeżo powstałym. Paderewski, Daszyński, Lednicki, Jaworski, Biliński, Thugutt, Bniński — wymieniam pierwsze z brzegu nazwiska, które pamięć mi przywołuje, nie zostali wyzyskani. Dlaczego? Dużo o tym mówić...

Sądzę, że istotną przyczyną było tu niedoświadczenie polityczne społeczeństwa polskiego. Brak kultury współżycia, brak kultury parlamentarno-politycznej sprawiał, że społeczeństwo szło na agitację namiętą, histeryczną, do jakiej pchały niektóre partie i niektórzy publicyści. Krytycyzmu w tych czasach nie było, ale z drugiej strony ostry stan zapalny umysłów wskazywał, że jest to przesilenie, po którym nastąpi powrót do normalnych warunków życia.

Pewnego dnia, w czasie jazdy powrotnej z Warszawy do Jabłonny, zapytałem Sikorskiego, jakby wyglądał w jego mniemaniu idealny gabinet, kogo by posadził na fotelach ministerialnych, gdyby mu pozwolono go tworzyć. Sikorski bez zastanowienia rzucił kilkanaście nazwisk. Były między innymi także nazwiska Stanisława Estreichera i Władysława Leopolda Jaworskiego, inne natomiast nazwiska były z rozmaitych środowisk i partii. Wszystkie były nazwiskami ludzi o dużym doświadczeniu i wielkiej praktyce społecznej lub państwowej, przy czym zupełnie niezależnych politycznie.

Przypominam sobie sugestie Sikorskiego skierowane pod adresem Belwederu, gdy chodziło o obsadę teki skarbu. Nazwiska wysuwane przez niego były nazwiskami finansistów i bankowców. Sikorski wyznawał bowiem zasadę i z nią się nie krył, że teka ministra skarbu powinna być równie apolityczna, jak teka Ministra Spraw Wojskowych, równie trwała, jak np. stanowisko Szefa Sztabu Generalnego. Tam, gdzie chodzi o fachowość, może być obok niej brana pod uwagę jedynie ogólna wytyczna ideowa kandydata i jego walory etyczne. Poza tym żadne inne względy personalne.

Był to poranek piękny i słoneczny, gdy w czasie przejażdżki konnej z Czerniakowa na Siekierki do Wilanowa, Sikorski omawiał z polecenia Piłsudskiego sprawy kandydaty na przyszłym Zgromadzeniu Narodowym. Narutowicz ostatecznie wyraził już swą zgodę. Chodziło o szczegóły techniczne. Szymański i ja, kłusujący z tyłu za obu mężami stanu, nie domyślaliśmy się wcale, co jest przedmiotem rozmowy. Rzecz wyjaśniła się dopiero w parę dni później.

Spacer do Wilanowa nabrał po śmierci Narutowicza charakteru historycznego, tym bardziej, że po przejażdżce, Narutowicz zaprosił nas wszystkich do obieda swego domu niedaleko Łazienek, tuż za Belwederskim parkiem.

Bogusz trzymał konie, gdyśmy zwiedzali już prawie wykończoną budowę. Była pięknie i praktycznie obmyślona. Każdy szczegół opracowany był przez samego Narutowicza z pieczołowitością i troską.

— Jest to przecie dom, w którym mam pracować, a jakże ciężkie czekają mnie prace! — mówił myśląc zapewne o swej idei zelektryfikowania Polski.

Czegoż w tym domu nie było! Narutowicz był człowiekiem zamożnym i mógł sobie pozwolić na wszystko, to też przeprowadzono wszystkie ułatwienia codziennego życia i drobne pomoce gospodarskie. W podwórzu stała ładna stajnia dla irlandzkiej klaczy.

Mówił wiele o urządzeniu wnętrza, o meblach, jakie sprowadza ze Szwajcarii, o dekoracji poszczególnych pokoi. Był przy tym podniecony, co mu się rzadko zdarzało. Wysypał całą lawinę projektów dla swego osobistego życia, o których wiedział przecie po rozmowie wilanowskiej, że nieprędko będą mogły być zrealizowane. Nie zrealizowały się nigdy. Domu skończonego nie ujrzał. Meble w czasie transportu ze Szwajcarii przepadły. Już pod samą Warszawą pociąg wykoleił się na moście i wagony wiozące meble wpadły do Wisły. Było to już po śmierci właściciela...

Na dwa dni przed Zgromadzeniem Narodowym odbywało się u Sikorskich normalne, tygodniowe przyjęcie czwartkowe. Koło szóstej przyszedł także Narutowicz. Pamiętam (utkwilo mi to w pamięci) jak był ubrany: miał na sobie żakiet „marengo” i spodnie w paski, krawat stalowego koloru w ciemniejszy deseń. Był przygnębiony i bez humoru. Serdecznie uściśnął mi dłoń. Na zapytanie o zdrowie powiedział, że czuje się źle, ale — że to nic poważnego. Wbrew zwyczajowi zabawił krótko. Jestem głęboko przekonany, że gdyby mógł powiedzieć wtedy „nie” i cofnąć swą kandydaturę, powiedziałby zaraz. Było jednak za późno.

Wypadki potoczyły się szybko. Wyboru dokonano małą większością głosów, po szeregu ściślejszych głosowań. Reakcja prawicowej Warszawy była natychmiastowa. Zaczęła się burzyć rozagitowana młodzież i to nie akademicka, lecz gimnazjalna i (o dziwo!) ze szkół powszechnych. Mówiono nawet o jakichś protestach szkolnych, o nauczycielach, którzy do tych protestów namawiają zarówno dzieci, jak i rodziców. Nie przypuszczano jednak, by sprawa zaszła aż tak daleko.

Przykrą scenę urządził Piłsudski nowemu Prezydentowi, przy oddawaniu Belwederu. Piłsudski był rozgoryczony i podrażniony, dlaczego — nie potrafię powiedzieć. Przecież zaproponować nie chciał kandydatury, a także zabronił stawiania swojej. Może rezygnacja i wybór przyszły za szybko? Podczas zdawania swego urzędu mówił o tym, że trzeba dokładnie przejmować każdy przedmiot belwederski, „by nie powiedziano, że ukradł”. Narutowicz był przerażony, przygnębiony i ciągle powtarzał „Ależ Panie Marszałku, niech się Pan uspokoi”.

Nadszedł dzień zaprzysiężenia nowego Prezydenta, pierwszego Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej. Dość wcześniej wyjechaliśmy do Sztabu na plac Saski. Na placu Trzech Krzyży było pełno ludzi. Tworzyli jakby szpaler między wylotem alei Ujazdowskich a Nowym Światem. Plac pełen dzieci szkolnych. Pamiętam twarzyczki jedenastoletnich i dwunastoletnich, a nawet i młodszych. Widząc samochód wojskowy (samochód Cadillac-24 był otwarty) a w nim generała, dzieci zaczęły krzyżeć chórem: „Precz z żydowskim Prezydentem, precz z żydowskim Prezydentem”. Było to skandowane, tak samo, jak później Niemcy przy witaniu Hitlera skandowali w okresie zaboru Austrii: „Ein Volk, ein Reich, ein Führer”. Skandowanie i okrzyki były dyrygowane przez osoby stojące z tyłu szpaleru. Policja przypatrywała się temu wszystkiemu obojętnie. Histeria tłumu była widoczna.

Sikorski przygryzał wargi. Zaraz po przyjeździe wezwał mnie do swego gabinetu i kazał jechać na miasto motocyklem i „widzieć wszystko, widziane raportować szczegółowo i dokładnie”.

Ruszyłem w kierunku Alei Ujazdowskich, gdyż tam gromadził się największy tłum. Narutowicz miał przejeżdżać do Sejmu tymi Alejami, skręcić na Piękną (później Piusa XI) i na Wiejską do gmachu dawnego Instytutu Maryjskiego, obecnie Sejmu.

Przez plac trudno było się przedostać. Dzieci po staremu stały na placu i wrzeszczały. Widziałem gdzieś grupki młodzieży w białych czapczkach akademickich na głowach. Te wywoływały największe zamieszanie. Wynikało jasno, że manifestację zorganizowano.

Wejście na Wiejską zamknęła policja. Gdyby wówczas policja, zamiast patrzeć beczynnie, użyła choć jednej sikawki, to przy chłodnej porze roku, plac opróżnił by się momentalnie. Policja nie chciała jednak wkraczać, lecz nie były to te same przyczyny, jakie powstrzymały policję od udziału w walkach 1926 roku.

Pierwszy pułk szwoleżerów tworzył kordon przy obu wylotach ulicy Pięknej zamykając dostęp na Aleje. Za kordonem zgromadziły się grupki kumoszek i gapiów. Krzyczały głośnoienne hasło „Precz z żydowskim Prezydentem” i obrzucały żołnierzy błotem i kamkami.

Stałem po stronie parku Ujazdowskiego i patrzyłem co będzie. Kiedy z dala ukazał się orszak Prezydenta, tłum z placu Trzech Krzyży przełamał kordon policji, usiłując dostać się na Piękną. Wtedy szwoleżerowie prac kołmi, lecz nie używając broni, wyparli ów tłum zwolna na ulicę Matejki. Tymczasem zza kordonu zamykającego drugą stronę Pięknej posypały się kamienie i przezwiska. Powóz zaprzężony w dwie białe klacze, minął niebezpieczny punkt całym pędem.

Ujrzałem Narutowicza. Był bład jak trup. Wsparty o poduszki powozu, patrzył w przestrzeń szklanym wzrokiem. Orszak skręcił na Piękną i znikł mi z oczu. Wsiadłem na motocykl i pojechałem za orszakiem. Minąłem gmach sejmowy i skierowałem się na Plac Trzech Krzyży. Jak przejechałem tamtędy — nie pamiętam. Tłum się nagle rozbiegł, usłyszałem strzały. Przede mną od strony Ministerstwa Komunikacji szedł jakiś pochód z chorągwią. Później dowiedziałem się, że był to pochód P.P.S. ze starszym Limanowskim na czele. Chorągiew po strzałach pochyliła się i upadła. Strzały posypały się spoza mnie, a więc od strony Placu Trzech Krzyży. Motocykl skrecony gwałtownie zatrzymał się przy lewej stronie, przy samym wjeździe od Placu na Nowy Świat. Na wszystkie strony biegali przerażeni strzałami ludzie. Do mnie przylecieli jacyś, prosząc bym pozwolił w przyczepce, motocyklu przewieźć rannego. Wysiadłem z przyczepki, gdyż istotnie chorąży pochodu był ciężko ranny i trzeba go było przewieźć do szpitala. Skonał w motocyklu nim dojechał do Ujazdowskiego szpitala.

Odesławszy motocykl z rannym pobiegłem na Nowy Świat i próbowałem przez dłuższy czas połączyć się ze Sztabem, lecz nie mogłem uzyskać połączenia. Wreszcie zatelefonowałem, zdaje się z cukierni Blikle'go. Na Nowym Świecie koło tego lokalu spotkałem znowu tłumy rozgorączkowanych dzieci. Robiło to przykre wrażenie. Ten, kto te dzieci wówczas na ulicę wypędził, przed Bogiem kiedyś powinien odpowiedzieć — pomyślałem sobie.

W Sztapie czekał na mnie Sikorski. Meldowałem mu szczegółowo o wszystkim. Po wysłuchaniu kazał się natychmiast łączyć z Prezydium Rady Ministrów.

Wieczorem towarzyszyłem Sikorskiemu do Sejmu. Przy wychodzeniu miałem zajście z jakimś posłem, który uparcie twierdził, że wojsko nie zachowywało się odpowiednio i robił wyrzuty Sikorskiemu, że nie użyło broni. Nie wytrzymałem i mimo obecności Generała palnąłem verba veritatis podniesionym tonem, bo przecie zrobienie porządku nie należało do wojska, lecz do podejrzenie beczynnej policji.

Atmosfera była podniecona, a zarówno lewicowe, jak skrajne partie prawicowe organizowały różne spiski. Wciągano w nie wojsko. Jak te próby wyglądały, miałem sam przykład na sobie.

Cały ten dzień, który dziś wspominam, jako koszmar, był niestety wstępem do tragedii.

Następnego dnia po wyborze Narutowicza dostałem telefon, zapraszający mnie na herbatkę pokolacyjną do znajomych. Kiedy tam przyszedłem rozmowa zesza od razu na tory polityczne. Prowadził ją jakiś pan, którego nie znałem, ale który zrobił wrażenie podnieconego. Za-

dawał mi szereg pytań zrazu ostrożnych, potem coraz śmielszych. Odpowiadałem bardzo ostrożnie zastaniając się tym, że jako wojskowy w służbie czynnej, nie mam prawa mówić o rzeczach, które do mnie nie należą. W pewnej chwili zniecierpliwiony jegomość odkrył karty. Powiedział, że jest jednym z komendantów tworzącej się na terenie Warszawy polskiej milicji faszystowskiej i że przyszedł tutaj, by się ze mną spotkać i przekonać mnie. Byłem tym mocno zaskoczony. Ów pan wziął moje ostrożne półsłówka za przychylne wzruszenie, więc dalejże tłumaczyć mi, że w pewnych chwilach, gdy ojczyzna tego potrzebuje, wojskowy musi wystąpić czynnie, nawet w sprawach polityki wewnętrznej. Teraz jest chwila w której byt ojczyzny jest zagrożony. Można kraj uratować jedynie rewolucją, przez przystąpienie do jego organizacji i akcją śmiałą a zdecydowaną.

Wysłuchałem tego spokojnie, oświadczając, że żołnierz ma tylko jeden honor i jedną przysięgę, którą składał na wierność sztandarom Rzeczypospolitej i jej władzom.

Wódz faszystowski spróbował wobec tego jeszcze innych argumentów a mianowicie, że ponad przysięgę wyższy jest interes Rzeczypospolitej. Skierowałem rozmowę na obojętne tory, opowiedziałem treść komedii granaw w Reducie i zacząłem oceniać grę Osterwy. Wówczas mój faszysta dał spokój i pożegnał się, rzucając mi na pożegnanie, że marnuję swą młodość.

Opowiadam i spisuję sprawy bez namiętności, może jedynie z pewnym żalem i goryczą. Jakże jaskrawo jednak wtedy wystąpił fakt, że warcholstwo polityczne trwa dalej w narodzie, że spora garść ludzi, uważających się za patriotów i dobrych Polaków, nie zdaje sobie sprawy z tego, że władzę uznaje tylko do granicy swych osobistych upodobań, przekonania, czy wiar.

W grudniu roku 1922 należy szukać przyczyn zamachu Piłsudskiego roku 1926. Gdy tylko raz pojawi się na arenie walk politycznych gwałt, wywołuje w konsekwencji podobne zjawiska. Szybko gwałt staje się metodą.

W dniu 16 grudnia Sikorski był chory. Zatelefonował do Sztabu, że nie przyjdzie, gdyż jest przeziębiony. Pojechałem do niego z listami i papierami. Podczas powrotu do Sztabu skrzyżowałem się z orszakiem Prezydenta — Prezydent jechał do Zachęty.

W Sztabie zastałem Marszałka Piłsudskiego. Rozmawiał właśnie z Kukiem na tematy historyczne w gabinecie Zastępcy Szefa Sztabu Generalnego, na lewo od galerii. Nagle wpadł do gabinetu Koc z wiadomością o zamachu, potem płaczący Kościalkowski, który rzucił się do stóp Marszałka.

Marszałek podniósł go i zapytał:

— Nie żyje?

— Tak...

Wtedy Piłsudski spojrzął i powiedział:

— Zostawcie mnie samego!

i dodał, że należy zawiadomić Sikorskiego i że za chwilę będzie u Rataja.

Popędziłem do Zachęty... Sprzed progu pałacu wyjechał powóz zaprzężony w dwa siwki. Na powozie nosze przykryte sztandarem Rzeczypospolitej. Na stopniach powozu stał świeżo mianowany adiutant Prezydenta, splakany, zgarbiony generał Jacyna...

Na południowej Radzie Ministrów, zwołanej natychmiast w obecności Marszałka Piłsudskiego, prof. Julian Nowak, dotychczasowy premier, podał się do dymisji wraz z całym gabinetem, a Sikorski podjął się misji utworzenia rządu. Natychmiast utworzył gabinet. Adiutantura Szefa Sztabu w komplecie przeniesiona została do Prezydium Rady Ministrów. Natomiast szefostwo Sztabu Generalnego — objął osobiście Piłsudski. Rataj, jako Marszałek Sejmu, spokojnie objął swe konstytucyjne funkcje interrexa.

Oczekiwano od Sikorskiego, że sięgnie po władzę dyktatorską. Oddawał ją zresztą Sikorskiemu głos przerażonej opinii publicznej. Pierwszy raz w historii Rzeczypospolitej targnął się obywatel polski na życie Głowy Państwa. Popelniono straszliwą zbrodnię.

Sikorski jednak nie zrobił zamachu stanu i zrobić go nie zamierzał. Od pierwszej chwili swych rządów pilnował zwyczajów konstytucyjnych i parlamentarnych. Nie dał się odwieść od swojej linii politycznej praworządności. Nie dał się odwieść nawet wtedy, kiedy już w roku 1925 odwiedził go Pieracki wraz z komisarzem P.P. Wiskowskim (autorem „Przepraszam, że żyję”) z propozycją zamachu stanu. Sytuacja była wtedy dość napięta, były to pierwsze przygrywki maja. Pieracki długo tłumaczył Sikorskiemu konieczność zamachu, obiecał poparcie wszystkich Piłsudczyków oraz rozwinął przygotowany w szczegółach plan. Miano wysadzić w powietrze kilka domów w Warszawie a korzystając z zamieszania opierać siłą gmachy publiczne. Sikorski wysłuchał Pierackiego i — wyrzucił go za drzwi.

— Z takimi projektami niech pan wędruje do takich mąciwodów, jak pan sam, pułkowniku! — oświadczył na pożegnanie.

Fakt ten wyszedł na jaw dopiero w czasie rozprawy t.zw. więźniów brzeskich. Ponieważ działo się to już po roku 1926 — nigdy nie dotarł do wiadomości publicznej. Podąły go jedynie w jaskrawej formie gazety zagraniczne.

Nie byłem na pogrzebie Narutowicza. Dostałem gorączki i nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Organizm zareagował gwałtownie po tylu wstrząsach. Już na pół przytomny pojechałem do Belwederu, by tam przez chwilę pomodlić się przy katafalku. Był ustawiony w salonie. Narutowicz leżał spokojnie. Jednak twarz martwego miała wyraz bardzo bolesny. Obok stała warta ze szwadronu przybocznego.

A Eligiusz Niewiadomski? Ani na chwilę nie wątpię, że był to człowiek niespełna rozumu. Wszyscy uważali go zawsze za wariata, a czyn jego dowiódł tylko szaleństwa. Jedną z największych pomyłek sądowych było, iż tego pomyłonego skazano jako normalnego. Powinien był pójść do szpitala dla umysłowo chorych.

Prezydent Wojciechowski, wybrany po Narutowiczu, odmówił ułaskawienia Niewiadomskiego. Czy uczynił dobrze? Może lepiej byłoby potraktować go jako człowieka chorego, opanowanego przestępczą manią, jak niedgdyś Piekarski, co zamach na króla Zygmunta wykonał a potem plótł na mękach. Trudno dziś rozstrzygnąć te pytania.

Akt odmowy ułaskawienia Niewiadomskiego zaginął, o ile mi wiadomo. Pamiętam jednak dosłownie ową adnotację: „Nie znajduję ani w sercu, ani w sumieniu usprawiedliwienia, które pozwoliłoby mi na ułaskawienie”.

W pamiętnym dniu 16 grudnia Sikorski opanował sytuację. Jak to zrobił? Przede wszystkim zaalarmował wojsko i kazał je trzymać w koszarach, nie wypuszczając nawet pojedynczych żołnierzy na miasto. Było to celowe i konieczne z dwóch względów: po pierwsze wojsko należało utrzymać daleko od możliwej rozgrywki zbrojnej dwóch partii, po wtóre: w razie starcia partii należało mieć w ręku czynnik, którym można by przeprowadzić postanowienia rządu i poszanowanie prawa.

Postanowienia te były konieczne, a sytuacja nie była łatwa. Strzał Niewiadomskiego mógł być wstępem do dalszych strzałów. Prawica utrzymywała szereg organizacji, które posiadały broń. Cel tych organizacji był jasny. Z drugiej strony lewica zorganizowała się obronnie, mając ludzi nie tylko wychowanych w dyscyplinie partyjnej, ale i odważnych, z doświadczeniem bojowym i rewolucyjnym.

W krótki czas po wiadomości o śmierci Narutowicza, na ulice Warszawy spłynęło kilkanaście tysięcy pepeesowców. Równocześnie endecy i ich zwolennicy gotowali się do walki. Wystarczyło jedno słowo, jedno

starcie, jedna przypadkowa bójka, by rozpalic wojnę domową. Polska była w owej chwili wyraźnie podzielona na dwa obozy nienawidzące się i przeciwko sobie podjudzane. Czuło się w powietrzu zapach prochu i krwi.

Nagle opinia publiczna dowiedziała się, że premierem został Władysław Sikorski, dotychczasowy Szef Sztabu Generalnego. Endecja nie spodziewała się takiej niespodzianki. Przypuszczano bowiem w kołach prawicowych, że Piłsudski, który miał wielki wpływ na socjalistów będzie żądał utworzenia gabinetu przez kogoś z lewicy. Było to niewątpliwe zaskoczenie, tym bardziej, że Sikorski w kołach młodzieży miał wielu zwolenników.

Gdy Thugutt spytał Sikorskiego co uczyni, gdyby robotnicy nie dali się opanować, gdyż nastroje są rewolucyjne, Sikorski odpowiedział: radzę robotników opanować, albowiem jeżeli ktokolwiek wyjdzie na ulicę — każę strzelać wojsku.

Powtórzył to samo interpelującym posłom z prawicy.

Taki argument przemówił ostatecznie do rozsądku obu stron. Wszelka walka z władzą, w dodatku z wojskiem, nie dałaby się wobec opinii niczym usprawiedliwić, a poza tym — byłaby trudna.

Koniec końców obie strony miały dobrą wolę i chciały uniknąć walk bratobójczych, obie czuły, że w odmetach jej zginęłoby państwo. Premier, który energicznie i szybko działał, zdobył sobie popularność u jednej i drugiej strony. Zresztą rozagitowane przez radykalne organizacje nacjonalistyczne koła inteligencji, szybko przychodziły do równowagi. Nie pomogły msze żałobne uroczyste śpiewane po kościołach za duszę mordercy pierwszego Prezydenta, niesmak budziło w społeczeństwie czynienie z niego bohatera, mimo całej kunsztownej agitacji, jaką rozwinęli zagorzali i roznamiętnieni zwolennicy mordu. Strzały Niewiadomskiego otrzeźwiły wiele głów i wpływy nacjonalistów gwałtownie spadały. Nie chciano już słyszeć argumentów o „żydowskim” Prezydencie, ani o wpływach komunistycznych na wybór St. Wojciechowskiego. Chciano ładu, spokoju, praworządności, bezpieczeństwa. Rząd Sikorskiego szedł po tej linii. I dlatego był popularny.

Sikorski stanowczym postawieniem sprawy stworzył sobie ową pozycję nadrzędną, która pozwoliła potem profesorowi Julianowi Nowakowi nazwać w pamiętnikach swoich Sikorskiego i jego gabinet „rządem uspokojenia Rzeczypospolitej”. Ocalił praworządność w państwie. Kto pamięta te czasy i ich nastroje, ten wie — że było to zadanie trudne, przez wielu uważane nawet za niemożliwe.

Przeszła nad Rzeczpospolitą burza, lecz bez bratobójczych walk. Nie brakło głosów, iż tylko rewolucją kraj może się odrodzić.

Pokazał Sikorski że nie, że rząd silnej ręki nie musi naruszyć praworządności, by zapanował spokój i bezpieczeństwo.

Państwo wkroczyło na normalne tory życia. Burze czekały nas jeszcze, burze niejedne, groźne, straszliwe. Któż wiedział, że wraz z Europą idziemy ku katastrofie?

Wówczas jednak po chwilach gorączki politycznej, po szale namiętności z powodu wyroku Prezydenta — Rzeczpospolita szybko wracała do życia. Szła wiosna, a wraz z nią uśmiechały się przed Polską nadzieje przyszłości.

PROSTA SPRAWA

Jakaż rozkosz, kiedy młode usta
Przyłgną do siebie miłośnie.
Drży jasne niebo wykąpane w wiośnie,
Pachnie ziemia świeża, wilgotna i tłusta.

Proste sprawy i zwykli ludzie,
I czyste pąki na drzewach i mleczna mgła.
Dzień codziennie po nocy się budzi
I podnosi oczy, jak w promiennych rzęsach, w szorskich skrach.

Małe życie a przecież droższe od wszystkiego, co można mieć.
A warto lepiej żyć, niż umierać.
Rwą pola w żyznej nadziei i błyszczą nad nami miesiąca miedź.
I pozwól mi dlatego ciebie kochać bardziej, niż ziemię na którą nie umiem
się gniewać.

A ja zawsze kocham więcej życie, niż śmierć.

Usłyszała głos z dalekich stron.
Nad ziemią niebo, jedwabny dzwon.
Gdy świecą liście i pali się wschód,
Echo i ptaki, ogrody i rzeki, ryby i rzeczny bród,
Radość całować jej usta słodkie i mokre, jak miąższ winnych gron.

Bardzo kochała.
Głodne wargi całowała.

I zastrzelili go Niemcy pewnego dnia
Na ulicy.
Podniosła martwego, piękna, cała we łzach.
I płakali chłopi i płakali robotnicy,
Prości ludzie, kobiety w chustkach i dzieci z mrocznej piwnicy.

Niosła go sama przez miasto, wytrwała.
Martwe usta całowała.
A on milczał na dnie swojej kłęski,
Taki, zimny, taki martwy, taki ciężki!

RACHUNEK

Przyszli, jak rdzawe trąby ryczeli,
Że chcą mnie sądzić i skazać.
Jacyś szaleńcy z mroku, z topieli,
Nie umiem ich nazwać i wskazać.
I oskarżali. Toczyli pianę,
Szumiąc na piany tej kregach.
A ja stałem spokojny, oparty o ścianę,
Mocno, jak dzień oparty na widnokregach.
Ja nie chcę wcale szukać
Tu sądu i rozgrzeszenia.
Ja sam, gdy zechcę, potrafię zapukać
Do bram Wiecznego Cienia.
I jeśli już mają mnie sądzić,
Niech sędzi stugłowy trybunał.
Umiałem walczyć i umiałem błędzić.
Wiele pojąłem i wiele zrozumiał.

Niech sądzi trybunał stugłowy.
Ja sam będę siebie oskarżał i krzyczał,
Tylko czapki przedtem zdejmcie z głowy
I bladość zetrzyjcie ze swego oblicza,
Zgaście moje oczy, zakneblujcie usta,
I sądźcie za to, żem kochał i cierpiał.
Drwię z waszych oburzeń, brudnych jak domy rozpusty.
I z waszych oskarżeń, z których krew wyciekła.
Chcę raz rozerwać ciężki pierścień,
Co się zacisnęła, jak łapy, u szyi.
Proszę. Sądźcie, zabijcie, i wreszcie
Zdejmcie mnie z niebios, jak zorzę skrwawioną, bom niczyj!
Niech skończy się dzień i niech przyjdzie noc.
Zamknąłem wszystkie rachunki.
Pali się gwiazda północna dziko i pstro.
Sądźcie. Oto moje warunki.

NADMORSKA

Strzela morze brzeg.
Rury stalowe, płomień i śnieg.
Bulwar się wiję, kurczy i drży.
Dale zabłyśły, jak młode bzy.
Z dalekich bżów, armat i powiek
Wystrzelił płomień: samotny człowiek.
Strzelaj falo o brzeg!
Niech sypie płomień i śnieg!
Chodzę trafiony śmiertelnym pociskiem,
Hukiem morza, armat i błyskiem.
Torpedę ładuj! Wal! We mnie bij!
Niech mię wypali kłęb rudych żmij.
Kołuje bulwar, ja, rury, lazur.
Niebo draśnięte przez srebrny pazur.
To księżyc świeci. Fala szorstka.
I burza, i ty — wysmukła i nadmorska.
Słyszysz? Wody grają. Ogromny marsz żalobny.
Oczy: morze! Toną, krzyk nieprawdopodobny.
Jerozolima — Tel-Aviv, lipiec — październik. 1943 r.

ALEKSANDER JANTA

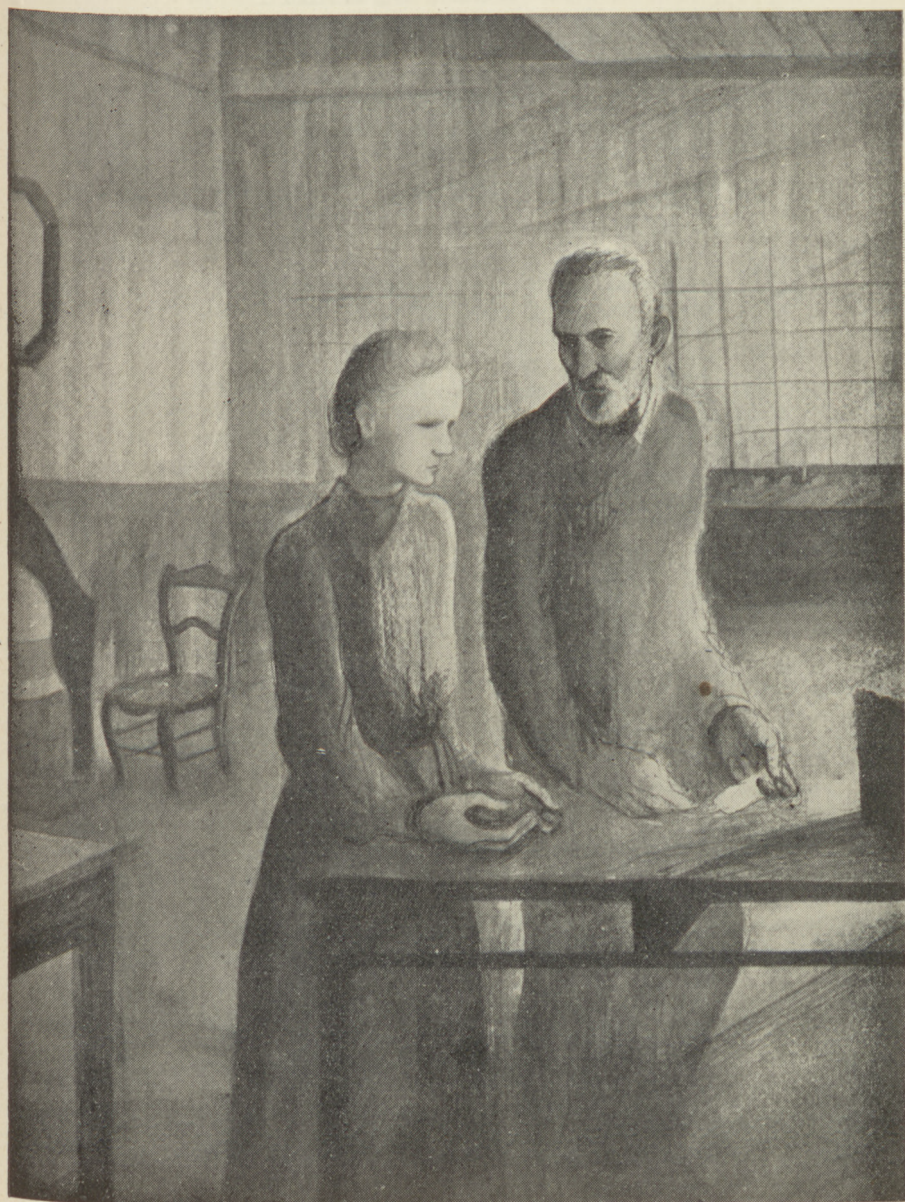
SPOTKANIE

Szedł od Księcia Adama ulicą paryską
podparty na kosturze, w czamarce wygnańca
Mickiewicz, snując w myślach Tadeusza losy
gdy z okna w którymś domu — nieziemskie zjawisko —
dobiegly srebrne dźwięki, brzmiące drganiem rosy
i melodją, co rzewnie wiąże rytmy tańca.

Słuchał chwilę. Ze rodak — dałby na to słowo.
„Wcale zdolny”. Nazwiska spytać nie omieszka.
„W fortepianie u niego smutku sygnaturka
jak w ludowej piosence...” Wtem potrząsnął głową.
„A przecie wiem! To tutaj młody Szopen mieszka”.
Uśmiechnął się. „Układa nowego mazurka”.

1934 — 1944

W DZIESIĄTĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI
WIELKIEJ UCZONEJ POLSKIEJ



Maria Curie-Skłodowska i Piotr Curie

rys. Janina Konarska

CELNIKA DO FARYZEUSZÓW LIST SIŁĄ,
WBREW WOLI, OTWARTY

Noc jest po to, by spać
lub jechać bezsennym pociągiem,
a nie, by przekłuwać miękkie gałki oczu
ostremi czcionkami,
które już się dawno pogubiły
wśród rupieci
encyklopedycznie wybuchowej drukarni.

Musiąłem, najmilsi, płacić rentę inwalidzką
Zakom natrętnym,
działwie artamentalnie zaćmionej
majestatem wiedzy
(Trzeba było mieć litość nad nędzą
z pieniędzy,
których nigdy nie miałem).

Dziadkowie duchowni,
buki parlamentarne,
bębny nowego przymierza,
jerychońskie trąby
zapalenia ucha środkowego,
pnie zamarłe, kamienie zbutwiałe.
— Wam głoszę
Święto pojednania,
dzień sądny na jarmarku idei,
cudowne uleczenie z choroby wernychorycznej,
wytrwałe rozbrojenie
w domowej wojnie nerwów,
i przymusową parcelację ziemi obiecanej.

Winnych,
w imię rozsądku,
jako władzy ustawodawczej,
skazuję wyrokiem
prawomocnym od 40 dni
na pogodę niestrawną wygonów,
na szal bydląt
przemocą
prowadzonych do kina
i na nieuleczalne wyrzuty sumienia,
za to, że żacy nie mają pieniędzy na pijaństwo,
i że nie ma jeszcze słownika
do pogańskich katechizmów
i biblii mongolskiej,
za to, że domy nad ranem posiwiwały ze zmartwienia

i że w obozach jest pobudka,
za to, że wymyśliliście łódź podwodną,
samolot, bombę i maszynowe szpilki do krawata.

za to, że ludziom postronnym
zakładaliście na głowy gaśnice
do tłumienia pożarów serca,
i do gwałcenia indywidualności,
za to, że do dziś dnia
nie zniesiono jeszcze niewolnictwa,
za to, że moi bliźni
zmuszeni są stale kłamać
za to, że jest wojna,
za to, że panujące wierzenia
polegają na kulcie obłędu,
za to, że dusze się duszą,
i że ja muszę pisać takie wiersze,
jak ten list
siłą, wbrew woli
Otwarty.

DO SMAKOSZA

Na miasto, posiekane
mieczami tatarów na befszytk
sen siadł
dusząc kominy
tłustym pośladkiem nocy,
zapachem wędlinnym mięsa armatniego.
Burmistrz dogorywał,
pachołcy siedzieli nad planem mobilizacyjnym
a rada miejska uchwałała wnioszek,
aby znieść czwarty wymiar
raz na zawsze
uwalniając ludzkość
od zarazy i zepsucia.
Bracia konfratry, doktorowie głowoszczelni
przez witraż
zobaczyli kurz na nosie:

już jadą nihiliści na rowerach
— dobiją biskupa, bo zbyt długo umiera,
jadą torem babtyści na dreźnie,
pędzi żwawy generał na świni.
Pędzą w czołgach na miasto dezterterzy
(śpiewając marsylianę i psalmy)
ciągnie tłum zawodowych żebraków
zaraz w mury
kosturami uderzą,
powiedzie ich ośli Samson na pijanym rumaku
z pocztom drukarzy
w szybko-strzelnych trzewikach...

Już po wszystkim:
Przestań jeść zamyślony smakoszu.
Popatrz: diabeł siedzi na widelcu.

E L E K T R A

*Jak żywawo, skocznie skacze...
I rośnie słupek w termometrze
Trzydzieści siedem, kresiek pięć...
To tak niewinnie się zaczyna...*

(J. Liebert)

To już wiele lat kiedy ona była. Już uleciało mi z pamięci, i w rozpaczyci i gorączkowo ścigam przeszłość, żeby ją wydobyć z tego zapomnienia. Gdzież to Elektro? Elektro, oh Elektro!

* * *

Król się o tym dowiedział dowiedział
W sześć par koni przyjechał...
Pokochajże mię piękna Krakowianko...

nuciła Elektra.

Wyobrażałem sobie jak moja ciotka, wyprostowana i sztywna, w swej czarnej sukni i z zaciśniętymi ustami wąskimi, siedząc w fotelu nad jakąś robotką, obróciła powoli głowę na Elektry.

— To wulgarne, to co śpiewasz — usłyszałem.

Nasz dom w mieście był osobny i samotny jak ponura skała na płytkim wybrzeżu. Nie utrzymywaliśmy stosunków z nikim.

Ojciec przesiadywał cały dzień w banku i chodził tam także wieczorami i przechodząc ulicą mogłem widzieć błysk lampy na jego czole, kiedy pochylony nad papierami nad biurkiem był widoczny przez zakratowane okna. To była jedyna droga, którą robił pieszo — z domu do banku. Gdziekolwiek się poza tym udawał, to zawsze końmi.

Mieliśmy parę rosłych koni, para, gniady wałach i siwy ogier i do tego ciężki powóz o klekocących piastach kół wyścielony popielatym 'sztruksem'. Powoził stangret, Michał Okszański mu było, małomówny, trochę tępawy i wstydlivy chłopak, który był w artylerii u Żeligowskiego, kiedy był ostatni zajazd na Litwie i wrócił z tej wojny inwalidą. Za uchem z prawej strony miał dziurę, z której czasami mu ciekło i ta niegojąca się rana była powodem także jego pewnej głuchoty. Mój ojciec nie lubiał tego Michała i sporadycznie go brutalizował i nie wpływało to ośmielająco na niemrawego i tępego furmana.

Mój ojciec uważał, że jeżeli nie jestem zdalny do czegoś to powinienem przynajmniej pomóc w tej bankowej robocie i przynosił do domu grube księgi, które miałem rubrykować, albo papier, z którego dla oszczędności miałem kleić koperty. Nienawidziłem tej roboty i zdegradowany i rozgorączony liniowałem kartkę za kartką, grube tomy, albo wycinałem te koperty w pokoju na górze i z góry słyszałem głosy ciotki i Elektry.

Kat przyjechał w czerwieni
w czerwieni...
Krakowianka w zieleni...

nuciła dalej Elektra.

Ciotka przerwała robotę i rozpoczęła tyradę:

— To wulgarne co śpiewasz. Czy wyobrażasz sobie, że nie wiem, że byłaś rano u tych panien Domereckich. Czy towarzystwo mieszczek odpowiada ci w jego parafiańskim zapachu? Czy musisz importować tę atmosferę tutaj?

Panny Domereckie, dziewczynskie i rozkwitające, w swych halkach obrębionych i haftowanych ręcznie, były córkami szanownego masarza i handlarza nierogacizny i atrapały bardzo Elektry.

Próbowała bohaterko bronić straconej pozycji.

— To są przyzwoite dziewczyny, a czymże mam od nich być lepsza? Że u Panien Benedyktynek jestem w pensjonacie? Że noszę jedwabne kombinacje a nie krochmalone halki...

Ciotka była silna postawą.

— Wulgarnie jest to, że grawitujesz do ich omdlewającej, małomiasteczkowej atmosfery krochmalonego dziewictwa i tęsknot. To niegodne i nieodpowiednie i — ciotka była rozdrażniona — i nie wprowadzaj tego proszę ciebie tutaj, to jest łatwizna i jeżeli masz być dobrze wychowana, to pierwszym warunkiem jest kontrola samej siebie i wybór.

— Wybór czego?

— Wybór stylu. To wychowanie ma ci dać styl.

— Czy to jest życie — styl?

Ciotka odpowiedziała bez wahania i z żelazną konsekwencją.

— Tak, życie to styl.

— Nie chcę stylu... To obojętne jaki styl mam przybrać...

— To nie obojętne. Jakby to miało być obojętne czy jesteś panną z dobrego domu, mieszczką, czy ulicznicą...

Mazgaj zaczął ujadać w ogrodzie i zagłuszył ich rozmowę. Potem słyszałem:

— Proszę mnie nie obrażać...

— Nie bądź śmieszna.

— Och, ja wiem że byłam dzieckiem niepożądanym...

— Nie histeryzuj.

Minąłem Elektry na schodach kiedy zostawiwszy robotę schodziłem gdzie siedziała moja ciotka. Ubiegając jakkolwiek interwencję ciotka zaczepiła mnie pierwsza:

— Spuścisz Mazgaja z łańcucha i znów będzie buszował w ogrodzie i łamał krzaki pomidorowe, ojciec odgrażał się, że go zastrzeli.

Mazgaj był bastarodem po legawej suce i po jakimś kundysie. Po niej miał przepiękne kształty, po nim ordynarny szorstki włos i wisielczy humor żulika.

Rano skowytał i szarpał się na łańcuchu i jakimś cudem zatrząsk z obroży otworzył się i tymże samym cudem zaczepił i złapał go za tylną łapę, tam gdzie psie ścięgno Achillesa. Byłby je sobie zerwał, ale przytrzymałem go i pomimo, że ze ślepego bólu pokąsał mnie w dłoń dotkliwie, teraz szczęśliwy i niepomny na niedawne rozpacze hasał po ogrodzie i płoszył perlice.

Sympatyzowaliśmy bardzo ja i ten Mazgaj i odpychałem to od siebie, nie chciałem tej przyjaźni psa i człowieka, wydawało mi się to wstrętne trochę, przecież to było po prostu zwierzę! Miało to ten skutek, że byłem nierówny w stosunku do niego, raz przyjacielski, raz chłodny i już pewnie nie zapomnę zdziwionego wyrazu oczu Mazgaja, lojalnego Mazgaja, natykającego się u mnie na tę chwiejność, człowieczą kulawość.

* * *

Siedzieliśmy w moim pokoju na górze. Chciałem napisać wiersz. W głowie miałem już mgliste zarysy i wcale mi to nie przeszkadzało, że Elektra leżała na mym łóżku i z respektem obserwowała mnie siedzącego nad kartką papieru.

Ale wiersz mi się nie kleił. Miałem zaledwie tytuł i ostatnią linię i patę asonansów, które nie bardzo mi smakowały.

Tematem miało być senne marzenie, sen kogoś, komu się śni, że się otrul cyjankiem potasu, cyjankali. A potem się budzi, z tym strasznym wrażeniem. Więc jak to jest z tym cyjankiem? Szalenie zabójcza rzecz! Podobno miligramy tego wystarczą do zabicia człowieka. Ileż to? 0,005? Tytuł wiersza! „0,005 cyjankali”. To miało od razu narzucić swą pedan-

tyczną rzeczowością, że wiersz jest modernistyczny, akuratność liczby magia arabskich cyfr i komy. Wiersz miał się kończyć obudzeniem i miało to brzmieć, temu komuś, komu śnią się te idee suicydalne i kiedy budzi się i

...oddali

Gorzkie łzy, gorzkie jak cyjankali...

Jeszcze miałem niezgrabny asonans na początek wiersza:

...i słońce szalonych trajektorie

Zatraca mnie i świat w agonii...

To „trajektorii” i „agonii” samemu mi się wydało podejrzanę i nie mogłem ani rusz zacząć.

Elektra traciła powoli respekt dla mnie, miała za dużo poczucia humoru, żeby długo kontemplować ten poród i znudziła się trochę.

— No przeczytaj co napisałeś.

— Och nie przeszkadzaj...

— Też te wiersze, to łatwe, te...na szarym kocu nieba, perłowy guzik księżycy — drażniła mnie Elektra.

Nie mogłem jednak się rozgniewać na nią, było mi przyjemie, że siedzi u mnie i dałem za wygraną.

Zmiałem ten papier, ulepiłem z niego pigułę i zacząłem na niej smarować oczy, usta, nos i atrament się pozalewał i wyszło z tego coś podobnego do „tsantsas” — preparowanych głów indiańskich znad Amazonki.

— Gdzie widziałeś, naprawdę widziałeś te tsantsas? pytała Elektra.

— Widziałem u rotmistrza Ruppą — powiedziałem — kiedyś był w Ekwadorze i stamtąd przywiózł. Są śliczne, główka mała jak piastka i zamknięte oczy i wargi zeszyte kolorową frendzlą i włosy, takie indiańskie włosy, czarne z wplecionymi, prześlicznymi piórkami papuzek. Jedna mała tak, że można ją nosić w butonierce.

— Jak to oni robią, to naprawdę prawdziwie?

— Wiesz, po prostu bardzo umiejętnie ściągają skórę z całej głowy, taki skalp z twarzy, potem to suszą, wypychają czymś, preparują i tak kurczy się.

Elektra wzdrygnęła się.

Chciałem ją bardziej przestraszyć, taka głupia satysfakcja.

— To wyrabiają Indianie Jivaros. Ale jak powstał na to popyt, to są oszuści, imitują genialnie te wyroby, specjalista się ledwie pozna, że to oszustwo, że czasem taka wędzona „tsantsas” była głową białej kobiety.

— Och Zorż! to straszne!

Efekt mi się udał i egzotyka wiszarów Amazonki, Orinoko i Rio Negro nadpłynęła dzunglą zieloną nad dachy cynkowe i popołudniowy kurz ulic miasteczka.

Nagle na podwórzu usłyszeliśmy dwa strzały pistoletowe i krótki skowyt psa. Rzuciłem się do okna.

Na schodach domu stał mój ojciec. Był bez marynarki, tylko w kamizelce. W opuszczonej ręce trzymał pistolet. Na drugim końcu podwórza, w słońcu przy furtce, leżał Mazgaj. Strumyczek krwi wytaczał się spod niego i szybko wsiąkał w piasek. Na betonowych schodach widać było wyrzucone, żółte i usmolone od spalonego prochu łuski wystrzelonych naboju pistoletowych.

Słysząc było płacz kucharki. Mój ojciec stał jeszcze chwilę i gorzko się uśmiechnął, to był dobry strzał na tę odległość i potem podniósł pistolet do oczu i przesunął bezpiecznik i wszedł do domu.

Elektra leżała na moim łóżku i zanosila się od łkania i w przerwach wybuchała:

— Nienawidzę go, ach nienawidzę!

Byłem wzburzony także, ale starałem się opanować.

— Och! co mu winien biedny Mazgaj — lkała prawie histerycznie — nienawidzę go...

— No dajże spokój — powiedziałem — ktoś może być drażliwy na punkcie psa, inny na punkcie pomidorów.

Przestała płakać.

— Ach głupia jestem — powiedziała już wstając z łóżka i miała czerwone i mokre od płaczu oczy i przez te łzy uśmiechnęła się do mnie przeprasząc.

* * *

Dom stał na skraju miasta. Był odosobniony i jedynie po drugiej stronie ulicy długim szeregiem parterowych stajen i budynków ciągnęły się koszary x-tego ułanów.

Dom był drewniany, o dziwnym planie i wyglądzie, projekt dyletancki mojego ojca, kombinacja szaletu szwajcarskiego, mieszczańskiej willi i dworu empirowego. Nie był stary, ale nisko położony, grunt podmokły, wybujała zieleń ogrodu i atmosfera postarzały go i wydawało się, że toczy go już grzyb i powoli zamienia się w długie, ciemne noce, zjadany przez rozkładające bakterie, zamienia się w próchno.

Mój ojciec był genialnym dyletantem w każdej dziedzinie. Między innymi w ogrodnictwie i pomologii. Jeszcze na długo przed wybudowaniem domu ponasadzał w ogrodzie dużo drzew owocowych, niektóre wyszukanych rodowodów i na ich gałęziach zawieszane na rdzewiejących drucikach były tabliczki drewniane z troskliwie powypisywanymi nazwami i po łacinie.

Pomimo pieczołowitego nawożenia, doglądania i skrapiania „sinym kamieniem” od razu załęgły się robaki i każdy jesienny zbiór był wspólnym plonem olbrzymich jablek, rumianych i stoczonych przez robaki.

Ogrodzenie przerośnięte było żywopłotem z bzów i malin i stało murem zielonym pomiędzy domem i ulicą.

Na podwórzu, częściowo wybrukowanym dzikim kamieniem, częściowo wysypanym piaskiem, ciągnął się budynek stajni, wozowni, pralni, osobno był chlew dla wieprzy i duża studnia z betonowych rur. Studnię kopano i stopniowo nakładało się te rury i partacz studniarz w rezultacie zrobił ją na krzywo.

Do wody nie było daleko. Dom i koszary stały na niskim gruncie, tuż za koszarami płynęła rzeka w urwistym żłobie i poziom wody w studni był na poziomie wody w rzece, woda zaskórna, czy prawo naczyń połączonych. To zwierciadło wody w naszej studni podnosiło się i opadało ze stanem wody w rzece i woda studzienna nie różniła się od rzecznej, była ciepła, mętna i słodkawa w smaku i używano jej w domu do wszystkiego, do gotowania, prania i do picia.

Kiedy rano siedzieliśmy w ogrodzie, gorące lato, byliśmy doskonale izolowani od świata za zielonym murem zieleni. Sercowate, ciemnozielone, polerowane liście bzu błękitnie odbijały niebo, krzaki róż na trawniku były kosmate od kalców i przylatywał od nich słodkawy zapach płatków różanych. Dzikie wino pięło się po ścianie domu i wydawało mi się, że po tej zieloności, kapilarnymi rurkami pnączów podnosi się wilgoć z ziemi i wżera w ścianę domu.

Elektra rano chodziła niedbale ubrana, w jakichś szlafrokach i nie było to u niej to zaniedbanie rażące, przy jej świeżości i pewnej omdłości, bardzo to jej pasowało.

Pod wysuniętymi okapami dachów jaskółki poulepiały gniazda i z piskiem nadlatywały z otwartej pod dzwonem nieba przestrzeni i smugi ich odchodów popstrzyły ściany domu.

Siedzieliśmy pod baldachimem zielonych liści, czytałem Carlyle'a „Bohaterów”, ale właściwie nie czytałem, tylko znad kartek książki rzucałem szybkie spojrzenia na jej piersi. Szyła coś i była pochylona i włosy jej

opadały na tę robotę i ten szlafrok trochę się rozchodził i widać było górną część jej piersi i wgłębienie między nimi i różowe jej policzki.

Rozmawialiśmy.

Na zamszowym oszyciu moich spodni do konnej jazdy, kluczem znalezionym w kieszeni drapałem jakiś deseń i łatwo było go zetrzeć jednym przetarciem dłoni, tak miękki był ten zamś.

Drogą, w pyłe i tupocie podków, wracał z ćwiczeń szwadron karabinów maszynowych. Drelichy ułanów były prawie białe od prania, ukośnie przez plecy mieli zaszmelcowane plamy od natłuszczonych karabinów. Przez gałęzie bzu widziałem ich jadących trójkami, albo dwójki koni, tam gdzie konowodny prowadził jucznego konia. Na jukach po jednej stronie karabin maszynowy Maxim z rurą chłodnicy, po drugiej złożony trójnóg podstawy Schwarzlose; na górze skrzynki z amunicją. Śpiewali:

Poczemżeś mię poznała

Umtarija-raz

Żeś mnie panem nazwała

Umtarija-raz...

Szwadron przeciągnął, kurz opadł i gorąco wypełniło powietrze. Jeszcze dochodził urywek śpiewanej przez nich piosenki:

Jakże ja cię puścić mam

Umtarija-raz

Jak ja biedna a tyś pan

Umtarija-raz...

Z ławki widzieliśmy daleko, na drugim końcu ogrodu, tam gdzie pod parkanem gęstwiły się krzaki malinowe, Franciszek Salezy Stuż, ogrodnik, kopał grób dla Mazgaja.

Franciszek Salezy Stuż, ten ogrodnik, był przez nas nazywany Kamczadalem. Nazywaliśmy i przylepialiśmy przezwiska wszystkim naokoło tak, że rozmowy moje z Elektrą miały charakter hermetycznego szyfru. Prokurent i jedyny urzędnik w banku mojego ojca nazywał się Reyowski, ale przeżywaliśmy go Ryjem, ojca nazywaliśmy Pawłem, chociaż miał imię Stefana, infulata Izydora Kunaszowskiego — Tertium Non Datur, a doktora Goldfisa — Solange.

Otóż Franciszek Salezy Stuż był na Kamczatce jako jeniec wojenny przez całą poprzednią wojnę. Na samym początku tej wojny, w sierpniu jeszcze 1914 roku, został zmobilizowany jako austriacki landszturmista i nawet nie ruszył się z tego miasta. Po prostu kiedy Rosjanie zbliżali się do tego miasta — mały oddziałek landszturmu wycofał się do lasu na okolicznych wzgórzach i ponieważ to był gorący, upalny dzień, więc koledzy wysłali Franciszka Salezego, autochtona, po piwo do rodzinnego osiedla i tu go złapał pierwszy patrol kozacki i wprost został wysłany etapami na Kamczatkę. W cztery lata poza kołem biegunowym Franciszek Salezy stracił na szkorbot wszystkie zęby i dlatego, niezupełnie jeszcze wiekowy, wydawał się starszkiem zgrzybiałym. Za tę Kamczatkę przeżyliśmy go Kamczadalem.

Kamczadal kopał grób dla Mazgaja. Zasadniczo był ogrodnikiem, ale przed paru laty zrobił odkrycie. Wynałazł cement portlandzki. Więcej niż zieleniną zajmował się cementowaniem wszystkiego wokół. Wyłudzał od mego ojca pieniądze na pół papierowego worka cementu „Firlej” i mieszał go i betonował i cementował. Schody, ścieki, kanały, studnie, parapety wokół naszego domu były zawsze w stanie korekty, naprawy i przebudowy. Chropawe deski osłaniały świeże, tężejące konstrukcje i kiedy je, te formy, rozbijał — ukazywało się lico betonu z wiernie od bitymi słojami drzewa, jak gdyby las skamieniały miał się budować wokół naszego domu.

Kiedy przychodziły ulewy, stawaliśmy zadziwieni, Elektra, ja i Kamczadal i patrzyliśmy zawiedzeni i zwarzeni jak wskutek nieprzewidywanych przez Franciszka Salezego praw niwelacji i sił denudacji woda deszczowa, burzliwie urągając jego irygacyjnym systemom kanałów i ścieków, płynęła na przekór i żłobiła obok i w poprzek kaniony i kolorada w błocie i ziemi, chlupotała o te betonowe rury, i niosła zielsko i trawę, żeby rozlać się w nieoczekiwanych miejscach w kałuże i sadzawki. Nigdy, o ile sobie przypominam, nie poznał jej kaprysów.

Łopata plasknięciem oklepywała kopczyk-mogilę Mazgaja. Niedługo spłśnie, a nawet zapadnie się ten grób i rozkładające się i toczone przez robaki ściervo wesolego Mazgaja będzie sączyć w ziemię i ogród jad i posokę sobaczą i będzie zatrwać krzywą studnię i łodygami pnączów będzie wspinać się i wsysać w ściany domu i trapić sen tu mieszkających w zemście i sobaczym skowycie za śmierć mu zadaną, kiedy był dzień i cienie słońca żeniły niebo z ziemią.

— Biedny Mazgaj — powiedziała Elektra — słuchaj — czy zwierzęta mają jakąś duszę?

Potem nie czekając na rewelacje z mej strony powiedziała.

— Śmierć, to straszne jest — śmierć...

Żal mi było Elektry.

— Och głupstwo — powiedziałem — nie ma nas, czy jesteśmy, to przecież tak przypadkowe. Czy wiesz jak życie jest przypadkowe? Wyobraź sobie, że ryby składają miliony ikry, żeby jedna przetrwała i zachłysnęła się życiem. A u ludzi wiesz na ile spermatozoonów...

Połąpałem się, że ona przecież jeszcze jest dziewczynką i powiedziałem niechący:

— Ale jesteś jeszcze na to za głupia, za niedorośła.

I znów mi się jej żal zrobiło — miała łzy w oczach.

— Właśnie że nie — ty brutalu, ty samolubie.

U nas nie było w zwyczaju czulenie się. Nie mówiliśmy w domu pieszczotliwych słów, nie uznawaliśmy pocałunków i nie wiedziałem co jej powiedzieć. Położyłem niezgrabnie rękę na jej ręce i uśmiechnęła się i powiedziała:

— Pokaż rękę. Ugryzł cię ten Mazgaj, czy boli? Wiesz ja tam u Benedyktyniek miałam taką historię, ale nic w domu nie mówiłam i Panny Benedyktynki były nooh! dyskretne — ale co musiałam się nasłuchać. Tam są takie straszne psy, wilczury i nocą spuszcza ją i uganiają rozhasane wokół murów klasztornych i szczekają. I wiesz — miały szczenięta i trzymały je w piwnicy klasztornej i byłam głupia i powiedziałam do Maryśki Zuberówny, że wcale bym się nie bała zejść tam do tych szczeniąt i Maryśka głupia i wierząca taka we mnie rozpaplała i tamte sprowokowały mnie. Wszystkie naturalnie bezpiecznie, na pierwszym piętrze, za szybami, a ja sama na tym podwórzu i bałam się strasznie i schodzę tymi schodami, ciemno i zanim usłyszałam pisk szczeniąt — a te wilczury rzuciły się na mnie i cofałam się schodami wlokąc na sobie uwieszona te dwa potwory, dziwię się, że nie zwariowałam i zemdlałam na górze. Potem jak leżałam tygodnie w łóżku, obandażowana, to myślisz że mi która współczuła — gdzie tam, fałszywie przy Pannach mówiły „a widzisz, sama chciałaś”, dlaczego te drwiny, Żorż?

— Nic te Panny Benedyktynki nie zdradziły — powiedziałem pocieszająco.

— One nie takie, a wiesz wszystkie z dobrych rodzin, żeby tam być trzeba było wiana i mało już takich. Są bardzo stare.

— Jakież one są? To bardzo surowa reguła? zapytałam.

— Oh, nasza ksieni, staruszka, wyobraź sobie nigdy w życiu nie widziała kolei, bo jak wstępowała do klasztoru to kolei jeszcze nie było, a więcej potem nie wyszła. No tak, parę lat temu jeździła do Pohrebyszcza, zobaczyć folwark, ale w karecie o zapuszczonych firankach.

— To one takie?...

— Wiesz noszą takie tołuby na głowach, jakie widzisz tu w kolegiacie na płycie Wojewodziny Bełskiej. No a ksieni, na okazjach podpira się takim pastorałem biskupim. Jada na obiad kwiczoly — śmiała się Elektra.

— Co, te altruistyczne kwiczoly, które same się nadziewają tarniną i nawet ich nie patroszy się do pieczenia?

— No tak opowiadają. A znów raz podkradłyśmy się z tą Maryśką, żeby zobaczyć obłóczyny. Bardzośmy się bały, zakradłyśmy się na chór, a tam na pulpicie wypalone szpony diabelskie — kiedy szatan położył rękę na świadectwo, jak był sąd Boży nad Chorążym z Krasiczyna — nie myśl, że ja wierzę w te folklor, ale się bałam bardzo. Więc te obłóczyny to straszne — ona była w bieli i welonie, jak Panna młoda i leżała krzyżem na posadźce i przykryto ją czarnym całunem i na rogach stały świeczniki jak do katafalku i ksiądz śpiewał Requiem i te śpiewy — myślałam, że znów pójdę do infirmerii po tym zwariowanym wieczorze. To jest śmierć za życia...

— O czym wy panny rozmawiacie między sobą, kiedy jesteście same — zapytałem podstępnie.

Elektra się śmiała: O czym? Wiesz — z zasady o chłopcach. Aż mi czasem wstyd...

* * *

Umilkliśmy i było cicho i gorąco w słońcu dnia.

Na ścieżce ogrodowej, w blasku słonecznym ukazał się kot. Był to jeden z pokolenia, którego generacje następowały po sobie i to przechodzenie z jednego życia w drugie odbywało się na oczach. Naprzód włochate niemowlę, przetaczające się po dywanach, dla którego świat cały był jednym i przekornym przedmiotem gry i wyzwania, potem wyrastało obojętną i chłodną miniaturą tygrysią o elastycznych ruchach i nerwowych skrętach ogona, lub w przeważnej części dnia, kłębek, węzeł gordyjski snu, drzemania i zamkniętego, cofniętego życia. Kotka następnie przechodziła ciężę i z rzuconego pomiotu zachowywało się elekta, resztę topił Franciszek Salezy w sposób urągający ideałom eutanazji Ligi Opieki nad Zwierzętami. I wyrastała nowa generacja i drzewo genealogiczne tego rodu rozczepiało się w nową gałąź.

Agrestowe oczy kota w blasku słońca ukazywały źrenice zredukowane do cienkich kresek. Siedzącym nam tak w cieniu, wydawało się, że zbliżający się po ścieżce kot olbrzymieje, wydawało się, że delikatne nogi, o najczulszych poduszczykach palców puchną w lwie łapy a okrągły łeb rozewrze się szczękami tygrysa jaskiniowego. Skala — jak mylną jest skala! Nie daj się uwieść skali! Kto ci przyjdzie z pomocą, kto zmierzy proporcje; kiedy dyluwialny tygrys rozewrze nad tobą szczęki o żółtych kłach!

Albo też to lampart! Strzeż się lamparta plamistego! To symbol wyuzdania, trucizny pożądania. Patrz! w jego ruchach cynicznych jest tyle lubieżności, patrz! w miękkim, drapieżnym położeniu łapy, w gotowości przyczajonej do skoku, w migocie sierści, gdy skóra pokrywa grę muskułów, jest skok nagły i koci. Czy w tym plamistym lamparcie, symbolu złego pożądania, czy we mnie samym? We mnie samym drzemał ten symbol w zdradzieckim węźle gordyjskim i oto powstał i przeży łądźwie i gotuje się do skoku.

— Kici, kici... — pochylila się Elektra i palcami drobila nad ścieżką chcąc zwabić pieszczoche.

Odetchnąłem z ulgą.

Kotka obejrzała się leniwie na nas i jednym płaskim, giętkim skokiem znalazła się na parkanie oddzielającym ogród od ulicy.

Kluczem zacząłem rysować i wyciskać na miękkim zamszu mych spodni do konnej jazdy centki lamparcie. Jak łatwo je było zetrzeć jednym przetarciem dłoni...

* * *

I wtedy Elektra zemdląa. Powiedziała po prostu A! i osunęła się z ławki na ziemię.

To było po ukazaniu się lamparta-symbolu. A poprzednio ja mówiłem na temat zadany.

Boję się — powiedziała Elektra — opowiedz coś o jakichś Indianach...

— Nie bój się. Wiesz Elektro, widziałem taki film Eisensteina o Meksyku. Właściwie o takim święcie meksykańskim, takie meksykańskie Zaduszki. To jest najweselsze święto na świecie — na temat śmierci. Wyobraź sobie tak: kiermasz, karnawał, muzyka jarmarczna, starzy, młodzi, dzieci, tańczą, cisną się u kramów, dzwony kościołów rozkołysane. Ale maski na twarzach rozbawionych par, to wyobrażenie trupiej czaszki z „papier maché”, na żerdziach straganów rozhuśtane i podrygujące lalki i kukły, to szkielety, pajace tańczące za pociągnięciem sznurka, to prześmieszny i ironiczny kościotrup. Ten Eisenstein to mistrz montażu kinowego, dobrał te sceny i zbliżenia w fantastyczną kompozycję. Widzisz takie małe dzieci Indian, oczarowane otrzymaną zabawką, która się nazywa „Mój malutki pogrzeb”, z księdzem, karawanem i żałobnikami-kukielkami a trumienka otwiera swe wieczko, jak tabakierka i ukazuje zawartość — szkielecik... Malutkie, pulchne niemowlę indiańskie, „papooze”, wżera się w kolosalny smakołyk, polukrowany i uszminnowany bakaliami na kształt trupiej głowy. A dorośli, pijani tym ich narodowym napitkiem, bodaj że z agawy, pulque, tańczą i śpiewają i śmieją się do tej śmierci, której, uważają, nie należy się bać, śmierć jest im bliska i przyjacielska, oswojeni z nią, z jej wyobrażeniem na kamieniach rzeźb Mayów i Azteków i widzisz Elektro ma to sens, to przemieszanie życia i śmierci, bo gdzież jest granica?... Więc nie bój się Elektro...

Elektra marszczyła brwi uśmiechnięta i zamyślona i wtedy właśnie zemdląa.

— Co ci to Elektro? przestraszyłem się i nogi mi wrosły w ziemię i przemogłem się i skoczyłem po wodę. Byłem tak zdenerwowany, że ochlapałem ją całą wodą z tego pośpiesznie przyniesionego dzbana i osunęła się z niej szlafrok i mokry nightdress olepił się o jej kształty.

Kiedy widziałem greckie rzeźby, wspaniałe i kolumnowe kobiety, kariatydy, niki i parki, diany i persefony i nioby i kanefory, to żlobili je Grecy w marmurze opięte w fałdy chitonów, które leżą gładko na ich udach i piersiach i biodrach i fałdują się i kanelurują w zgięciach i zwisie jak zastygłe strugi miodu i jak zamrożone wodospady. Po prostu grecki rzeźbiarz przybierał i drapował modele-kobiety w mokre płótna i te ulepione na mokro formy fałd przenosił i odnajdował w marmurze.

Elektra w omdleniu, jak grecki posąg z mokrymi fałdami, zbiegającymi się u jej stóp i jej różowe piersi prześwieślały się przez muslin jak marmur i okrągły brzuch i uda i w rozrzuceniu złotych włosów była jak grecki posąg z chryzelefantyny.

Nie mogłem jej dźwignąć, tak była ciężka i nadbiegł Franciszek Salezy i przy jego pomocy (mrucał: „Na tego, ażeż to uchowaj Boże — ouszem — nic się nie stało...”) usadowiliśmy ją na ławce, otworzyła oczy, mrugające w blasku słonecznym i szukała czegoś, co miała do powiedzenia i „już się nie boję” powiedziała.

Kolory jej wracały na policzki i śmiała się szczęśliwa, ach szczęśliwa!

* * *

Ale po południu Dr. Goldfisz, którego wezwano, żeby zbadał Elektrę, mówił na schodach zabierając się do domu, mówił zatroskany, szczypiąc swą semicką, tłustą dolną wargę palcami:

— To zemdleńie? to nic, to takie panieńskie historie, czy ja mówię, że to coś poważnego? Ale, żeby nie urzec, dlaczego państwo nie pošlecie Elektry do specjalisty piersiowego? — zakończył konsultację tym szeregim, specyficznych pytań.

SZPIEG ?

Wyjątek z powieści

Wolski nie zadawał po drodze żadnych pytań. Miał na sobie to samo ubranie co wówczas u dentysty. Ubranie było zbyt obcisłe: tak obcisłe, że Wolski wyglądał w nim jakby nago.

Raziła w nim pewna poufalość i to, że ciągle gadał. W pociągu opowiadał Wiktorowi jeden kawał za drugim. Kawaly były mało dowcipne, ale za to bardzo sprośne. Kiedy Wiktor przy jakimś kawale trochę się skrzywił, Wolski spojrział na niego z ironicznym uśmiechem:

— Ja zawsze nazywam wszystko po imieniu. A pan nie?

— Nie. Nie zawsze. Nigdy zresztą nad tym nie myślałem.

Wolski wyciągnął z kieszeni lusterko i długo oglądał jakieś pryszczę na twarzy.

— Najlepiej nazywać rzeczy po imieniu, bo wtedy nie ma nieporozumień, — powiedział. — Jak się pan znajduje w damskim towarzystwie, to ma się rozumieć nie, ale kiedy się pan z którą damą zaznajomi na dobre, to już wtedy wal pan mocne słowa bez pardonu. Najlepsza metoda.

O niczym innym Wolski nie mówił. Po kilku nowych anegdotach zaczął gadać o jedzeniu, — o przedwojennym jedzeniu. Okazało się, że doskonale wie, jak przygotowywać rozmaite potrawy.

„Może był dawniej kucharzem”, myślał Wiktor. „Gdybym miał teraz sformułować sobie o nim zdanie, musiałbym się grubo zastanowić. Dureń, czy nie dureń? Chyba nie dureń, udaje durnia. Ale z pewnością cham. Cham, ale na prowokatora mi nie wygląda. Prowokator musi mieć chyba bardziej skomplikowaną duszę, a jego charakter widać jak na dłoni. Ten człowiek otwiera się bez klucza, jak drzwi szafy, wypaczonej przez wilgoć. . . .”

Kiedy dojechali do Grodziska, Wolski spojrział na Wiktora trochę dziwnie, jakby się czegoś domyślał. Było już dosyć chłodno. Z ogrodów dolatywał zapach jakby przygniętego siana. Kilka wron zerwało się z drzewa i leciało za nimi, przeraźliwie kracząc.

— Jakbym miał proceć, to bym którą strącił, — powiedział Wolski. — Za małego dobrze strzelałem z procy do gołębi. Ale w gołębiu dużo nie ma. Tylko czarne mięso i nie bardzo smaczne. Kura lepsza. A jeszcze mówią „pieczone gołąbki nie wleczą same do gąbki”. Zna pan to przysłowie?

— Każdy je zna.

— Pewnie że tak. Przysłowie znane, to się wie.

Później, do samej willi, Wolski milczał. W sieni willi było zupełnie ciemno. Kiedy weszli, otworzyły się drzwi do pokoju i jakiś głos powie dział:

— Proszę tutaj.

W pokoju stało dwóch ludzi, których Wiktor nie znał. Obaj mieli w rękę rewolwery.

— W porządku, — rzekł jeden z nich do Wiktora. — Możecie wracać do Warszawy.

Wiktor spojrział na Wolskiego, który był bardzo blady, ale się uśmiechał. Wiktor, gdy wychodził, słyszał jeszcze jego słowa:

— No to jazda. Już mnie macie i możecie zaczynać.

* * *

Sąd odbywał się w dużej izbie ze szczelnie zasłoniętymi oknami. Za stolikiem z białych desek, najwidoczniej kuchennym, siedzieli trzech ludzi. Nieco dalej siedział człowiek w okularach, prokurator tego sądu. Po

drugiej stronie było jeszcze dwóch: przedstawiciel organizacji Zygmunt i obrońca, niemłody i łysawy.

— Jesteście oskarżeni o to, że dawaliście informacje Niemcom o organizacji, której byliście członkiem, — powiedział przewodniczący kiedy wprowadzono Wolskiego. — Siadajcie. Zanim przystąpię do rozpatrzenia sprawy zapytuję was, czy uznajecie ten sąd i jego wyrok jako praworządny?

— To jest niepotrzebne pytanie, — powiedział Wolski. — To jest mój sąd tak samo, jak wasz sąd! To jest sąd mojej organizacji! Ja go tak samo uznaję jak każdy z was!

Wolski mówił tonem podniesionym, z silnie zaczerwienioną twarzą. Sędziowie patrzyli na niego twardo, bez sympatii. Przewodniczący powiedział:

— Zachowujcie się spokojnie. Informuję was, że waszym obrońcą jest obywatel Kiroń. Co ma znaczyć to machnięcie ręką? Zrzekacie się obrońcy?

— A niech będzie. Sam się będę bronił, ale jak mówicie że obrońca, no to dobrze. Każecie mi się zachowywać spokojnie, ale jabym chciał zobaczyć którego z was na moim miejscu, i dopiero wtedy by się okazało, czy siedzieliby spokojnie, kiedy go bez powodu oskarżają o łajdactwo. Nie przerywajcie mi, bo chcę wszystko powiedzieć. Już się od dawna szykuję, żeby powiedzieć, od tego samego dnia, jak na mnie zaczęli krzywo patrzeć i wymyślili taki sposób, żeby mi nie dawać roboty. Może się wam zdaje, że nie zauważył? A tu się właśnie mylicie, bo od razu wiedziałem. I tak samo wiedziałem, że mnie Wiktor prowadzi na sąd. Jakie macie prawo zdejmować z roboty bez dowodów? Ktoś naszczał i dobra? A nie! Niech wystąpi i niech mi w oczy gada!

Sędziowie patrzyli na Wolskiego badawczo, twardo. Przewodniczący powiedział sucho:

— Sąd przyjmuje do wiadomości, że oskarżony nie poczuwa się do winy. Informuję dalej oskarżonego, że przysługuje mu prawo komunikowania się z obrońcą bez świadków. Jednym słowem w cztery oczy. Obrona oskarżonego ograniczona jest tylko względami bezpieczeństwa organizacji. Z tych powodów nie został mu wręczony akt oskarżenia. Sąd nie może również przesłuchać świadków. Zeznania świadków zostały złożone osobom przez sąd wyznaczonym.

— To się wie, — rzekł Wolski. — Jak już obywatel skończył, to ja teraz zacznę.

— Sąd przystępuje do badania oskarżonego. Oskarżony, proszę wstać. Oskarżony wiedział o projektowanym zamachu na von Seiferta? Tak, czy nie?

— Wiedziałem. Miałem ściągnąć do tego jednego człowieka i z nim pogadać. Więc wiedziałem.

— Gestapo otrzymała informacje przed zamachem. Oskarżony tych informacji nie dawał?

— Nie.

— Czy oskarżony zna pułkownika Reissnera?

— Takiego nie znam. Żadnego pułkownika nie znam.

— Kiedy oskarżony był ostatni raz w Łodzi?

— A tego nie mogę powiedzieć. Nie pamiętam. Już chyba dawno.

— Może we wrześniu?

— Chyba nie. Jakos tak w czerwcu. Ostatni raz w czerwcu.

— Dobrze. Czy oskarżony słyszał kiedyś nazwisko Palm? Albo pseudonim Palm?

— Nie słyszałem. A jak on mówi, że mnie widział, to musi powiedzieć gdzie i kiedy. I wtedy się okaże, kto kłamie.

Wolski mówił teraz bardzo wolno i bardzo spokojnie. Przewodniczący usiadł głębiej w krześle. Prokurator powiedział:

— Chciałbym zadać oskarżonemu pytanie. Niech oskarżony dobrze się namyśli, zanim na nie odpowie. . . .

— Nie mam się czego namyślać, — mruknął Wolski. — Jak który kłamie, ten się musi namyślać, a ja nie mam po co.

— Pięknie. Czy oskarżony wie, że w ręce organizacji wpadły niedawno pewne ważne papiery Gestapo?

— A no wiem. Gadali o tym w organizacji, więc chyba mogłem słyszeć.

— Nie o to chodzi, — przerwał prokurator, podnosząc ręce to góry trochę teatralnym ruchem. — Chętnie przyznaję, że oskarżony mógł o tym słyszeć i nie robię mu z tego powodu zarzutów. Ale skoro oskarżony wie, że posiadamy tajne papiery Gestapo, no to wobec tego jego system obrony jest trochę naiwny. Nawet bardzo naiwny. Oskarżony rozumie chyba moje pytanie?

Wolski spojrział mu z wściekłością prosto w oczy:

— Taki znowuż dureń nie jestem, żeby nie rozumieć. Tylko że obywatel prokurator też mi tu głupiego udaje. Jakby w tych gestapowskich papierach było napisane, że Wolski jest szpicel, toby Wolskiego nie ciągnęli do sądu! Tylko wlepili Wolskiemu kulę w łeb przy pierwszej okazji! Tak, czy nie? Teraz ja się pytam: tak, czy nie?!

— Proszę nie krzyczeć, — rzekł przewodniczący. — Pan oskarżyciel ma prawo zadawać pytania, oskarżony może nie odpowiadać, jeśli nie chce. Nie ma czego krzyczeć.

— Ja poproszę o pozwolenie zapalenia papierosa, — powiedział nagle Wolski. — Od rana żem nie palił, bo nie miałem papierosów. I teraz nie mam, chyba że mi kto da. Niby to szpicel z Gestapo, najważniejsze zamachy Niemcom sprzedaje, ale na papierosy nie wystarczy mu pieniędzy. . . .

Mówił to głosem szorstkim, prawie gburowatym. Przewodniczący wyjął z kieszeni papierosa i położył go na stole. Jeszcze przedtem wyciągnął z kieszeni papierosy prokurator. Ale Wolski tego nie zauważył. Zbliżył się do stołu, wziął papierosa i zapalił go. obrońca patrzył na Wolskiego z zainteresowaniem. Kiedy prokurator, nieco zakłopotany, schował swoje papierosy do kieszeni, obrońca blade się uśmiechnął i szybko ukrył uśmiech, czyniąc wargami i językiem taki ruch, jakby się obliżywał.

Wolski kilka razy głęboko się zaciągnął, potem zgasił papierosa o zapalniczkę i schował niedopałek do kieszeni. Prokurator powiedział:

— Oskarżony twierdzi, że był ostatni raz w Łodzi w czerwcu. Jest to nieprawda. Był we wrześniu. Zapytuję jeszcze raz, czy oskarżony był w Łodzi w pierwszej połowie września?

Wolski milczał i spokojnie, pogardliwie odwrócił głowę w stronę okna. obrońca dał znak przewodniczącemu, który kiwnął głową. obrońca powiedział głośno:

— Nie mogę pozwolić, tak jest. . . . Muszę zaprotestować przeciwko w ten sposób stawianym pytaniom. Oskarżony był w Łodzi drugiego września. Może zapomniał, ale był. Był z ramienia organizacji. Trzeba mu przypomnieć że był, i już.

— Teraz sobie przypominam, że byłem, powiedział Wolski. — Może pierwszego, może drugiego, bo mi już wyleciało z głowy.

— Dlaczego oskarżony nie powiedział tego od razu?, — zapytał prokurator.

— Bom zapomniał. A teraz sobie przypomniałem.

— Oskarżony zapomniał. Bardzo pięknie. Ale po co ta triumfująca mina i ironiczny uśmieszek? Oskarżony się zdradzał! Uśmieszek go zdradzał! Czy oskarżony chce, żebym mu powiedział, dlaczego się uśmiecha? Oto dlatego, że udał mu się zręczny manewr. Umyślnie nie powiedział, że był w Łodzi drugiego września, doskonale wiedząc, że jego pobyt w Łodzi tego dnia musi się wydać, bo go przecież posłała organizacja.

Ale jak go znowu posłała organizacja, no to wszystko w porządku, i oskarżonemu się zdaje, że wygrał pierwszą rundę. Sprytny, bardzo sprytny manewr psychologiczny! Oskarżony chce nas przekonać tym chwytem, że ma kiepską pamięć. Jak teraz odpowie na jakieś pytanie niezgodnie z rzeczywistością, będzie się mógł na swoją kiepską pamięć powołać. Ogromnie sprytnie pomyślane, ale może trochę za sprytnie.

I podnosząc nieco głos, prokurator dodał:

— Bo nam wcale nie chodzi o dzień drugiego września, tylko o datę czternastego września.

— Czternastego września w Łodzi nie byłem, — rzekł Wolski. —

— To już dobrze pamiętam, bo sobie tymczasem przypomniałem. Podczas tego jak mi szanowny pan prokurator wymyślał od spryciarzy. Takiej znowu złej pamięci nie mam, jak się wyteżę, mogę sobie niejedno przypomnieć. I teraz poproszę, żeby sąd powiedział, co przeciwko mnie ma, a nie bawił się jak kot z myszą!

— Wyście byli w Łodzi czternastego września, — rzekł spokojnie przewodniczący.

Wolski rzucił mu gniewne, jakby trochę zdziwione spojrzenie. Przez kilka sekund milczał, później zaczął prędko:

— A jak sąd nie powie, co przeciwko mnie ma, w takim razie ja sam powiem. Na kogo innego nie padło podejrzenie, bo kto inny nie ma niemieckiego nazwiska, a moje nazwisko jest niemieckie, i dlatego organizacja pomyślała, że złapała Volksdeutscha, co się podaje za Polaka, żeby Polaków Niemcom zdradzać. Kiedy zaczęli szukać szpiega, no to naturalnie Schneider za szpiega, bo mu jeszcze na imię Johan, tylko że ja mojego nazwiska z własnej woli nie ukrywałem! Niech obywatel Zygmunt potwierdzi, jak było! Zygmunt dał mi lewe papiery na nazwisko Wolski, i powiada do mnie: „Teraz, bracie, nazywasz się Wolski, a o Schneiderze zapomnij i imię twoje będzie Jan”. A ja na to mówię Zygmunutowi, że, powiadam, lepszy wróbel w rękę, niż cietrzew na sęku, bo przecież jest takie polskie przysłowie, to się wie, a Zygmunt do mnie, że przysłowie się nie stosuje i zaraz dał mi lipowe papiery ze sobą na Złotej ulicy w Warszawie. Adres domu numer dwunasty, od podwórka na prawo, tam mi kazali przyjść po papiery, na Złotą dwunasty. . . .

Wolski mówił jednym tchem, coraz prędzej. Nagle się zachłysnął i przetknął ślinę. Przewodniczący powiedział:

— Sąd wie o waszych papierach. Wasze niemieckie nazwisko nie odgrywa żadnej roli. Podejrzenie padło na was nie z powodu nazwiska.

Prokurator podał przewodniczącemu kartkę papieru, zapelnioną maszynowym pismem. Przewodniczący odczytał na głos:

— Świadek Anna Jasińska zeznała co następuje: „Wolski był u mnie czternastego września w moim mieszkaniu w Łodzi przy ulicy Zawadzkiej numer dwadzieścia dwa. Przyszedł o szóstej po południu. Miał ze sobą duży zwitek pieniędzy. Nie wiem, ile było pieniędzy, ale musiało być dużo. Wolski powiedział, że jest teraz bogaty i żebym. nie była głupia, i że przy tej łapance w Łodzi nie mógł mnie bronić jak mnie Niemcy bili, bo mógłby się sam wsypać. I jeszcze mi powiedział, że jak komu pisnę słówko, że go widziałam w Łodzi, czeka mnie śmierć z ręki podziemnej organizacji za zdradę”.

Wolski milczał. Po chwili mruknął:

— Zaraz. Zaraz odpowiem.

— Od odpowiedzi oskarżonego zależy jego życie, — powiedział przewodniczący. — Mówiliście przedtem, że organizacja usunęłaby was bez sądu, gdyby miała pewność, że sypiecie. Macie rację. Właśnie dlatego was sądzimy, żeby mieć pewność.

— Ja poproszę o przerwę, — rzekł szybko Wolski. — Obywatel przewodniczący mówił, że się mogę naradzić z moim obrońcą w cztery oczy, więc ja się chcę teraz naradzić.

Przewodniczący zarządził przerwę. Ci sami dwaj ludzie, którzy stali w sieni, zaprowadzili Wolskiego do małego pokoiku w końcu długiego korytarza. Czekał już tam na niego Kiroń.

Kiedy kroki ludzi, którzy go przyprowadzili, zacięły w korytarzu, Wolski zbliżył się do żelaznego łóżka, na którym siedział Kiroń i jednym uderzeniem pięści między oczy zwałił Kironia na ziemię. Okno zastonięte było wewnętrzną okiennicą. Zanim Kiroń zdążył się podnieść, Wolski odemknął okiennicę i wywalił szybę. . . .

Wszystko to trwało zaledwie kilka sekund. W chwili kiedy Wolski wskoczył na parapet okna, za oknem jakby z ziemi wyrosło dwóch innych ludzi z rewolwerami.

— Włącz z powrotem, — powiedział jeden z nich. — Takich znowu frajerów tu nie ma, żeby ci dali uciec.

* * *

Kiedy wznowiono rozprawę, Wolski całkowicie zmienił ton. Prawą jego rękę przewiązano ręcznikiem. Z rany, powstałej przy rozbijaniu szyby, sączyła się krew, tworząc na bandażu coraz szerszą plamę.

Z pracowni rzeźbiarskiej Szczytt-Lednickiej



Dwie duże świece, umieszczone w lichtarzach na stole, rzucały na twarze sędziów żółte odbłaski, a na ścianę za nimi skośne, chwiejące się cienie, czyniące wrażenie, jakby oskarżyciel i sędziowie kołysali się i kłaniali komuś niewidocznemu, nie wstając z krzesel.

Wolski przyznał się do wszystkiego. Kiedy go zapytano, dlaczego nie doniósł o zamachu Gestapo w Warszawie, powiedział, że za wyjazdem do Łodzi przemawiało wiele przyczyn. Po pierwsze Reissner, który dawniej urzędował w Warszawie, zawsze płacił mu lepiej, niż inni. Po drugie, Wolski liczył na to, że w Łodzi nikt go nie zna i nikt nie wyśledzi:

— I jeszcze powiem, że dla pieniędzy sypałem. Tylko dla pieniędzy. I jak mnie skazecie na śmierć, nie będę krzyczał „Heil Hitler”, ani nic takiego. . . .

Jedna ze świec zaczęła skwierczeć i syczeć. Wolski na chwilę się zatrzymał i ciągnął dalej dopiero wtedy, kiedy świeca zapaliła się jaśniejszym płomieniem:

— Tak jest, panowie, dla pieniędzy sypałem. Panowie się tu bawią w politykę, ale ja nie. Ja rżnę prawdę w oczy i wszystko nazywam po imieniu. Ja za żadną tam sprawę nie walczę, ani za polską, ani za niemiecką, tylko się staram dla samego siebie. I jeszcze powiem, że zawsze tak było na świecie, że ktoś przeciwko komuś walczył, o całą ludzkość walczyli, czy tam o idee, a po stu latach z ich idei nawet ziarenka piasku nie zostało, chociaż się im wydawały strasznie ważne i głowy za nie kładli. No a mądrzy ludzie korzystali, że się dwóch kłóci, bo tam gdzie się dwóch kłóci, trzeci korzysta, to się wie. I pomagali tym, albo tamtym, kto lepiej płacił.

Jeden z sędziów, o szarej, zmęczonej twarzy, poruszył się niecierpliwie na krześle. Wolski rzucił mu zimne, złe spojrzenie:

— Niech się pan uspokoi, panie sędzio. Jak mi pan nie wierzy, to ja tak samo mogę dowieść, że za pieniądze sypałem, a nie politycznie. Dwuch niemieckich żołnierzy w Rembertowie kto zabił? Wolski zabił! Własną ręką zastrzelił! Zygmunt potwierdzi! Sam zabiłem, z własnej woli! Za to, że mi stanęli na drodze! I tak samo każdego bym teraz zabił, co mi staje na drodze, Niemca czy Polaka, — bez różnicy!

Sędzia o szarej twarzy nie wytrzymał i zerwał się z miejsca. Krzyczał piskliwym dyszkantem, że nie może słuchać tego, co mówi Wolski, że trzeba mu odebrać głos!

— To poniża godność człowieka! On robi z człowieka zwierzę, drapieżne zwierzę! My nie mamy obowiązku wysłuchiwanie jego cynicznych podłości! To jest nieludzkie, to przechodzi moje siły!

Przewodniczący począł uspakajać sędziego. Wolski odwrócił głowę. Słowa sędziego wywarły na nim nieoczekiwane i głębokie wrażenie. Kiedy po chwili znowu zaczął mówić, głos jego, po raz pierwszy, załamywał się i drżał:

— Już teraz tak będę gadał, żeby można było słuchać. Niech pan sędzia nie ma do mnie złości, że wyciągam własne brudy, co się we mnie zebrały. To przez gniew. Przez gniew, że mi się nie udało uciec. Jużem tu w sali chciał uciec, tylko obliczyłem, że nie zdążę dolecieć do okna. . . .

— Proszę wrócić do rzeczy, — przerwał przewodniczący. — Co ma jeszcze oskarżony do powiedzenia?

— Mam w zanadru jeszcze jedną kartę, ale to dopiero na koniec, — powiedział Wolski.

— Jaką kartę? Proszę mówić od razu!

— A jest taka jedna karta i nie u mnie w kieszeni się znajduje, tylko w biurku jednego oficera z Gestapo. Napiisałem na niej lewe nazwiska i adresy, wszystkie jakie znałem. Stanęła w Gestapo umowa, że jak Wolskiemu coś się tam przytrafi, wtenczas Niemcy wszystkich ludzi z mojego papierka wezmą. A przedtem nie brali, żeby się nie wydało, że Wolski sypie. Na papierku jest adres Zygmunta, i zaraz za nim sto

zapisany pan przewidniczący tego sądu, co się nazywa w lewych papierach Jaskólski, bo go już przecież raz widziałem. Więc albo wóz, albo przewóz, jak się mówi w polskim przysłowiu. Albo Wolski przejedzie się na tamten świat, ale razem z wami. Albo wypuscicie mnie na wolność i to się wam znowuż opłaci. Bo wtedy Wolski może pracować w Gestapo na niby i donosić wam co się w Gestapo dzieje.

Oświadczenie było tak nieoczekiwane, że przewodniczący na chwilę oniemiał. Korzystając z tego, Wolski dodał:

— Może się kto zapyta, czym mi organizacja zapłaci, żebym jej służył. Ja na to odpowiem: moją głową. To jest dobra cena.

— Sąd odrzuca pana propozycję, — powiedział przewodniczący. — To już chyba wszystko?

Wolski spojrział na niego osłupiałym, zdziwionym wzrokiem. Potem usiadł, wzruszył ramionami i wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów. Zapalił jednego z nich i powiedział:

— Teraz już chyba wszystko. I już teraz mogę powiedzieć, że może tak i lepiej. Niech mi sąd wierzy albo nie, ale prawdę powiedziałem, kiedy mówiłem, że wiedziałem, że idę na sąd. Może niezupełnie wiedziałem, ale prawie. Tylko że już nie miałem w sobie siły, żeby się oprzeć. Nie miałem w sobie wewnątrz żadnej siły, od czasu jak razu pewnego sobie pomyślałem, że wszystko na nic: i pieniądze na nic, i wszystko. I nawet gadać z ludźmi nie mogłem, tylko im opowiadałem nieładne dowcipy, jak Wiktorowi w pociągu. . . .

Ze świecą, która poprzednio syczała, znowu się coś stało. W roztopionej stearynie ugrzązła mucha, płomień walczył z nią, to wznosząc się ku górze, to prawie gasnąc. Wszyscy, nie wyłączając Wolskiego, utkwili na chwilę oczy w płomieniu świecy.

— Nie miałem w środku siły, jak ta mucha, — powiedział wreszcie Wolski. — Też leci na ogień, myśli że ciepło, że pieniądze, a tu śmierć. . . .

* * *

Ani mowy oskarżyciela, ani przemówienia obrońcy nie było. Oskarżyciel sam zrzekł się głosu, a obywatela Kironia Wolski prosił, aby nie przemawiał.

Przed zamknięciem rozprawy przewodniczący zapytał Wolskiego, czy chce skorzystać z przysługującego mu prawa ostatniego słowa. Wolski podniósł się i zaczął mówić najpierw cicho, potem coraz głośniej:

— Powiedziałbym jeszcze coś niecoś, ale się boję, że mnie panowie nie zrozumieją. Jeden człowiek drugiego rzadko kiedy rozumie, a już jak się który wykierował na sędziego, wtedy nie ma prawa rozumieć. Bo jakby wszystko rozumiał, toby nie mógł sądzić. Więc tylko tyle powiem, że mnie od dziecka uczyli na Żelaznej, że kto bogaty ten i dobry, a biednego wal kamieniem w głowę i bij batem za to, że biedny. Tak mnie tam na Żelaznej życie uczyło i z tego wszystko poszło. To chcę powiedzieć sądowi na odchodne, bo tak się przecież należy, żeby w ostatnim słowie skazaniec powiedział to co jest dla niego najważniejsze, a dla mnie to jest najważniejsze i nic innego. Już teraz zaraz skończę. Nikogo mi nie żal na świecie, dla nikogo żadnych poleceń nie zostawiam. Jedną tylko miałem kobietę, co z nią można było gadać, jakby człowiek sam ze sobą gadał i ona właśnie mnie wydała na śmierć. Jażem myślał, że ona mnie kocha, nawet po tym wypadku przy łapance. Więc, odchodząc na tamten świat, ją, Annę Jasińską, najpierwej przeklinam, żeby ją spotkało ciężkie nieszczęście . . . ciężkie nieszczęście. . . .

Wolski zachłysnął się i zamilkł. Zygmunt powiedział:

— Mylicie się, Wolski. Anna Jasińska was nie wydała. Powiedziała że byliście w Łodzi dopiero wtedy, kiedy ją powiadomiono, o co was podejrzewają. Ale co do tego wypadku przy łapance to macie rację. To

zaważyło. Od tego czasu mieliśmy na was oko. Bo jak kto może zdradzić swoją kobietę tak jak wyście wtedy zdradzili Jasińską, to taki człowiek może też zdradzić swoich najbliższych towarzyszy i sprawę, za którą walczy. Szpiega najłatwiej poznać po jego stosunku do kobiety, my to tu w organizacji już dawno wiemy.

I po chwili Zygmunt dodał:

— Jeszcze jedno wam powiem: wasze przekleństwo nie dosięgnie Jasińskiej, ponieważ ona już nie żyje. Ona was kochała jeszcze po zerwaniu z wami. I na drugi dzień po tym, jak powiedziała, że was widziała w Łodzi, znaleźli ją bez życia w jej pokoju. Otruła się i zostawiła kartkę, dlaczego się otruła. Miała wyrzuty sumienia, że was zdradziła. Rozumiecie, Wolski: miała z powodu was wyrzuty sumienia!

Wolski milczał. Obie świece na sędziowskim stole paliły się teraz równym, wysokim, żółtawo-czerwonym płomieniem. Po jednej z nich spływała powoli stearyna, zastygając u dołu lichtarza w biały, błyszczący krążek. Obie świece wypalone były zaledwie do połowy.

T. POTWOROWSKI

PODRÓŻ DO PIEKŁA

Pewnego wieczoru wracałem do domu z zebrania na którym przemawiał jeden z moich znajomych, młody i utalentowany historyk sztuki.

Byłem zmęczony, szedłem wzdłuż wybrzeża Tamizy, szukając świeżego powiewu w tę gorącą letnią noc.

Idąc myślałem o tym, że historyk którego dziś słyszałem był typowym przedstawicielem tego gatunku ludzi, przystojny o estetycznym wyglądzie, mówił z lekka przez nos, niedbale rozwlekając słowa. Zresztą słowa które wypowiadał nie miały głębszego znaczenia, używał ich głównie w celu ozdabiania nimi swojej własnej postaci.

Kiedy w mętnym świetle małej salki, gdzie odbywało się zebranie, przypatrywałem się mówcy, miałem wrażenie, że wyciąga on ze swej pamięci nazwiska zmarłych artystów jak kolorowe szmatki z pudła i zawiesza na sobie drapując się w nie, jakby w jakąś niesamowitą togę.

Po chwili był już cały obwieszony tymi trupimi szmatkami, ręce jego nerwowe i szybkie przestawiały zmarłe wielkości jak pionki na szachownicy, regulując i ustalając hierarchie. Żywych w myśl doktryny wyrzucał precz, wyroki były bezapelacyjne. Nagle błyskawicznym ruchem wyciągnął z pudła za uszy jakiegoś nowego trupa i potrząsnął nim tryumfalnie wołając: „Oto jam go odkrył”. Potem nastąpiły owacje i szuranie krzesłami. W tej chwili potknąłem się o wystający brzeg trotuaru i zauważyłem, że jest już ciemno, że na ulicy wkoło mnie jest zupełnie pusto, niedaleko majaczy światelko underground'u.

Nie miałem pojęcia gdzie jestem, było późno, szybko zszedłem po schodach w dół. Kiedy stanąłem przed kasą, nie mogłem się zdecydować gdzie jechać i nie wiem z jakiego powodu przyszła mi nagle do głowy myśl, ażeby poprosić o bilet do piekła.

Kasjer nie okazał żadnego zdziwienia z powodu mego nieoczekiwanego żądania i rzucił mi bilet, który kosztował tylko 6 pensów.

Nigdy przedtem nie przypuszczałem, że porzucenie rzeczywistości może być takie łatwe i proste.

W momencie kiedy brałem do ręki bilet, zauważyłem jakby pewne małe przesunięcie się całego widzialnego świata. To przesunięcie się było minimalne, zmienił się jakby tylko kąt mego widzenia, w każdym razie wszystko w koło mnie stało się jakies zupełnie inne i niezwykle.

Zacząłem zastanawiać się nad tym zjawiskiem. Zdawałem sobie sprawę, że obraz świata widzialnego dochodzi do moich oczu za pomocą promieni świetlnych odbijanych przez przedmioty.

Drogę tych promieni wyobraziłem sobie jako linię prostą idącą od przedmiotu do mego oka. Następnie obraz ten jest przekazywany do mojej świadomości, co można wyrazić przez drugą linię idącą od oka do mózgu a znajdującą się pod pewnym kątem do pierwszej.

Dopiero w następstwie tych funkcji moja wyobraźnia umieszcza zauważony przedmiot w otaczającej mnie przestrzeni i tu zachodzi możliwość, że położenie wyobrażone, nie będzie zgodne z położeniem rzeczywistym. Można to wyrazić za pomocą linii, która wychodząc z mojej świadomości idzie gdzieś poza rzeczywistość.

Będzie to jakiś magiczny trójkąt.

Rozmyślając o tym szedłem powoli korytarzem. Na zakręcie minął mnie zataczający się człowiek, który śpiewał, potem przeszła szybko jakaś blada dziewczyna w czarnym płaszczu, być może że byli to ludzie, którzy tak samo jak ja, porzucili rzeczywistość i blakali się po smutnych podziemiach Londynu.

Korytarz, którym szedłem, był jakby wielką rurą o brudnoszarych ścianach, kroki moje dudniły głucho po cementowym dnie, mijalem coraz to nowe zakręty i rozgałęzienia.

Nie mogłem nigdzie dojść, zdawało mi się, że jestem jakimś wielkim spłoszonym szczurem, biegającym przez podziemne nory.

Nagle korytarz skończył się, stanąłem przed żelaznymi drzwiami, które były zamknięte.

Światła lamp pociemniały, byłem sam, słyszałem tylko daleko łoskot przejeżdżających pociągów.

Próbowałem otworzyć drzwi, ale były one zimne, gładkie i nie miały żadnego śladu zamku.

Kiedy tak stałem bezradny, spróbowałem wyobrazić sobie, że jestem już po tamtej stronie, w tej samej chwili drzwi otworzyły się bezszelestnie.

Przedemną była wielka pusta winda, wszedłem do środka; drzwi zamknęły się za mną.

Po chwili w mętym świetle lampy, która wisiała u sufitu, zauważyłem szarą kobietą postać w kącie. Była ona odwrócona twarzą do ściany.

Kobieta miała na sobie długi płaszcz szarego koloru, czarne spodnie i mundurową czapkę, lewą ręką opierała się na przyrządzie, który uruchamiał windę.

Wiedziałem, że wystarczy jeden mały ruch tej ręki a winda runie w dół. Będzie to podróż w głąb, poprzez najbardziej śmiało przypuszczenia.

Byłem zaintrygowany tą kobietą, chciałem zobaczyć jej twarz.

Zawołałem na nią i w tej chwili odwróciła się.

Stała przede mną wyprostowana i jakaś dziwna, może najdziwniejszym było to, że nie miała w ogóle twarzy.

Spod czapki spływały jasne włosy i otaczały pustkę, czarną i głęboką.

W pierwszej chwili ogarnęło mnie przerażenie, cofnąłem się w tył i oparłem o metalową ścianę, ale nie mogłem oderwać oczu od tej dziwnej muzy podziemnej.

Wpatrywałem się w pustkę jej twarzy.

Moja wyobraźnia tworzyła w niej światła i cienie i powoływała do istnienia kobiety dziwne, które nigdy naprawdę nie mogłyby istnieć. Potem znowu wszystko rozplątywało się, pozostawał tylko czarny cień.

Nagle ręka kobiety poruszyła się i winda zaczęła gwałtownie spadać w dół.

Ściany z żelaznych belek i szare mury zniknęły po chwili, a poprzez kraty windy zobaczyłem czarne niebo, po którym przesuwały się powoli wielkie, czerwone słońca.

Horyzont rozszerzył się niepomieranie, gdzieś nieskończenie daleko niebo stykało się z ziemią gorącą i ponurą.

Wzrok mój błąkał się pośród tych mrocznych przestrzeni i opadał zmęczony na podłogę windy, po której mogłem chodzić tam i z powrotem.

Zauważyłem, że w międzyczasie do windy dostało się jakichś parę istot, na brzegu ławki siedział człowiek o wyglądzie strudzonego podróżnika, miał we włosach resztki zeschłej trawy z Indochin, a buty jego były pokryte czerwonym pyłem z płaskowzgórza meksykańskiego. Kiedy poruszał rękoma, to wysuwały mu się z nich jakieś dawno widziane miasta, pełne kolorowych ludzi i kraje odległe, położone z drugiej strony ziemi.

W tym czasie poza kratami zrobiło się zupełnie ciemno, wjechaliśmy w jakiś tunel, winda zatrzymała się jakby w połowie drogi.

Światło lampy prawie że zgasło, tliło się tylko jakimś dziwnym fioletowym płomykiem.

Pod samym sufitem windy zauważyłem wąską smugę światła, która wydobywała się jakby spod niedokładnie zamkniętych drzwi; wyskoczyłem na ławkę i przyłożyłem oko do tej szpary.

Z trudem mogłem zobaczyć, że po drugiej stronie jest jakaś wielka sala, przechadzali się po niej ludzie dziwnie poubierani jakby z innej epoki.

Był tam niedużego wzrostu pan z siwą brodą w poplamionym farbami ubraniu, rozmawiał z człowiekiem w długim czarnym surducie.

Po chwili zrozumiałem, że jest to Degas i Eugeniusz Delacroix, mówili o tym, że dobry obraz jest konsekwencją słusznego rozumowania, starałem się jak najdokładniej zrozumieć każde ich słowo, ale w tej chwili podszedł do nich młodzieniec o wygolonej twarzy z cylindrem w rękę, zdawało mi się, że poznaję w nim Baudelaira, zaczęli rozmawiać o czymś z ożywieniem, ale szpara przez którą patrzyłem stawała się coraz mniejsza, coraz trudniej było mi obserwować co się działo po drugiej stronie drzwi.

Właściwie głowa moja znajdowała się na poziomie podłogi w tamtym pokoju.

Słyszałem lekki skrzyp butów Poety, który przechodził koło mnie, czułem że jest blisko, ale gdzieś po nade mną.

Starałem się rozszerzyć szparę pod drzwiami, ale byłem bezsilny, jednocześnie obok mnie w windzie rozpoczęła się jakaś hałaśliwa rozmowa towarzyska, żądano, żebym wziął w niej udział, chodziło o to, ażeby jakoś skrócić czas podróży i zająć się „byłe czym”.

Chciałem odpowiedzieć, że wolałbym ten czas przedłużyć, ale zauważyłem, że głosy które słyszałem, wychodziły z megafonu ustawionego w kącie windy i mogły właściwie mnie nie dotyczyć.

Po chwili ruszyliśmy w dół tak samo nagle, jak zatrzymaliśmy się poprzednio.

Zacząłem chodzić po kwadratowej podłodze windy, była ona zrobiona z żółtych brudnych desek, nagle zauważyłem jakąś pomiętą gazetę leżącą pod moimi nogami, podniosłem ją i zacząłem przeglądać.

Było tam napisane, że Rzym został zdobyty, ale okazało się, że chodziło o zajęcie tego miasta przez wojska francuskie w roku 1870, zauważyłem również małe ogłoszenie obwiedzione czarną ząbkowaną linijką, które donosiło, że ten kto wymyśli najlepszy sposób na pozabawienie ludzi możliwości samodzielnego myślenia, dostanie nagrodę w postaci ołowianego przycisku na biurko, przycisk będzie miał formę trupiej główki.

Kiedy zastanawiałem się nad treścią tego ogłoszenia, uczułem gwałtowny wstrząs, winda zatrzymała się na dobre, byliśmy na dnie.

Zacząłem rozmyślać nad tym co robić dalej, kiedy poczułem, że ktoś uporczywie wpatruje się we mnie.

Odwróciłem się i spostrzegłem siedzące pod samym sufitem windy istoty podobne do fantastycznych ptaków z rysunków Goy.

Miały one pazury, którymi mocno trzymały się kariery życiowej, blade twarze i wzrok nienawistny.

Były to muzy, protektorki żądnych sławy.

Wydawały się bardzo niebezpieczne, chciałem za wszelką cenę wydostać się z windy, otworzyłem drzwi, wysunąłem się na korytarz i pobiegłem przed siebie.

Ale korytarz robił się coraz węższy, sufit obniżał się gwałtownie, po chwili musiałem posuwać się na czworakach a potem pełzać.

Miałem wrażenie że znajduję się na samym dnie przepaści piekielnych, zrobiło się szalenie gorąco i duszno.

Myśli moje odbijały się od ciemnych ścian i padały na dno podziemia gasnąc powoli.

Moja wyobraźnia stała się bezsilną i czołgała się za mną.

Nawet najbardziej przenikliwe rozumowania nie mogły przedostać się przez ściany korytarza w którym się znajdowałem. Zdawało mi się że jestem w sytuacji bez wyjścia, ale w tej chwili przypomniałem sobie słowa które powiedział kiedyś pewien filozof sumeryjski. Chodziło o to że w wypadku kiedy najbardziej skomplikowane i docieklive rozumowania nie są w stanie rozwiązać jakiegoś trudnego zagadnienia, trzeba próbować znaleźć rozwiązanie w sposób prosty, nawet naiwnie prosty.

Idąc za głosem instynktu, wyciągnąłem z kieszeni bilet, który wprowadził mnie w ten cały dziwny świat i rzuciłem go daleko poza siebie.

Skomplikowana sytuacja rozwiązała się sama, ręka moja natrafiła na jakąś klamkę, otworzyłem drzwi i wyszedłem na stację underground'u, taką samą jak wszystkie stacje londyńskie, wyłożoną białymi kafkami na których były porozlepiane wielkie kolorowe afisze.

Musiałoby być bardzo wcześnie, zegar umieszczony pod sufitem wskazywał godzinę siódmą, wkoło mnie stali ludzie w granatowych robotniczych bluzach. Obejrzałem się na drzwi którymi dostałem się na stację, były to zwykle żelazne drzwi pomalowane na ciemno zielony kolor, był na nich napis zrobiony białą farbą: „strictly private”.

MIECZYŚLAW PRUSZYŃSKI

SPRAWA POLSKA W AMERYCE

W maju białe bzy kwitną nie tylko w Pensylwanii. Z okien 29-go piętra na którym mieści się część biur nowojorskiego Picu (Polish Information Centre) z jednej strony rozciąga się feeryczny widok na strzeliste drapacze Manhattanu a z drugiej na tonący w wiosennej, bujnej zieleni Park Centralny, w którym kwitną teraz bzy, magnolie i rododendrony. Gdzieś w dali, z granatowej tafli Atlantyku wyzuża się złocista Statua Wolności, jakby wskazując drogę wielkim „Liberty Ships”, które właśnie wypływają z portu za oceany z ładunkiem dział i masła, czołgów i kondensowanego mleka. Daleko w dole, pod oknami, szumi Piąta Avenue, ta największa ulica świata, wobec której i Marszałkowska i Piccadilly wydają się skromnymi zaułkami. Co to za rozkosz, po pustyniach i ziemiankach Afryki i Azji przechadzać się tą wspaniałą Piątą Avenue, gdzie stroje kobiet i witryny sklepów są w piątym roku wojny na poziomie najlepszych czasów przedwojennego Paryża, po której sześć rzędów samochodów pędzi nieustannie. Przed pałacykiem pani Cornelius Vanderbilt, tymi „Baranami” Nowego Jorku, wygalonowani portierzy podbiegają do drzwiczek zatrzymujących się lśniących limuzyn. Co wieczór fala kilkudziesięciu tysięcy robotnic, marynarzy, żołnierzy przewala się gorejącym luną światła Broadway'em, fala ludzka żądna whisky, kina i reszty uciech doczesnych, po znojnym dniu pracy w fabryce, po miesiącach pływania po morzach. Z barwnych neonów mruga nazwisko Kiepuru, robiącego

dolary w „Wesołej wdówe”, teatr, w którym idzie doskonała komedia o polskim pułkowniku i polskim Żydzie, do spółki zwiewających z okupowanej Francji w roku 1940, wyprzedany jest na trzy miesiące. W restauracji milionerów, która pod skromną nazwą numeru domu (21) mieści się na 52 ulicy, businessmeni i fabrykanci, co przemieniają dziennie setki milionów rządowych dolarów na samoloty, czołgi, okręty, obiadują teraz spokojnie w świetle mrugających kandelabrow, przy dyskretnych dźwiękach muzyki budapeszteńskich cyganów w towarzystwie pięknych artystek z Hollywoodu. W piątym roku wojny światowej obywatele Stanów Zjednoczonych zarówno pracują jak bawią się w tempie właściwym Ameryce.

Jak w tej Ameryce w piątym roku wojny przedstawia się sprawa polska?

ZAINTERESOWANIE POLSKA

Ameryka wyleczyła się już na ogół z izolacjonizmu, na który chorowała do grudnia 1941 r. Zrozumiała, że w miarę postępów techniki ocean przestaje być gwarancją życia w szczęściu i bezpieczeństwie. Książka popularnego dziennikarza Waltera Lippmana o polityce zagranicznej Stanów zrosza się w setkach tysięcy egzemplarzy formułując tezę ogólnie dziś wyznawaną a mianowicie: 1) że Stany muszą się angażować w politykę światową; 2) że muszą w przyszłości ściśle współpracować z Wielką Brytanią; 3) że Stany nie mogą brać na siebie zbyt licznych, i zbyt geograficznie dalekich zobowiązań, gdyż im nie podolają. Niestety Lippman nie jest zdania, aby Polska wchodziła geograficznie w zakres właściwych zobowiązań Stanów. Tak popularne w Stanach statystyki dla sondowania opinii dowodzą, że t.zw. szary Amerykanin opowiada się nie tylko za bliską kooperacją z W. Brytanią, ale i z Rosją. Ustrój sowiecki wprawdzie nie jest na ogół popularny ale z drugiej strony należy pamiętać, że każde dziecko amerykańskie uczy się czytać na historii wojen z Anglikami. Ustrój Rosji carskiej był też nielubiany w Ameryce, co nie przeszkadzało, że w okresie ostatnich 150 lat Stany nigdy nie wojowały z Rosją, natomiast wielokrotnie z nią współpracowały, m.in. w 1863 roku gdy flota rosyjska zawinęła do portu nowojorskiego manifestując przeciw Brytyjczykom. Amerykanie wiedzą, że dzięki milionom Rosjan poległych w wojnie z Niemcami, teraz odpowiednio mniej Jankesów polegnie w inwazji kontynentu. Amerykanie wciąż jeszcze obawiają się wojny z Japonją i stale liczą na Rosję jako sprzymierzeńca i w tej wojnie, gdy pokonane będą Niemcy. Stąd program kooperacji „wielkiej czwórki” jest tak popularny w Ameryce. Nawet w konserwatywnej liberalnej purytańskiej Kanadzie największy dziennik („Toronto Daily Star”) jest tak przesadnie prorosyjski, że redaktorzy prywatnie się zwierniają: „Sami żalujemy, że pismo nasze więcej pisze o Rosji aniżeli o Kanadzie”. Wydawcom i czytelnikom takie stanowisko jednak widocznie odpowiada.

O ile Ameryka nie chce się zobowiązywać wobec Polski — to jednak interesuje się Polską. Jest to niewątpliwy postęp: w roku 1914 mało kto o nas wiedział. Dziś nie można otworzyć „New York Times’a” aby nie przeczytać co najmniej kilku notatek w sprawach polskich. Sprawa polska nie przedstawia się tak beznadziejnie, nie jest tak zatłamszona jak się to stało z niepodległością, krajów bałtyckich. Naród polski ma za sobą dwadzieścia lat niepodległości, legalny rząd emigracyjny, armię, przymierze z W. Brytanią, sławnych lotników, sukcesy we Włoszech. Około 20 milionów Amerykanów pochodzenia ukraińskiego, czeskiego, serbskiego, słowackiego, węgierskiego, bałtyckiego, żydowskiego interesuje się losami Polski jako narodu sąsiedzkiego. Podobnie kilkanaście milionów katolików pochodzenia irlandzkiego, francuskiego, włoskiego interesuje się losami polski jako katolickiego narodu. Intrygami w łonie aliantów, wizytami księdza Orlemańskiego na Kremlu, interesują się wszyscy. Ta

aktualnością sprawy polskiej należy m.in. tłumaczyć powodzenie amerykańskiego tłumaczenia powieści pani Kossak-Szczuckiej. Amerykanie interesują się Polską tym więcej, że dowiadują się od niej z różnych źródeł, dających wręcz sprzeczne informacje. Raz dowiadują się, że Niemcy i Rosjanie od stuleci prześladują Polaków, drugi raz słyszą, że to Polacy obchodzić się zwykli okrutnie ze swymi mniejszościami. Raz dowiadują się, że Polacy pierwsi rozpoczęli walkę z hitlerowskim barbarzyństwem i są sumieniem świata, drugi raz mówi się o nich że mają rząd faszystowski. Raz Sikorski jest podejmowany uroczystej od Edena na Kremlu, potem Stalin oskarża rząd tegoż Sikorskiego o współpracę z Niemcami. Churchill jest przyjacielem Polaków, aż tu w Izbie Gmin wypowiada się za pozbawieniem Polski połowy jej terytoriów. Czytelnik amerykański lubi rekordy, sensacje, skandale. Polski żołnierz dostarcza mu rekordów bohaterstwa, stosunki polsko-alianckie a zwłaszcza polsko-rosyjskie wciąż przynoszą jakąś sensację, tchną skandalem. Obecnie najbardziej interesuje Amerykańców w sprawach polskich zagadnienie: „Czy rząd londyński naprawdę reprezentuje naród polski?”

Istotnie setki ludzi, od zawodowych polityków i dziennikarzy zaczynając a na jakichś nieznanach marynarzach i sierżantach kończąc, zadawało mi pytanie: „Kogo pan uważa za przedstawiciela narodu polskiego: rząd londyński czy komitet moskiewski?” Po czym indagowało: „Czy rząd polski w Londynie po pięciu latach emigracji nie jest oderwany od kraju?” Oraz: „Czy rząd ten nie jest zbyt reakcyjnym, faszystowskim, złożonym z obszarników?”

POLONIA W POLITYCE STANÓW

Pamiętam jak swego czasu egzotyczne wrażenie zrobił na mnie w zakątku Azji spotkany narodzik z żydowska po polsku mówiący nad biblijnym jeziorem Genezaret, wśród gór Judei, w białokamiennej Jerozolimie. Podobnie nieprawdopodobnym wydaje się zdarzenie, że kilkumilionowy narodzik polski osiadł w Ameryce, do Pensylwanii, Massachusetts, Bostonu i Michiganu przeniósł znad Pilicy i Dniestru swe laury i penaty. I dziś co niedziela w setkach kościołów amerykańskich księża grzmią do swych parafian w nadwiślańskim języku, chłopacy w mundurach armii Wują Sama wytańcowują na dancinгах krakowiaki i oberki, nowoczesne, wystrójone w futrach i samochodach Amerykanki odzywają się niespodziewanie gwarą kujawskich Kaś i Maryś. Dzienniki w języku polskim w Detroit, Chicago, Buffalo rozchodzą się dziś w nakładach większych, aniżeli dzienniki w.r. 1939 w Lwowie, Poznaniu i Wilnie. Amerykańscy ideolodzy martwią się od lat tymi państewkami jakie w Stanach tworzą poszczególne grupy narodowościowe Włochów, Irlandczyków, Niemców, Żydów, które nieustannie do polityki zagranicznej Stanów wnoszą uczucia, namiętności, interesiki i kłótnie swych „starych krajów”. Polskie państewko w Stanach zalicza się do największych. Liczy około 6 milionów głów, w tym 2.000 księży, 500 dziennikarzy, 15.000 polityków lokalnych, stanowych i federalnych, 4 tysiące adwokatów, 5.000 lekarzy, 9.000 zakonnic kształcących w szkołach parafialnych w języku polskim 200.000 dzieci. Łoże masonskie imienia Kościuszki i Pułaskiego jednoczą w związku masonerii Stanów elitę amerykanizującej się Polonii. Przeciennie 15 kongresmenów reprezentuje Polonię w Kongresie Stanów.

Przez długie dziesiątki lat emigranci polscy mieli kompleks dzieci niesłubnych: nie mieli własnej ojczyzny, w statystykach figurowali przecież jako Niemcy, Rosjanie, Austriacy, potem, po 1918 roku, nieraz w Ameryce źle mówiono o odrodzonej Polsce, że militarystyczna, że niedemokratyczna, że biedna. Nagle w roku 1939 sama Wielka Brytania zaproponowała Polsce przymierze, Polska pierwsza wystąpiła do walki z hitlerowskimi Niemcami, cała Ameryka sławiła męstwo oblężonej Warszawy i jej bo-

haterskiego prezydenta, lotnicy polscy z battle of Britain i młocza całej jankesowskiej młodzi, Roosevelt ogłaszał naród polski sumieniem narodów. Amerykanie polskiego pochodzenia poczuli się wreszcie z niego dumni. Odżyło przywiązanie do „starego kraju”, mordowanego tysiącami, zsyłanego setkami tysięcy do Niemiec i za Ural. Odżyła niechęć do zaborców. Polonia amerykańska poparła Roosevelta gdy ten wciągał Stany do wojny z Niemcami, ale do celów tej wojny wstawiła swój cel dodatkowy: odbudowanie Polski.

O prześladowaniach Polaków pod zaborem rosyjskim w latach 1939-1941 dowiedziała się Polonia amerykańska, toteż projekty teherańskie oddania Polski pod okupację wojsk sowieckich, wywołało oczywiście silne niezadowolenie Polonii. Stany stoją w przededniu wyborów prezydenckich. Republikanie przygotowują — mimo toczącej się za oceanami wojny — walną bitwę o władzę w kraju. Sześciomilionowy narodził polski odgrywa rolę jęczyczka u wagi przy wyborach w kilkunastu najważniejszych politycznie stanach jak New York, New Jersey, Pensylwania, Michigan, Illinois. Republikanie postanowili wykorzystać Teheran, dla wygrania przeciw Rooseveltowskiej administracji karty polskiej. Devey ma swych przyjaciół w Polonii z p. Węgrzynkiem i Januszewskim, wydawcami dzienników polskich w Nowym Jorku i Detroit na czele. Wynikiem tych dwu czynników: patriotyzmu Polonii oraz akcji republikanów — był organizowany od stycznia b.r. wielki zjazd delegatów Polonii w Buffalo, który odbył się z końcem maja i stał się z jednej strony wielką manifestacją pro-polską, z drugiej zaś dał wyraz niezadowoleniu z polityki zagranicznej administracji rooseveltowskiej, jako w ostatnich czasach zbyt realistycznej, zapominającej o szlachetnych hasłach Karty Atlantyckiej.

W ciągu miesiąca poprzedzającego Kongres w Buffalo nastąpiła reakcja administracji rooseveltowskiej oraz prorządowej prasy na te „antyrządowe” poczynania Polonii. Część prasy prorządowej z wielkim dziennikiem „P.M.” na czele oskarżyły rząd polski w Londynie, że inspirując akcję Polonii miesza się w stosunki wewnętrzne Stanów Zjednoczonych. „P.M.” zamieściło sążnisty reportaż, w którym obliczało że pięćset tysięcy dolarów przeznacza rocznie rząd polski na propagandę w Stanach, zgrabnie posługując się czterema kanałami trafiającymi do różnych środowisk, a mianowicie: 1) oficjalnego Picu, 2) Akcji Katolickiej, 3) organizacji socjalistycznej, 4) Komitetu Amerykanów Pochodzenia Polskiego. W świetle tych enuncjacji profesor Kot zdawał się być szarą eminencją polityki Stanów a p. Matuszewski inspiratorem republikanów. Pismo twierdziło, że premier Sikorski uzyskał od prezydenta Roosevelta pożyczkę w gotówce na underground w Polsce, pieniądze te jednak pozostały wydane w Stanach. Pismo donosiło, że władze federalne wykorzystaly ustawę wydaną swego czasu przeciw agentom osi, a zakazującą obywatelom Stanów pobierania pieniędzy od obcych rządów bez wiedzy Departamentu Stanu i przeprowadziły lustrację rachunków Picu. Pismo dowodziło że Pic finansował wydawnictwa propolskie Komitetu Amerykanów Pochodzenia Polskiego. Konflikt administracji rooseveltowskiej z Polonią i rządem polskim w Londynie nabrzmiewał w miarę zbliżania się terminu zjazdu w Buffalo. Prasa amerykańska przyniosła któregoś dnia zręczną odpowiedź, którą dał w Londynie p. Mikołajczyk interviewującemu go dziennikarzowi amerykańskiemu: „Rząd polski nie miesza się do stosunków wewnętrznych Stanów niemniej dumny jest, że obywatele amerykańscy pochodzenia polskiego pamiętają o ojczyźnie swych ojców”. Jednym słowem zza biurka w Londynie stał premier polski błogosławieństwa Kongresowi w Buffalo. Z drugiej strony ambasada polska w Waszyngtonie wydała drastyczne zarządzenia aby uniknąć nawet pozorów udziału oficjalnych czynników polskich w zjeździe. Ponieważ lotnicy polscy stacjonowani w Kanadzie zwykli week-endy spędzać w Buffalo, przeto już od połowy

maja władze nasze wstrzymały ich wyjazdy na terytorium Stanów, na czym może i zyskała wielka polityka, ale na pewno ucierpiały randki.

Kongres w Buffalo się odbył, stając się wielką manifestacją za uszlachetnieniem polityki zagranicznej Stanów, jej nawrotem do szlachetnych hasel z lat 1917, 1940 i 1941, i odbudowaniem państwa polskiego. Tydzień potem p. Mikołajczyk otrzymał nagle zaproszenie do Białego Domu, które przez poprzednie pół roku jakoś nie dochodziło do skutku. Administracja rooseveltovska zdecydowała się uniknąć konfliktu z Polonią amerykańską. Premier Mikołajczyk opuszczał Biały Dom pod wrażeniem serdeczności Prezydenta, pod urokiem obietnic, i jak to się zwykle zdarza alianckim premierom, bez konkretnych zobowiązań rządu Stanów. Premier Mikołajczyk nie odwiedził na wpol polskich miast amerykańskich, nie był uroczystie witany w „Buffli”, ani w Detroit, nie dojechał do Chicago — wyraźnie unikał mieszania się do spraw wewnętrznych Stanów. Natomiast na życzenie Departamentu Stanu konferował z profesorem Langem. Za to ustał nacisk administracji i ataki prasy rooseveltovskiej na placówki polskie. Po przykrościach ostatnich miesięcy Ambasada i Pic odetchnęły.

Jak z naszego punktu widzenia należy ocenić wyżej przedstawione wypadki? Nie podzielam zdania tych prorpublikańskich Amerykanów pochodzenia polskiego, którzy dowodzą, że Prezydent Roosevelt liczy się tylko i wyłącznie z milionami głosów polskich i tylko pod groźbą utraty tych głosów będzie skłonny podjąć się konkretnej obrony interesów narodu polskiego w Europie. Mam wrażenie że jest on zarówno szlachetnym, jak zręcznym i realnym politykiem. Narodowi polskiemu życzy jak najlepiej, ale w obecnej sytuacji może i nie wiele może mu pomóc. Zarówno interes jak wola narodu amerykańskiego każe mu współpracować z Rosją. Obawiać się należy, że Devey, jako nowy prezydent, miałby szabszą pozycję wewnętrzną i międzynarodową aniżeli ma ją Roosevelt po dwunastu latach rządów. O ile idzie o stosunek do Rosji, to sędzić można że słabszym wobec niej byłby Devey, jako opierający się raczej na kapitalistach, pracodawcach i milionerach, aniżeli Roosevelt, opierający się na lewicy i robotnikach. Fala antyrooseveltovskich nastrojów, która przeszła przez Polonię po konferencji Teherańskiej, a której wyrazem był zjazd w Buffalo, dac może w wyniku przesunięcie ze 20 czy 30 procent głosów polskich z kandydata demokratów na kandydata republikanów. (O wysokości tych przesunąć zadecydują jeszcze enuncjacje obu kandydatów w sprawie polskiej; zaproszenie p. Mikołajczyka do Białego Domu może zachęci p. Deveya do jakiegoś oświadczenia propolskiego.) Poniważ większość Amerykanów pochodzenia polskiego należy do proletariatu który dotychczas popierał demokratów i New Deal, przeto sędzić można, że większość głosów polskich padnie jednak zgodnie z tradycją na kandydata demokratów. Utrata zaś pewnego odsetka głosów polskich stauować będzie dla obecnej administracji przestrogę o której pamiętać będzie na przyszłych konferencjach międzynarodowych.

WPLYWY ROSJI I KOMUNISTÓW

Aparat propagandowy Sowietów na terenie Ameryki Północnej dysponuje kilkunastoma tysiącami oficjalnych agentów, milionami dolarów, Stalingradem i kawierem i tym tysiącem drobnych ułatwień jakie daje swym agentom wielkie mocarstwo na terenie swego sprzymierzeńca. Jednym z głównych atutów w ręku propagandy rosyjskiej są na terenie Stanów ideowi komuniści czy pół-komuniści, którzy od lat są urzędnikami „New Dealu”, popierają etatyzm, garną się do radia i prasy, zajmują specjalnie licznie posady w „Office of War Information”, tym amerykańskim ministerstwie propagandy. Oczywiście b. członkowie rozwiązanej niedawno partii komunistycznej również propagują postulaty rosyjskie, w sprawie polskiej.

W miesiącach ostatnich akcja propagandowa tego olbrzymiego aparatu prorosyjskiego polegała na wtłaczaniu Amerykanom do głowy dwu tez: że rząd londyński jest od 5 lat oderwany od kraju i nie reprezentuje narodu polskiego; że jest on kontynuacją półfaszystowskiego régime'u „pułkowników”.

LEWICA, MASONI, WIELKI BUSINESS, ŻYDZI

Polonia oraz katolicy w Stanach to są czynniki które w sporze polsko-sowieckim opowiadają się bezwzględnie po stronie polskiej. Ideowi komuniści i zdecydowani sympatycy Rosji opowiadają się po stronie rosyjskiej. Polonia oraz pozostali katolicy w Stanach liczą około 22 milionów głów. Obóz zdecydowanie prorosyjski i prokomunistyczny obliczyć można z gruba na 10 milionów głów, ponieważ jednak korzysta on z pomocy materialnej i organizacyjnej rządu rosyjskiego, po wtóre ponieważ należy doń wielu wpływowych urzędników, przeto można na ogół powiedzieć, że siły bezwzględnie propolskie i bezwzględnie prorosyjskie na terenie Stanów na ogół się równoważą. Podobnie równoważą się sentymenty propolskie i prorosyjskie wśród szerokich warstw ludności Stanów. Za kim więc opowie się ostatecznie opinia a zatem i rząd Stanów w sporze polsko-rosyjskim?

Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że o przechyleniu szali zadecydują pozostałe czynniki, a mianowicie: 1) masoni, 2) lewica polityczna, 3) wielki business, 4) Amerykanie pochodzenia żydowskiego.

W Waszyngtonie najwspanialsze budynki po Kapitolu i Białym Domu — to loże masonskie. Nic dziwnego — od 150 lat elita inteligencji amerykańskiej zwykła grupować się w lożach. Przy wyborach prezydenckich związek loż zgłasza zwykle desinteressement: tradycyjnie obaj kontrkandydaci bywają masonami. Tak było przy wyborach Roosevelt-Willkie, tak będzie przy wyborach najbliższych. Amerykańska ideologia masonska, jako program polityczny wysuwa jawnie: rządy z wyboru obywateli, humanitaryzm, szanowanie praw człowieka, wolność krytyki rządzących przez rządzonych, legalizm. Realizując ten program, rządzący w ostatnich stu latach tak Kanadą jak Stanami, masoni, twierdzą że zapewnili tym krajom rozwój, szczęście, dobrobyt. Masoni nienawidzą: tyranów, dyktatur, rewolucji, zamachów stanu, rządów wojskowych, prześladowań opozycji politycznej, mniejszości religijnych i narodowych, obozów koncentracyjnych. Dlatego masoneria amerykańska zwalczała régime hitlerowski i sowiecki.

Dziś obok Kościoła katolickiego masoneria jest najpoważniejszą siłą ideową, która na terenie Ameryki gra przeciwko Rosji sowieckiej. W konflikcie polsko-rosyjskim masoneria opowiada się i opowie za Polską, nie za Rosją, ale pod warunkiem, że Polska zerwie kategorycznie z przeszłością: z systemem rządów wojskowych, Brześćcia, Berezy, zamachów stanu. Za Polskę taką, jaka istniała przed 1939 r. masoni nie zamierzają bynajmniej kruszyć kopii.

Tak w Stanach jak i w Kanadzie ludzie reprezentujący idee lewicowe dochodzą coraz częściej do władzy. New Deal jest tego wymownym dowodem. W konserwatywnej, purytańskiej Kanadzie, skrajnie socjalistyczna partia doszła już do władzy w jednej z prowincji, zabiega o rządy w Dominium. Wśród lewicy amerykańskiej sympatie dla komunizmu są oczywiście silne. Polska przedwrześniowa natomiast uważana była ogólnie za reakcyjną i zacofaną. Lewica amerykańska tylko w jednym wypadku może wystąpić w obronie Polski przed Rosją: jeśli będzie prawdziwie przekonana, że rząd polski jest postępowy, demokratyczny, lewicowy.

Wielki kapitał amerykański, sądzić można, winien mieć sympatie do kapitalistycznej Polski, a antypatię do komunistycznej Rosji. W rzeczywistości sprawa jest bardziej skomplikowana. Wielki business amerykański ulega urokowi „wielkich obszarów gospodarczych”. Ponieważ

obecnie stoi przed nim widmo demobilizacyjnego bezrobocia, przeto w odbudowywaniu zniszczonej Rosji na koszt „Lease and Lendu” widzi najpewniejszą drogę utrzymania koniunktury i zatrudnienia w Stanach. Stąd ma sympatie prorosyjskie.

Kapitalistyczna Polska nie interesuje go w takim stopniu. Ponadto pamięta, że rządy przedmajowe zwalczały nieraz nielojalnie kapitał zagraniczny, pamięta, że wicepremier Kwiatkowski jednostronną decyzją przestał spłacać pożyczki amerykańskie, podczas gdy nawet Schacht uzgadniał z bankierami nowojorskimi przesuwanie terminów płatności. Do zawodowych biurokratów, którzy reprezentują zwykle Polskę na międzynarodowych konferencjach gospodarczych nie ma sympatii: własnych gryziępiórków z New Dealu nienawidzi. Najchętniej widziałby rząd polski reprezentowany przez solidnych, poważnych businessmenów.

Amerykańscy Żydzi odgrywają poważną rolę w życiu politycznym Stanów ze względu na to, że są wydawcami, redaktorami, współpracownikami dużej części prasy. Interesują się żywo zarówno Rosją jak Polską, w których mieszka tylu ich rodaków. Swój stosunek zarówno do Polski jak do Rosji układają zależnie od stosunku rządów tych krajów do ich rodaków. Żydzi amerykańscy będą zwalczać Rosję w której będą pogromy Żydów. Będą zwalczać Polskę w której będą Przytyki. Procesy londyńskie o antysemityzm w armii emigracyjnej przyćmiły niestety swym echem w prasie amerykańskiej, heroizm korpusu polskiego pod Cassinem.

BITWA O AMERYKAŃSKĄ OPINIĘ

Od roku na terenie Stanów toczy się bitwa o to, kto sobie pozyska tę decydującą część opinii Ameryki. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że Rosja znacznie rozsądniej od nas bitwę tę prowadzi. Rosja zmieniła konstytucję w kierunku samodzielnienia związkowych republik, co się Ameryce bardzo podobało, w prasie kanadyjskiej stawiano ewolucję sowiecką za wzór Brytyjskiemu Imperium. Rosja ogłosiła wolność religijną, uzyskała na to świadectwo samego arcybiskupa Jorku. Rosja rozwiązała Komintern. Stalin zapowiedział odbudowę demokratycznej Polski, której wszyscy w Ameryce pragną. Stalin nie szczędził wysiłku dla uspokojenia Polonii zaniepokojonej sprawą Polski: godziny swego cennego czasu, który na minuty odważa ambasadorom wielkich mocarstw, poświęcił na rozhowy z księdzem Orlemańskim i profesorem Lange, pokazał im armię polską z kapelanami, sztandarami z Matką Boską. Jednym słowem Kreml nie szczędził wysiłków, aby dla swych planów pokojowego cpanowania Polski, uzyskać zgodę tych niezdecydowanych a decydujących czynników opinii amerykańskiej, aby im pokazać, że Polsce będzie wcale dobrze pod hegemonią rosyjską.

Niestety ze strony polskiej brakło odpowiednich kontrposunięć. Przeciwnie — największym echem w prasie amerykańskiej, o ile idzie o sprawy polskie, odbiły się procesy londyńskie o antysemityzm w armii polskiej, które zarówno wśród lewicy, jak masonów i Żydów zwiększyły zastrzeżenia w stosunku do polskiego régime'u londyńskiego, były niestety antypropagandą. Zdawały się potwierdzać bowiem tezę Kremlu, że polski régime emigracyjny jest reakcyjny i faszystowski.

Mam wrażenie, że dwa posunięcia taktyczne wydawały się niezbędne jeśli pragnęliśmy odbudować w oczach Ameryki, tak zachwiany ostatnio autorytet régime'u londyńskiego.

Po pierwsze — wycofanie się z życia politycznego emigracji tych paru ludzi, którzy w oczach opinii amerykańskiej uchodzili za podpory rządów „pułkownikowskich”, antysemitów i wrogów Rosji. Skoro bowiem toczymy wojnę z Niemcami, a nie chcemy poddać się hegemonii rosyjskiej, jeśli przyszłość narodu polskiego ufnie składamy w ręce Anglosasów, uważam, że było zaprzeczeniem logice popierać tych ludzi, do których większość decydującej opinii anglosaskiej żywi niechęć.

Drugim niezbędnym posunięciem była rekonstrukcja naszego rządu w kierunku wprowadzenia doń nowych ludzi z Kraju. Byłaby to najbardziej efektowna i efektywna odpowiedź na tezę rosyjskiej propagandy, że rząd londyński nie reprezentuje Kraju. Sprowadzenie z Polski nowych członków rządu polskiego nosiłoby w sobie charakter sensacji, który nadalby temu posunięciu odpowiedni oddźwięk w Ameryce.

Polityka polska była na terenie anglosaskim zbyt pasywna. Albo nie mogliśmy zdobyć się na uzgodnienie decyzji, albo uważaliśmy że czas pracuje dla nas. Niestety tak nie było.

JULIAN STAWIŃSKI

RADIOFONIA JAKO NARZĘDZIE PROPAGANDY

„Credo, quia absurdum est.“

„Byś serce moje rozkroił nie najdziesz w niem nic jeno to słowo: zginie-
my!” — wołał jeden z pierwszych propagandystów polskich ks. Piotr Skarga.

„Zginie!” — wykrzykuje w przyplwywie patriotycznej rozpaczyc szef propagandy niemieckiej i nie szczędzi wskazań i rad jak tego uniknąć.

Radiostacja niemiecka nazywa się „Warszawianka”: uważa Kresy Wschodnie za „sól ziemi polskiej” i ręce łamie nad losem ludności kresowej. Stacja rosyjska nosi imię Tadeusza Kościuszki i walczy niezmordowanie o powrót do Polski całego Śląska i Pojezierza Mazurskiego. Hitlerowska rozgłośnia „Workers Challenge” nie zna trosk innych niż los robotnika angielskiego w jarzmie brytyjskiego kapitału. Zza oceanu płynie donośny „Głos Ameryki” klnąc się jak w rocie przysięgi sądowej, że mówi prawdę, całą prawdę i tylko prawdę...

Nie można, oczywiście, stawiać na jednej płaszczyźnie pobudek, intencji i celów tych stacji, jak tym bardziej nie można na jednym stawiać poziomie Goebbelsa i ks. Skargę. Chodzi tylko o wskazanie paru pierwszych z brzegu przykładów pozornych, paradoksów sprzeczności i chaosu panujących w eterze. Podkreślić trzeba — pozornych. W rzeczywistości istnieje prawie zawsze i jasno wytknięty cel i plan konsekwentny i ład. A co najważniejsze — olbrzymie, nie dające się nawet ogarnąć następstwa.

Termin „propagandysta” w odniesieniu do ks. Skargi może wydać się w pierwszej chwili równie nie na miejscu, jak zegary w Rzymie cezariańskim u Szekspira. Ale pamiętać trzeba, że jedna z największych instytucji Kościoła Katolickiego nosi nazwę *de propaganda fide* a założona została przez papieża Grzegorza XV w r. 1622. Wielcy tego świata zawsze doceniali znaczenie propagandy. Dziś przybył jej oręż tak potężny, jak nigdy: radiofonia.

Techniczny rozwój radiofonii i techniczne jej zastosowanie to wyłączna domena fachowców od skromnych techników, czy telegrafistów począwszy aż do wielkich uczonych i wynalazców. W wojnie i pokoju usługi oddane ludzkości na polu telekomunikacji, telewizji, radiolokacji i t.d., zależą od rozpowszechnienia i udoskonalenia urządzeń sprzętu obsługi. Panuje tu ład i harmonia właściwe każdej dyscyplinie nauk ścisłych. Wiadome z góry przyczyny dają z góry przewidziane skutki. Ta sama jednak gałąź wiedzy i te same instalacje są równocześnie potężnym środkiem oddziaływania na psychikę ludzką, oddziaływania którego doniosłości nie wolno niedoceniać. Może bowiem przyczynić się do jej przekształcania w stopniu nierównie wyższym, niż wszelkie inne znane dotąd sposoby. A środek ten jest przedmiotem często zupełnie dzikiej, prawie zawsze rabunkowej gospodarki i stoi ugiorem pod względem badań poważnych, bezstronnych,

naukowych. Nawet w krajach gdzie program radiowy włączono organicznie w całokształt planu politycznego i temuż podporządkowano, nawet tam nie wyszło się poza opłotki praktycznego rzemiosła.

Z czterech wielkich radiofonii świata—brytyjskiej, amerykańskiej, sowieckiej i niemieckiej—najstarszą jest niewątpliwie sowiecka, jeżeli nie w sensie chronologicznym powstania, to w znaczeniu użycia jej dla kształtowania pojęć, uczuć i pragnień szerokich mas. W Rosji i Niemczech radio jest upaństwowione, w W. Brytanii ma jednolite kierownictwo i kontrolę państwa, w Ameryce podczas wojny rozgłośnie prywatne poddano pewnym wspólnym dyrektywom a prócz tego rząd zorganizował stacje własne, których sieć coraz bardziej wzrasta. Ten stan rzeczy odbija się i wypukła we wszystkich charakterystycznych cechach poszczególnych radiofonii.

Audycje rosyjskie cechują patos, sarkazm i ciężki szablon urzędowy. Czynniki te jednak nie stapiają się ze sobą ani nie oddziałują wzajemnie na siebie, lecz jakby współlistnieją. Ta sama stacja nadaje artykuł napisany z wielkim talentem, brzmi niefałszowanym, artystycznie przejmującym patosem, lub satyrą a zaraz potem długo wylicza wyniki hodowli jedwabnika w zapadłym kąciku Tadżikistanu lub opisuje sucho a szczegółowo walki jakiegoś patrolu na drugorzędnym odcinku frontu. W ten sposób traktowany jest nie tylko mieszkaniec Moskwy, czy Kijowa ale i słuchacz audycji po angielsku dla Ameryki, po francusku dla Francji, portugalsku dla Brazylii. Radiofonia niemiecka jest bardziej prymitywna. Rzec można—jeszcze bardziej. Komunikaty urzędowe są wprawdzie krótkie, za to reszta programu niezmiennie opiera się na tych samych motywach: Führer, Żydzi, plutokracja, niebывале wartości żołnierza. Z małymi wariantami to samo mówi się Niemcom co i zagranicą. Radiofonia brytyjska hołduje zasadzie samostanowienia. W programie wewnętrznym podporządkowuje się niezbyt wybrednemu smakowi publiczności, badanemu przy pomocy różnych ankiet i testów. W programie zagranicznym trzyma się opinii przypadkowych nieraz „znawców” przedmiotu, wychodząc z założenia, że refuges najlepiej wiedzą jak do swego kraju przemawiać. Propaganda wieloplanowa, lecz mało planowana. Najbardziej niejednolity obraz przedstawia radiofonia amerykańska. Z audycjami na najwyższym poziomie przeplatają się tania sensacja i bezgraniczna nuda, obok najsprawniejszego w świecie serwisu informacyjnego, wiadomości przestarzałe i sprzeczne ze sobą.

W tych warunkach zdawałoby się, że radio nie powinno wcale mieć wpływu na opinię publiczną. Tymczasem jest odwrotnie. Stan taki koliduje z logiką, ale nie z psychologią. Zwłaszcza z psychologią tłumów. A jednym z osiągnięć dzisiejszej radiofonii jest stworzenie sztucznego tłumy. Jest faktem stwierdzonym, że słuchacz audycji radiowej choćby by sam, zachowuje się, jak część licznej zbiorowości, jak cząstka tłumy: stanie na baczność słysząc hymn państwowy; będzie płakać śmiać się, lub śpiewać, gotów niemal krzyżeć; pchać się lub wygrażać. Radio bowiem dzisiejsze nie pobudza myślenia—zabija je i prowokuje odruchy. Wbijają w głowy slogany operując natręctwem pseudomyśli i pseudowywodu. W rezultacie najgłupsze kłamstwo powtórzone sto razy znajduje większy posłuch, niż oczywista prawda powiedziana raz.

Podcinanie gałęzi na której się siedzi dla zerwania dojrzewających na niej owoców, nie jest metodą zbyt mądrą. Dla zdobycia owoców są zresztą sposoby prostsze. A jednak jesienią 1931 płk. Lindbergh doradzał aneksję Kanady przez Stany, a później towarzysz jego enator Lundeen z Minnesota—zajęcie brytyjskich i francuskich Indyj Zachodnich, ręcząc, że „nie padnie ani jeden strzał”. W podręcznikach rodzaj ludzki nazywany jest „Homo sapiens”. W rzeczywistości rodzaj ludzki mało na ogół rozmyśla, mało zużywa energii cerebralnej na cele inne, niż bieżące, codzienne sprawy życiowe, niż walka o byt w najwęższym tego pojęcia znaczeniu,

Nie bez powodu mianem myśliciela określa się oderwanego od zgiełku życia filozofa, tak jakby polityk, sędzia, czy nauczyciel nie powinien być równocześnie *myślicielem* — człowiekiem, co myśli. I nie bez powodu właśnie w polityce, sądownictwie i pedagogice natykamy się co krok na przejawy niebываłej i niepojętej wprost bezmyślności. Skoro myśleć nie chcą ci, których powinno to być głównym zadaniem, ci co kształtują społeczeństwa i nimi rządzą, nie dziwnym się, że myślenia unika także szary człowiek, że chętnie przyjmuje jako pewnik przypuszczenie, iż myślą zań inni, skwapliwie polyka opatentowany preparat gazety, czy radia, mętną lurę bierze za kastalskie źródło mądrości i spokojnie pozwala na znieuczulający zastrzyk najgłupszego, jaki da się wymyśleć, sloganu. Odurzony i w prostracji szary człowiek dzisiejszy idzie jak w hypnozie za głosem najdonośniejszym, megafon staje się dlań najwyższym autorytetem.

Jakże trudno było przed wynalazkiem Gutenberga wpływać na opinię publiczną, jak zawiła była technika przenikania do cudzej duszy! Autorytet osobisty, słowo mówione, lecz nie powielone — to były jedyne narzędzia. W naszych dopiero czasach 22 miliony wyborców — niemal połowa obywateli największej demokracji świata — głosowały przeciw szermierzowi reform i powszechności dobrobytu. A stosunek głosów w tym roku zapowiada się jeszcze gorzej, jak gdyby szary człowiek nie chciał widzieć u władzy głosicieli „wieku szarego człowieka”. Dawne pokolenia nieraz widziały generałów rządzących państwami, czy schizofreników w mitrach i koronach. Ale dopiero nasze pokolenie jest świadkiem niesamowitego widowiska, gdy całe wielkie odłamy społeczeństwa idą ślepo za takimi iście kaliguliańskimi nominatami. Republikanie głosili „pokój Ameryce, zwycięstwo Anglii” i tłum szedł za nimi choć jasne było, że są to incompatibilia. Nikt nie śmiał powiedzieć prawdy z obawy, że okrzyczą go agentem brytyjskim i podżegaczem wojennym, że w ten sposób straci wszelki wpływ na społeczeństwo. Beck wołał „Polska od Bałtyku odepchnąć się nie da!”, zaś Śmigły — „stopa żołnierza rosyjskiego nie stanie na ziemi polskiej!” i tłum szedł za nimi, choć jasne było, że to są incompatibilia. Nikt nie śmiał powiedzieć prawdy z obawy, że okrzyczą go agentem sowieckim i zdrajcą narodu, że w ten sposób straci wszelki wpływ na społeczeństwo. Pamiętamy slogany mocarstwowe, „wodzu prowadź!” i szczerbce. Czy daleko odbieglśmy od tego?

Faust propagandy dzisiejszej ma życie ułatwione dzięki radiofonii. Gazetę się czyta, czytanie wymaga skupienia, nad gazetą można się zastanowić. Radia się słucha i to rzadko uważnie, za to słyszy się je bezustannie. Byle często powtarzać — każda teza, każdy pogląd wrazi się w końcu w umysł nieodporny. Nieodporny bo bezkrytyczny. A takim czyni go świadomie, lub bezmyślnie współczesne wychowanie. W państwach totalnych — świadomie, w innych — bezmyślnie. A na wychowanie radio ma wpływ ogromny. Tu krąg się zamyka, dla jednych — krąg logiczny, dla innych — circulus viciosus.

Propaganda jest narzędziem polityki. Zależnie od potrzeb tej ostatniej, stara się kształtować społeczeństwo własne i urabiać opinię za granicą. Śledząc kierunki rozwojowe propagandy różnych państw, można rozszyfrować cele ich polityki i z kolei wspierać je, lub zwalczać przy pomocy własnej propagandy. Ileż wymowy ma fakt, że propaganda niemiecka tak lubiąca się w historiozofii (pomińmy jej poziom), tak często grzebiąca się w przeszłości dla wysnuwania z niej różnych wniosków i analogij, tak wreszcie napastliwa i chętnie operująca argumentem ad hominem nie atakuje wcale ani jednego emigranta niemieckiego, ani jednego przedstawiciela tych Niemiec, na których zekomym trupie zbudował swe państwo zwycięski hitleryzm. W Pradze i Bratysławie, w Brukseli i Oslo każe się przy wszelkiej sposobności i na wszelkie sposoby dyskredytować rządy i działaczy na uchodźctwie. O niemieckich wygnańcach Berlin milczy. Czy nie nasuwa się mimo woli wniosek, że urna z popiołami Rzeszy Weimarskiej zawierała

tylko zbutwiałe szczątki niepotrzebnego już maskaradowego przebrania, że motyw socjal — „demokratyczny” był jedynie ozdobą rusztowania za którym wnoszono tym spokojniej „spizowy” gmach socjal-narodowy? Zapomniano co prawda, że i na spiz są sposoby, ale poza tym sztuka się udała. Przecież po dziś dzień „in this country and overseas” są ludzie poważni, wciąż jeszcze wierzący w mit socjalizmu niemieckiego, a utwierdzeni skwapliwie w tej wierze przez niemieckich akcjonariuszy I.G. Farben, A. E. G., Schicht i wiele innych koncernów niemieckich.

Wnioski takie się nasuwają lecz nie są tu formułowane jako kategoryczne twierdzenia. Na wnioski pełne, definitywne pozwolić może tylko szczegółowa analiza i ścisła obserwacja wszystkich emisji radiowych niemieckich, czy innych. Doniosłość tej sprawy znalazła wyraz w powstaniu całej gałęzi radiofonii — nasłuchu radiowego, istniejącego we wszystkich większych państwach i zatrudniającego całe sztaby fachowców, techników, znawców zagadnień politycznych i t.d.

Polityka niektórych państw ma jasno wytknięte cele, ściśle sprecyzowaną rację stanu, jednolite kierownictwo. Odbija się to jak w lustrze w propagandzie radiowej tych państw. Nie należy się przy tym dać zwieść trafiającym się sprzecznościom, które mogą być wynikiem błędów, częściej jednak mają taktyczny charakter. Są kraje, których polityka jest wypadkową ścierających się ze sobą tendencji. Wypadkowa przybiera czasem postać prawdziwego, lub pozornego kompromisu, czasem zaś kolejnej przewagi tych lub innych interesów. Poszczególne fazy i etapy występują jaskrawo w przekroju propagandy radiowej. Są wreszcie kraje, których polityka pozbawiona jest wszelkiej logiki i poczucia rzeczywistości. I to także znajduje swe odbicie w ich radiofonii.

W warunkach dzisiejszych — zmagają się wielkich mocarstw i potężnych interesów — radiofonia operuje niestety nagminnie gotowymi formułami. Siłą rzeczy więc — nawet najlepsza — musi upraszczać a tym samym ogłupiać. Musi być podporządkowana świadomej sobie i swych celów polityce. Od tego czy mężowie stanu jakiegoś kraju prowadzą politykę planową zależy poziom i wynik propagandy radiowej. Ta zasada jest nieporównanie ważniejsza od sprawności organizacyjnej kierownictwa propagandy, czy talentów współpracowników: Szekspir i Taylor nic by nie wskórali bez jasnych dyspozycji, co mają wpajać w swoich i obcych. Nie znaczy to wcale by sprawy organizacyjne były czymś podrzędnym. Wręcz przeciwnie radiofonia powinna być oparta na zasadach naukowych, zaś na układ programu powinni mieć wpływ eksperci z dziedziny psychologii tłumu, znawcy krajów dla których audycje są nadawane, fachowcy badający reakcje słuchaczy i propagandę obcą. Dodajmy, że nawet w warunkach dzisiejszych radiofonia musi się przygotowywać do wielkiej roli oczekującej ją po wojnie w zakresie wychowywania społeczeństw.

Ten wpływ wychowawczy musi przy tym objąć nie tylko społeczeństwa którym amputowano świadomie wszelkie poczucia moralne. Nawet kraje najwyższego poziomu cywilizacyjnego wykazują nieraz zatrwające braki wyrobienia opinii publicznej. Walter Lippmann oskarżył niedawno swój kraj o brak polityki zagranicznej. Nie wypowiadając się w sprawie meritum jego twierdzeń można stwierdzić, że nigdzie chyba brak rzeczywistych wytycznych i określonego planu nie przebiega tak wyraziście, jak w propagandzie radiowej. Polityka jest sztuką kształtowania rzeczywistości w wybranym kierunku przy równoczesnym liczeniu się z faktami, czyli rzeczywistością danej chwili. Nie istnieje realizm romantyczny jak nie ma realistycznego romantyzmu. Nie można walczyć z geografją z większym skutkiem, niż z prawem ciężenia lub prawem Gay Lussaca. Najgenialniejszy polityk nie zdoła zmienić faktu, że ciało jego zanurzone w wodzie traci tyle na wadze, ile waży woda w tej samej objętości. Trudno jest gąszczem frazesów zamaskować istotny zamiar i plan, lecz trudniej jeszcze ukryć pustkę. Pustka jednakże nie oznacza wcale próżni idealnej, której jak

wiadomo przyroda nie znosi. Oznacza tylko chaos, przez to groźny, że na swój sposób także oddziałują na rzeczywistość. Nie można mówić o świetlanej ciemności, czystych plamach, szkarłatnej bieli—to tylko zestawienia słów wzajemnie się wykluczających. Tak samo nie wolno bez konfliktu z logiką mówić o „polityce biernej”, „polityce wyczekiwania”. Jest w tym tyleż treści co w „milczącej radiofonii”. W polityce jak i w radio wszystko jest czynnością. Są tylko: różny poziom i różne wyniki.

* * *

Jak już wspomniano, propaganda radiowa nie jest prowadzona pod kątem naukowym t.j. w oparciu o psychologię społeczną. Wojna totalna, wojna mózgow, maszyn i potencjałów gospodarczych, zaprzęga do swego rydwanu, — czy raczej wpręga w swój kierat — całe społeczeństwa, całą gospodarkę globu, wszystkie bodaj gałęzie nauki. Ale — rzecz dziwna — nie korzysta wcale z usług tej wiedzy, której pomoc powinna by się wydawać koniecznością: psychologii. Nie chodzi tu tyle o psychologię jednostki, zwłaszcza w znaczeniu psychiatrycznym, ta czyni swoje. Leczy szoki i urazy, przeprowadza testy kwalifikacyjne lotników marynarzy, spadochroniarzy (choć zdanie jej nie zawsze jest brane pod uwagę).

Nie zabiera głosu, gdyż nie jest proszona o radę, psychologia zbiorowości. Wojnę dzisiejszą nazywa się także wojną nerwów. Jakże niesłusznie! Jeżeli nawet czynione są w tej dziedzinie jakie pociągnięcia to tylko przypadkiem, na ślepo, w najlepszym razie „na chłopski rozum”. Do tego bowiem sprowadza się właściwie dzisiaj oddziaływanie na nerwy przeciwnika, czyli propaganda. Naloty nekające, „tajna broń”, „mylenie” przeciwnika, pogłoski, pogroźki i zapowiedzi — to środki tak prywatywne, jak kusza, czy oszczep. A gdy nawet czasem okazują się skuteczne to często w sposób obosieczny, lub nawet zabójczy dla tego kto się nimi posługuje.

Jak wiadomo, w czasie poprzedniej wojny neurozy wojenne szerzyły się przede wszystkim w armii niemieckiej i walcie przyczyniły się do jej klęski. Główną zaś ich przyczyną, zdaniem Freuda i szeregu innych uczonych niemieckich, było złe traktowanie żołnierzy przez przłożonych — stosunek twardy, oschły i niepozwalający na dostrzeżenie w nich człowieka — następstwo bezmyślnego drillu płynącego z ducha militarystyki prukiego.* Kto wie, czy rzucone obecnie przez Goebbelsa wewanie do Niemców, by mordowali lotników alianckich, nie okaże się dla losów Trzeciej Rzeszy psychiczną puszką Pandory, jakąś neurotorpedą, nabitą psychozami, urazami i natręctwami, które, działając w różnorodny sposób z obu stron frontu, rozluźniają jedne hamulce a wytwarzają inne, przyczynią się poważnie do znacznego przyspieszenia upadku państwa hitlerowskiego. A przecież ani Moltke, czy Hindenburg, ani Goebbels nie chcieli podminowywać ducha armii niemieckiej i społeczeństwa, nie działali też na skutek złośliwych podszeptów swych potencjalnych, czy aktualnych wrogów. Nie ma jednak takiego błędu do którego nie byłaby zdolna niewiedza ludzka.

Nie chodzi tu zresztą bynajmniej o wykazanie tezy, że współczesna psychologia społeczna potrafi sporządzić broń propagandową równie precyzyjną jak w innych zakresach czyni to fizyka, chemia, lub nawet ekonomia. Jakkolwiek ostatnich lat kilkadziesiąt znaczny szereg odkryć niezmiernej doniosłości, dzięki którym przeszliśmy ze stanu niemal niezmiennego od czasów Arystotelesa do zaczątków badań opartych na metodach stosowanych przez naukę nowoczesną — jest to jednak zaledwo rzucenie pierwszego snopa promieni w mroki spowijające naszą wiedzę o człowieku,

* Tu warto zaznaczyć, że Suworow uważał za główny powód braków współczesnej mu armii rosyjskiej...wpływy niemieckie w jej organizacji i szkoleniu, wzory fryderycjańskie stanowiące kulminację drillu i dyscypliny katektycznej —ślepiej, niewyrozumowanej, wpajanej dosłownie kijem.

mroki, po których pelgają liczne błędne ogniki różnych pseudo-systemów psychologicznych. Nie można, rzecz jasna, stosować w propagandzie freudyzmu, jungizmu, czy adleryzmu. Można natomiast i trzeba liczyć się z faktami stwierdzonymi i uznanymi przez wszystkie teorie i kierować się wnioskami płynącymi z tych faktów.

Do faktów takich zaliczyć trzeba istnienie różnych więzi psychicznych stanowiących podstawę istnienia psychicznych zbiorowości, które przeważnie można by zobrazować graficznie w postaci kół zachodzących na siebie. Niektóre czynniki wiążące są słabe i wówczas — przy kolizji zbiorowisk silnie związanych — poszczególne wycinki kół o słabej więzi wykazują tendencje centryfugalne i dążenie do zerwania więzi. Gdy więź jest silna — w obrębie każdej z zaciągających się grup psychicznych wytworzą się potężne antagonizmy. Do pierwszej kategorii można zaliczyć takie zbiorowości jak uczeni, lub artyści i pisarze, których poczucie międzynarodowej łączności spada zwykle do zera w czasie wojny: niepomiernie silniejsze więzi narodowe i państwowe powodują rozszczępienie tych grup. Natomiast ani wojna, ani inne formy konfliktów międzypaństwowych, nie mogą zerwać więzi tak silnych jak te, które tworzą zbiorowości psychiczne takie, jak religijne, czy narodowe.

Brak dostatecznych danych dla przyjęcia, że rządzące koła niemieckie świadomie opierały się na tych przesłankach. Faktem jest jednak, że szereg ich poczynań miało za wynik znaczne rozluźnienie jednych i wzmocnienie się innych, a nawet powstanie zupełnie nowych więzi. Walka z religią i partiami politycznymi, terror, rozpalanie hypernacionalistycznych uczuć, wytworzenie zbiorowego poczucia odpowiedzialności, wpajanie przekonania, że wszyscy Niemcy ponosić będą następstwa działań armii, czy partii hitlerowskiej — to zjawiska niewątpliwie należące do tego rzędu następstw.

Tak jak poszczególne zbiorowości są morfologicznie niezmiernie różnorodne, tak wielorakie są tworzące je więzi. Ponieważ jednak mamy zawsze do czynienia ze zjawiskami o charakterze teleologicznym — więc stosowane przez propagandę naukową środki oddziaływania, nawet gdy są natury czysto mechanicznej, muszą zawsze ten moment uwzględniać. Równocześnie zaś pamiętać trzeba, że reakcje grupy psychicznej są zawsze irracjonalne, jakkolwiek analiza oparta na odpowiednich badaniach potrafi je mimo to przewidzieć. Stąd potrzeba dobierania środków nieraz na pozór paradoksalnych. Tak np. psychologia może orzec, że najbardziej odpowiednim momentem do bombardowania jest godzina 12 w nocy, lub 3 po południu, gdyż wówczas wywołuje się największą panikę, lub bezradność.

Gdyby od psychologów zażądać wyjaśnienia prazródół energii psychicznej wiążącej ludzi w luźne, czy trwałe zbiorowości oraz utajonych przyczyn takich a nie innych reakcyj i działań mechanizmu psychiki zbiorowej — otrzymałoby się zapewne tyleż różnych odpowiedzi, ilu psychologów brało udział w ankiecie. Jednakże pewne procesy (zwłaszcza nam współczesne), genetyka poszczególnych więzi, kierunkowe przemiany i reakcyj zaszłych i przyszłych, słowem cały metabolizm psychiczny społeczeństwa, a w szczególności Niemiec dzisiejszych, uchwytne są niemal bez reszty dla nowoczesnej psychologii. Jeżeli zaś chodzi o Niemcy to jest tak tym bardziej, że ze względu na obfitość deformacyj patologicznych dostarczają one bez przerwy materiału nader jaskrawego a przez to ułatwiającego znacznie obserwację. Materiał ten pozwala więc na orzekanie ze znaczną dozą prawdopodobieństwa czego należy unikać i co należy czynić, by zerwać spojenia wiążące dzisiejszy gmach społeczny Niemiec.

Tak jak stosownie do potrzeb pewnej sytuacji używany jest taki a nie inny kaliber pocisków artyleryjskich, czy typ bomb, tak też na każdym konkretnym odcinku wojny nerwów użyta być musi, odpowiednia metoda. Inne oczywiście musi być podejście, gdy chodzi o oddziaływanie na zgrupowanie wojska, inne, gdy przedmiotem akcji rozsadzającej będzie zespół

robotników bombardowanej fabryki, jeszcze inne, gdy chodzi o głodujący proletariát stolicy. Akcja psychologiczna może być synchronizowana z militarną, poprzedzać ją, lub następować po niej albo też może być prowadzona zupełnie niezależnie.

Nie należy sądzić, że środki stosowane w ramach naukowo ujętej akcji muszą być zawile. Reakcje zbiorowości, zwłaszcza doraźne, są zwykle prymitywne więc takżeż z reguły muszą być i bodźce. Psychika zaś niemiecka, mimo swej całej chorobliwości jest jeszcze bardziej pierwotna, niż psychika innych narodów.* Istota rzeczy polega na stosowaniu właściwych środków we właściwej chwili. Tu zaś tylko psychologia dawać może trafne wskazania.

Już taki pobieżny przegląd cech psychiki zbiorowej świadczy, że radiofonia jest predestynowana, by stać się najpotężniejszym orężem w wojnie nerwów. Jest nim zresztą i dziś w praktyce, ale bez naukowego zaplecza. A pamiętać trzeba, o fakcie niezmiernej doniosłości: że gdy machina wojenna spełni wreszcie swe zadanie i w zdobytym Berlinie, czy Monachium nastąpi zawieszenie broni, a nawet gdy skończy swe prace konferencja pokojowa — wojna nerwów nie ustanie. Toczyć się będzie dalej z tymi właściwościami niemieckiej psychiki zbiorowej bez ujarzemia których niewożliwy jest trwały pokój. Drogi zaś ku temu wytyczyć nie może żadna komisja wojskowa lub polityczna, czy nawet pedagogiczna, lecz tylko psychologia.

Przeszło 10 lat temu znany psycholog brytyjski prof. McDougall wołał o wykształcenie wielkiego zastępu psychologów, których praca stałaby się podwaliną wszystkich nauk społecznych, twierdząc, że tylko w ten sposób można ocalić od zagłady naszą ginącą cywilizację. Niestety, wołanie jego, jak dotąd, pozostało bez cha.

TOMASZ JANTA-POLCZYŃSKI

O ZŁOCIE

Dyskusje nad przyszłym międzynarodowym systemem pieniężnym, jakie wyłoniły się w związku z ogłoszeniem planów monetarnych brytyjskiego i amerykańskiego a ostatnio opublikowaniem wspólnej deklaracji ekspertów monetarnych, wznowily zainteresowanie przyszłą rolą złota. Czy złoto będzie nadal podstawą światowego systemu pieniężnego, a jeżeli tak, to w jakiej formie? Obecna wojna, w jej specyficznych warunkach gospodarki, opartej przede wszystkim na współpracy gospodarczej bez precedensu między Stanami Zjednoczonymi i Wielką Brytanią, wykazała zupełną zbędnosć złota dla zapewnienia maximum wytwórczości. I tak w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie zatrzymano zupełnie, w Australii poważnie ograniczono wydobywanie złota, aby zaoszczędzone tą drogą siły robocze i maszyny wykorzystać dla produkcji zbrojeniowej. Czy można więc liczyć, iż po wojnie nastąpi demonetyzacja złota, że rola monetarna tego kruszcu ulegnie stopniowej likwidacji?

Odpowiedź na to pytanie zawiera opublikowana w końcu kwietnia 1944 r. wspólna deklaracja ekspertów monetarnych. Wskazuje ona, iż pozycja złota jako instrumentu rozrachunków międzynarodowych będzie jednak nadal w przyszłym światowym systemie pieniężnym utrzymana, a tym samym wartość złota zabezpieczona. Wypada dodać, iż deklaracja powyższa wydana została pod egidą ekspertów monetarnych Wielkiej

* Znane jest powiedzenie Bismarcka, że Bawarczyk jest czymś pośrednim między Austriakiem a człowiekiem. O własnych rodakach dyskretnie zamilczał.

Brytanii i U.S.A., a więc dwóch krajów właśnie najbardziej problemem złota zainteresowanych — pierwszy jako reprezentujący Unię Południowo-Afrykańską, największego na świecie producenta złota, drugi jako posiadacz 3/4 światowego zapasu tego kruszcu. Dobrobyt W. Brytanii jednak zależny jest przede wszystkim od możliwie jak największego rozwoju międzynarodowego handlu. Toteż, jak to potwierdza niedawna debata na tematy monetarne w parlamencie brytyjskim, W. Brytania nie chce powrotu do systemu waluty złotej takiego, jaki miała ona do chwili dewaluacji funta w 1931 r. Anglia nie chce aby waluta jej związana była zbyt sztywno ze złotem, a poprzez złoto z wewnętrzną sytuacją gospodarczą innych krajów, a zwłaszcza z ulegającą częstym wahaniom koniunkturalnym gospodarką Stanów Zjednoczonych. W. Brytania dążąca do pełnego zatrudnienia, chce uniezależnić swą politykę gospodarczą od tak niepewnego czynnika jakim jest produkcja złota i od tak kłopotliwej okoliczności jaką jest posiadanie odpowiednich zapasów tego kruszcu. Należy więc liczyć się, iż mimo wszystko w powojennym okresie rola monetarna złota zmaleje. Inne instrumenty regulacji zobowiązań międzynarodowych (przede wszystkim wzajemne kredyty) wysunięte będą na pierwszy plan, a równocześnie nastąpi ściślejsza współpraca pomiędzy władzami monetarnymi poszczególnych krajów. Złoto przestanie być jedynym i ostatecznym arbitrem światowego systemu monetarnego.

O przyszłości złota decydują jednakże nie tylko deklaracje i uchwały ekspertów monetarnych. Znaczenie ma również fakt, iż na skutek wypadków spowodowanych wojną, wiele bardzo osób w różnych krajach, a zwłaszcza w krajach gospodarczo mniej rozwiniętych, zaczęło znów wierzyć w złoto, uważając je za jedyną pewną lokatę kapitału. Osoby te gotowe są wiele zapłacić, a nawet wiele ryzykować, aby złoto to zdobyć.

Na tle tym ciekawym bardzo zjawiskiem są mające od jakiegoś czasu miejsce w szeregu krajów neutralnych i sojusznicych transakcje t.zw. „wolnym” złotem. Jest to złoto, sprzedawane oficjalnie przez władze danego kraju na wolnym rynku, t.zn. po cenie znacznie wyższej od ceny, jaka wynika z oficjalnego kursu danej waluty do dolara. Podstawą światowej ceny złota jest obecnie cena po jakiej Stany Zjednoczone, największe państwo wierzycielskie świata a równocześnie jedyny z wielkich krajów, którego waluta nadal oparta jest o złoto, kupuje i sprzedaje ten kruszec. Cena ta, ustalona uchwałą Kongresu, wynosi 35 dolarów za uncję czystego złota.

Dlaczego więc w omawianych krajach, pomimo ustalenia kursu ich walut do dolara, złoto sprzedawane jest na wolnym rynku po cenie wyższej od oficjalnej? Czy znaczy to, że cena złota w Stanach Zjednoczonych ustalona została zbyt nisko, i że złoto w rzeczywistości większą posiada wartość? Byłoby zupełnie fałszywe wyciągać tego rodzaju wnioski. Należy pamiętać, iż t.zw. „wolne” złoto nie jest sprzedawane za efektywne dolary, lecz za walutę miejscową danego kraju. Waluty te są w rzeczywistości zdeprecjonowane w stosunku do dolara (a więc i złota). Ich wewnętrzna siła nabywcza spadła więcej, niż wewnętrzna siła nabywcza dolara, co wyraża się stosunkowo większym wzrostem cen wewnętrznych w tych krajach niż w Ameryce. Równocześnie jednak, na skutek ścisłych ograniczeń dewizowych kurs tych walut do dolara sztucznie jest utrzymywany. Z drugiej strony wartość złota, podobnie jak każdego innego towaru, zależy od stosunku popytu do podaży. Popyt na złoto wynika przede wszystkim z jego funkcji monetarnej, gdyż lwia część istniejącego na świecie zapasu złota znajduje się w skarbcach banków emisyjnych, gdzie pełni rolę rezerwy monetarnej. Gdyby przpuścić na chwilę, iż złoto to zostanie zdemonetyzowane, t.j. iż władze monetarne przestałyby nabywać i przechowywać złoto, jednocześnie rzuciłyby wszystkie posiadane zapasy na rynek, nie ulega wątpliwości, że popyt na złoto, oparty wówczas już głównie na zapotrzebowaniu tego metalu dla celów przemysłowych

ewentualnie na potrzebach paru zagorzałych tezauryzatorów sprawiłby, iż wartość złota zapewne nie byłaby wyższa od wartości srebra.

Jaki cel przyświeca władzom monetarnym krajów, które urządzają sprzedaż t.zw. „wolnego” złota? W wszystkich tych krajach ma miejsce mniej lub więcej zaawansowana inflacja pieniężna — inflacja o wiele dalej posunięta niż to ma miejsce np. w Anglii czy Ameryce. Inflacja ta wywołana jest przede wszystkim wojną, względnie, w krajach neutralnych, wynika ona z konieczności utrzymywania kosztownego bardzo stanu wysokiego pogotowia militarnego. Z drugiej strony inflacja ta spotęgowana jest brakiem towarów na rynku, co wynika przede wszystkim z trudności transportowych (zwłaszcza jeśli chodzi o przywóz z zagranicy), a także i produkcyjnych. Wobec znacznie gorzej zorganizowanego rynku pieniężnego tych krajów niż np. rynku angielskiego, drenowanie zbędnej siły drogą akcji oszczędnościowych czy przez wypuszczanie pożyczek państwowych jest w wielu wypadkach mało skuteczne. Sprzedaż „wolnego” złota służyć ma więc m.i. jako neutralizowanie nadmiernej siły nabywczej — złoto zakupywane jest bowiem głównie w zamiarach tezauryzacyjnych. Transakcje „wolnym” złotem dla tego celu miały miejsce w Chinach, Indiach i Egipcie, ale również w Argentynie, Meksyku i Portugalii, a nawet w Szwajcarii.

W krajach rolniczych i gospodarczo zacofanych jak np. w Chinach i Indiach transakcje „wolnym” złotem mają też inne jeszcze znaczenie. Jednym z rezultatów inflacji jest, iż drobni rolnicy, straciwszy zaufanie do pieniądza papierowego zaprzestali dostaw do miast, co w prymitywnych częstokroć warunkach zaopatrzenia rynków miejscowych oraz niemożności w czasie wojny uzupełnienia dostaw tych importem wywołać może groźne konsekwencje. Było to m.i. jedną z głównych przyczyn epidemii głodowej jaka miała miejsce w ubiegłym roku w Indiach. W Chinach sprzedaż „wolnego” złota odgrywa jeszcze większą rolę. Od chwili zamknięcia drogi burmeńskiej Chiny odcięte są zupełnie od świata. Prymitywne warunki gospodarcze, znikoma pomoc materiałowa z zewnątrz, która tymczasem dostarczana może być tylko drogą powietrzną, a wreszcie fakt, iż głównym środkiem finansowania wojny są dla rządu chińskiego nowo-wydrukowane banknoty, wszystko to powoduje, iż inflacja w Chinach przypominać zaczyna w swych rozmiarach inflację w krajach Centralnej Europy bezpośrednio po wielkiej wojnie. Aczkolwiek sprzedaż „wolnego” złota nie może być na taką inflację radykalnym lekarstwem, tym niemniej może w pewnym chociaż stopniu inflacji tej przeciwdziałać, a ponadto umożliwi rządowi chińskiemu dokonywanie na rynku miejscowym zakupów, których nie dałoby się skutecznie z pieniądź papierowy.

Władze chińskie zdają sobie sprawę, iż sprzedawane na wolnym rynku złoto odpływać może drogą nielegalną do obszarów zajętych przez Japończyków, ale rozumują całkiem słusznie, iż stratę tę kompensuje nielegalny wwóz zakupionych za to złoto towarów, których inaczej Chiny nie mogłyby znikąd uzyskać. Jako dowód jak ważne zagadnienie to stało się dla Chin posłużyć może fakt, iż w końcu ub. roku 150 ładunków wielkich samolotów transportowych latających z Indii do Czunkingu stanowiło złoto dla rządu chińskiego.

Ceny „wolnego” złota w przeliczeniu na dolary kształtowały się w różnych krajach różnie, zależnie od stopnia inflacji. I tak np. w Indiach cena w przeliczeniu w/g oficjalnego kursu dolara doszła w ub. roku do \$77 za uncję, w Egipcie do \$66, w Argentynie ok. \$44 a w Meksyku ok. \$39 tylko. Charakterystycznym objawem przy tym jest, iż cena złota, przeciętnie biorąc, wzrosła na ogół mniej niż ceny innych towarów. Zdawałoby się to wskazywać, iż mimo wszystko w świadomości ludzkiej wiara w złoto została zachwiana, i że wzmożony popyt na kruszec ten wynika głównie z braku innych możliwości uchronienia się od strat. Z drugiej

strony jednak może to też świadczyć o istniejących obawach, że po wojnie cena złota zostanie przez Amerykę obniżona.

Rządy państw sprzedających w swym kraju „wolne” złoto realizują oczywiście przy tego rodzaju transakcjach znaczny zysk w walucie miejscowej. Ponadto, ponieważ kraje te mają obecnie, czy to w związku z pobycem wojsk amerykańskich na terenie danego kraju, czy na skutek specjalnych zakupów dokonywanych przez U.S.A. duże wpływy w zamienialnych na złoto dolarach, ich zapasy kruszcowe pomimo sprzedaży „wolnego” złota nie koniecznie ulegają zmniejszeniu.

Inaczej natomiast przedstawia się sprawa jeżeli chodzi o wpływy tych krajów za dostarczone W. Brytanii towary lub usługi, zwłaszcza jeżeli kraje te należą do bloku sterlingowego. W. Brytania płaci bowiem za swoje zakupy funtami sterlingami (niezamienialnymi na złoto), które zapisywane są na rachunek tych krajów w bankach londyńskich. Powyższa procedura odnosi się np. do Indii. Nota bene umowa płatnicza zawarta między Indiami i W. Brytanią w 1939 r. i ustalająca zasady pokrywania wydatków wojennych w związku z przystąpieniem Indii do wojny, okazała się tak dla kraju tego korzystna, iż od wybuchu wojny Indie nie tylko spłaciły cały swój dług wobec W. Brytanii, który reprezentował inwestycje brytyjskie w Indiach w ciągu ostatnich 75 lat, ale ponadto Indie zdołały w międzyczasie stać się wierzycielem Anglii na taką sumę. Aczkolwiek uzyskane przez Indie sumy akumulowane są na rachunkach bankowych w Londynie, nie zmienia to jednak faktu, iż w międzyczasie rzeczywisty ciężar gospodarki wojennej ponoszony jest przez społeczeństwo hinduskie, którego rzeczywiste dochody na skutek wywołanej gospodarką wojenną inflacji katastrofalnie zmalały. Anglia niemniej zainteresowana jest w ograniczeniu o ile możności inflacji w Indiach, powodującej wyższe cen na artykuły i usługi, które Anglia musi tam nabywać. Toteż władze brytyjskie wzięły do Indii swoje złoto aby sprzedać je tam na „wolnym” rynku. Inkasują one przy tym poważny zysk w rupiach, który obracany jest oczywiście na pokrywanie wydatków wojennych W. Brytanii w Indiach.

Znamienną na transakcje „wolnym” złotem była reakcja Unii Poł. Afrykańskiej, największego na świecie producenta złota. W ogłoszonej w kwietniu br. mowie gen. Smuts oświadczył, iż rząd Poł. Afryki zaniepokojony jest istnieniem czarnego rynku na złoto i zapowiedział, że Unia będzie się starała go zwalczać. Z drugiej strony jednak gen. Smuts oświadczył, iż są w toku negocjacje z rządem brytyjskim, aby w uzyskanych ze sprzedaży złota na wolnym rynku w Indiach i Egipcie zyskach korzystał również rząd Poł. Afryki. Pismo angielskie „The Economist” z 8 kwietnia słusznie podkreśla sprzeczności w oświadczeniu gen. Smuts’a, który wypowiada się przeciw czarnemu rynkowi, a jednocześnie chce partycypować w zyskach wynikłych z istnienia tego rynku. Pismo podkreśla, iż oficjalną cenę 168 szyl. według której stosownie do kontraktu zawartego na czas wojny W. Brytania kupuje złoto, należy uznać za wystarczającą, gdyż zyski jakie rząd brytyjski stąd uzyskuje obracane są na pokrycie kosztów wojny z Japonią, co przecież leży tak samo jak najbardziej w interesie Unii Poł. Afryki.

Innym charakterystycznym głosem jest oświadczenie złożone niedawno w parlamencie Poł. Afrykańskim przez Ministra kopalń p. Stallard. P. Stallard stwierdził, iż jeżeli po wojnie ustanowiony będzie jakiś międzynarodowy pieniądz, jak np. przewidziany planami monetarnymi „bancor” czy „unitas”, lub jakakolwiek inna „papierowa” waluta, Unia Poł. Afrykańska nie będzie sprzedawać złota za ustaloną w tym papierowym pieniądzu cenę, lecz na wolnym rynku, gdzie ceny są znacznie wyższe. P. Stallard zdaje się nie brał jednak pod uwagę faktu, iż w razie osiągnięcia stabilizacji walut drogą międzynarodowego porozumienia wolny rynek na złoto przestanie istnieć.

Obrona przez Unię Poł. Afrykańską roli i znaczenia złota jest oczywiście zrozumiała, gdyż gospodarka tego kraju oparta jest przede wszystkim o produkcję tego metalu. Drugim największym producentem na świecie jest Rosja, ale zainteresowanie tego kraju w problemie złota ma inne podstawy. Produkcja złota nie jest ani najważniejszą gałęzią gospodarki rosyjskiej, ani też złoto nie jest w najmniejszym stopniu związane z wewnętrznym ustrojem monetarnym sowieckim. Złoto potrzebne jest Rosji przede wszystkim dla zakupów na rynkach zagranicznych, które są dla Rosji pewnego rodzaju „wolnym” rynkiem. Według obliczeń niektórych ekspertów brytyjskich, koszt produkcji jednej uncji złota wynosi w Rosji ok. \$2, w Poł. Afryce ok. \$21, podczas gdy, jak już wspomniano, oficjalna cena w U.S.A. wynosi \$35. Różnica z kosztach produkcji tłumaczy się m.i. stosunkowo tanią siłą roboczą w Rosji, choć nie trzeba zapominać, iż w Poł. Afryce w kopalniach złota zatrudnieni są nisko stosunkowo płatni Murzyni. Główna różnica wynika z różnych warunków naturalnych. Rosja posiada pokłady aluwialne, eksploatowane na powierzchni, podczas gdy wydobywanie złota w Poł. Afryce wymaga kosztownych inwestycji i urządzeń kopalnianych.

Rosja wypowiedziała się już kilkakrotnie w sensie przychylnym za oparciem po wojnie międzynarodowego ustroju pieniężnego o złoto — daje jej to bowiem, przy zachowaniu jej obecnych form gospodarki wszelkie z tym związane awantaże, bez konieczności ponoszenia wynikających z przyjęcia standardu złota niewygód i trudności. W Stanach Zjednoczonych jak wiadomo, przeważająca część opinii, zwłaszcza sfer gospodarczych i finansowych również jest za powrotem po wojnie do standardu złota. Stanowisko rosyjskie w tej sprawie nie może jednak być dla U.S.A. w pełni zadawalające.

Jak donosi prasa, władze sowieckie prowadzą obecnie pertraktacje o wielkie zakupy po wojnie maszyn, urządzeń i innych towarów na sumę 10 miliardów dolarów. Płacić chcą prawdopodobnie w przeważnej części złotem, gdyż problemy odbudowy nie pozwolą zapewne Rosji na większy eksport innych artykułów. Jednakże Ameryce nie zależy tyle na posiadaniu złota, którego ma ona w tej chwili aż za dużo, co przede wszystkim na oparciu światowego systemu monetarnego o stały miernik, który zapobiegłby fluktuacjom walutowym na przyszłość. Fakt posiadania złota nie stanowi bowiem ani o poziomie życiowym mieszkańców danego kraju, ani też o możliwościach dania im pełnego zatrudnienia. Okoliczności zamierzonej transakcji z Sowietami specjalnie jasno zdają się wskazywać, iż sprzedaż towarów za złoto jest pozbywaniem się prawdziwego bogactwa za symbol o arbitralnie ustalonej wartości, któremu nowe koncepcje gospodarki narodowej opartej o momenty socjalne wrożą powolny zmierzch.

SPIS RZECZY

	Str.
<i>W chwili rozstrzygnięcia</i>	481—485
MARIA KUNCEWICZOWA — <i>Herr Oberst i tatarak</i>	486—490
JULIAN TUWIM — <i>My, Żydzi polscy...</i>	491—494
MARIA PAWLIKOWSKA — <i>Omar Kbayam i droga mleczna, Wiersze</i>	494—495
WACŁAW GRUBIŃSKI — <i>Bajki Ulisesa</i>	495—510
MIECZYŚLAW LISIEWICZ — <i>Z pamiętnych dni (fragment)</i>	510—518
MARIAN CZUCHNOWSKI — <i>Prosta sprawa, Rachunek, Nadmorska</i>	519—520
ALEKSANDER JANTA — <i>Spotkanie</i>	520
BOGUMIŁ ANDRZEJEWSKI — <i>Celnika do faryżeuszów list siłą, wbrew woli, otwarty, Do smakosza</i>	522—523
ZYGMUNT HAUPT — <i>Elektra</i>	524—531
JAN ŁOŚ — <i>Szpieg?</i>	532—539
TADEUSZ POTWOROWSKI — <i>Podróż do piekła</i>	539—542
MIECZYŚLAW PRUSZYŃSKI — <i>Sprawa Polska w Ameryce</i>	542—549
JULIAN STAWIŃSKI — <i>Radiofonia jako narzędzie propagandy</i>	549—555
TOMASZ JANTA POŁCZYŃSKI — <i>O złocie</i>	555—559
JANINA KONARSKA — <i>Rysunek</i>	521

KSAWERY PRUSZYŃSKI



Margrabia
WIELOPOLSKI

Cena 4/6

DOM ZASTAWNY I JUBILER
B. BOSHER & SONS
464, EDGWARE ROAD. LONDON, W. 2. Tel. PADdington 1482.
Pożyczki na futra i biżuterie. Kupno i sprzedaż używanych futer.
Przechowywanie i konserwacja futer

TOWARZYSTWO

UBEZPIECZEŃ



ALLIANCE ASSURANCE COMPANY LTD.

of BARTHOLOMEW LANE, LONDON, E.C. 2.

oddział którego znajdował się w Polsce w Warszawie przy ulicy Wiśniowej 44 zasyla pozdrowienia swoim polskim przyjaciółom i żywi nadzieję, iż będzie miało możność utrzymywania z nimi nadal stosunków po wojnie.

Własna piwnica wyborowych win

OBIADY i



KOLACJE

Le Coq d'or Restaurant

POD KIEROWNICTWEM OSOBISTYM
G. HENRI SARTORI

Stratton St., Piccadilly, W. 1
Tel.: MAYfair 7807-9

POD NOWYM ZARZĄDEM!

RESTAURACJA
FRANCUSKA

LACOUILLE

79, ST. MARTINS LANE.
LONDON W. C.

TEL.: TEMple 8768

W niedziele zamknięta

CASA PEPE

restauracja hiszpańska
znana klienteli polskiej ze
swych doskonałych
specjalności

Osobiste kierownictwo
właściciela

J. SOLSONY

52, DEAN STREET,
róg Shaftesbury Ave., W. 1
tel.: GERrard 3916

JUŻ CZAS

ODNOWIĆ
PRENUMERATĘ

„NOWEJ POLSKI!”

WSZYSTKIE
PRZEKAZY
ŻOŁNIERZY

II KORPUSU

NADCHODZĄ DO
NAS REGULARNIE
ZA POŚREDNICTWEM

POCZTY POLOWEJ

GENNAROS

RENDEZ-VOUS
RESTAURANT

Restauracja, która
wita was uśmiechem
i kwiatami

44, DEAN STREET,
London, W. 1.
Tel.: GERrard 3950

Telephone:

GER. 6847



HONG KONG

CHIŃSKA RESTAURACJA

58-60, Shaftesbury Avenue
London, W. 1.

otwarta do godz. 10 w nocy.

Z pełnym prawem wyszynku trunków

BAYSWATER

HOTEL & RESTAURACJA

(Kierownictwo: D. Fobbri)

121, BAYSWATER ROAD,
LONDON, W. 2.

naprzeciw Hydeparku,
obok Queens Road stacji kolei podziemn.

KUCHNIA KONTYNENTALNA

Obiady po 3/6 od godz. 12 — 3

Kolacje po 5/- od godz. 6:30—10

Dodatkowych opłat nie dolicza się

RESTAURACJA

CHEZ AUGUSTE

Kuchnia francuska

Kierownictwo francuskie

38, Old Compton Street, W.1,
tel. GER. 2655

otwarta w niedziele

3

popularne restauracje z prawem wyszynku

BERTORELLI

19, Charlotte Street, London W.1
tel. MUSEum 4174

70-72, Queensway, London, W.2
tel. BAYswater 3160

23, Shepherds Bush Garden,
London, W. 12
tel. SHEpherds Bush 2662

DUDZICA

najstarsza polska restauracja
W LONDYNIE

11-13 PARK WAY, N.W.1
u wylotu Regent Park

NAJLEPSZA
TRADYCYJNA POLSKA
KUCHNIA

Obiady: 12—3 popoł.

Kolacje: 6—9 wiecz.

W środy zamknięta.

Dojazd: podziemną i autobusami do
przystanku Camden Town

ESPLANADE

HOTEL RESTAURACJA

2, WARRINGTON CRESCENT
LONDON, W. 9. Tel.: CUN 1052

W pokojach ciepła i zimna woda oraz
telefon. Centralne ogrzewanie. Doskonala
kuchnia polsko-rosyjska

MÓWI SIĘ PO POLSKU

Dojazd: Stacja kolei podziemnej
Warwick Ave. na brązowej linii.

3/- Published by „Nowa Polska“ 91 Great Titchfield Street London W 1 and Printed by 3/-
JOHN BALE & STAPLES LIMITED (A STAPLES PRESS COMPANY)
83-91 Great Titchfield Street London W 1

Wylączne przedstawicielstwo ogłoszeń, Advertising Offices, The Carlton Berry Co.,
Grand Buildings, Trafalgar Square, London, W. C. 2. Tel.: ABBey 5108.

Biblioteka
U. M. K.
Toruń

019015/
1944

019015/
1944

NOWA POLSKA

MIESIĘCZNIK

TOM III

NEW POLAND MONTHLY

ZESZYT 9

ROK PIĄTY

KSAWERY PRUSZYŃSKI

M. PAWLIKOWSKA

KAROL ESTREICHER

JULIAN TUWIM

STEFANIA ZAHORSKA

FELIKS TOPOLSKI

PORUCZNIK HERBERT

ALEKSANDER JANTA

JAN PAPUGA

LONDYN

WRZESIEŃ

1944

Billions of Bristles

MOPPED UP EACH MORNING

by the Softening,
Smoothing, Soothing
lather of **PALMOLIVE**
SHAVING CREAM



* *World's Largest Sale*

1/6 & 2/6
Including Tax

Mons. Barranger's
elusive, subtle & fragrant
French Perfumes
The Famous "Cairo"
and
Fragrant "Mes. Fleurs"

Maison Georges

40, Buckingham Palace Road,
London S.W. 1

Only Address

DOM ZASTAWNY
I JUBILER

B. BOSHER & SONS

464, EDGWARE ROAD.
LONDON, W. 2.

Tel. PADdington 1482

Pożyczki na futra i biżuterie. Kupno i
sprzedaż używanych futer.

Przechowywanie i konserwacja futer

Wilerbys

Kawiarnia — Restauracja

Obiady — Podwieczorki taneczne
Kolacje z tańcami

Kuchnia i ciastka domowe

Orkiestra kontynentalna

Melodie polskie

6, Hanover Str., London, W. 1

Tel. MAYfair 0826

VANĚK zaleca klientom oswo-
dzonych krajów zaopat-
rzenie się w kostiumy,
palta na spodzie futrzanym i t. d. z
najlepszych angielskich materiałów.
Wszelkiego rodzaju futra i reperacje.
Na składzie są futra męskie.

VANĚK

4, WILLIAM STREET,
KNIGHTSBRIDGE, S.W.1

a także w Bournemouth

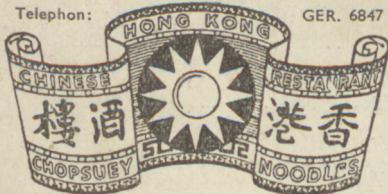
.... A **TYMCZASEM**
ZABAWIAJCIE SIĘ W DOMU
PRZY DŹWIĘKACH PŁYT **DECCA**

019015



Telephon:

GER. 6847



HONG KONG

CHINSKA RESTAURACJA

58-60, Shaftesbury Avenue
London, W. 1.

otwarta do godz. 10 w nocy.

Z pełnym prawem wyszynku trunków

BAYSWATER

HOTEL & RESTAURACJA

(Kierownictwo: D. Fobbri)

121, BAYSWATER ROAD,
LONDON, W. 2.

naprzeciw Hydeparku,
obok Queens Road stacji kolei podziemn.

KUCHNIA KONTYNETALNA

Obiady po 3/6 od godz. 12 — 3

Kolacje po 5/- od godz. 6:30—10

Dodatkowych opłat nie dolicza się

F. P. Agency Ltd.

FOREIGN PRESS AGENCY

Publishers, Distributors
and Booksellers

7, Stirling Mansions
CANFIELD GARDENS, N.W. 6

TEL.: MAIda Vale 2333

Directors: G. H. GLOVER, D. GLOVER

WYDAWCY i KOLPORTERZY
KSIĄŻEK i BROSZUR POLSKICH
ZLECENIA DRUKARSKIE

121-
3

popularne restauracje z prawem wyszynku

BERTORELLI

19, Charlotte Street, London W. 1

tel. MUSeum 4174

70-72, Queensway, London, W. 2

tel. BAYswater 3180

23, Shepherds Bush Garden,
London, W. 12

tel. SHEpherds Bush 2862

DUDZICA

najstarsza polska restauracja
W LONDYNIE

11-13 PARK WAY, N.W. 1

u wylotu Regent Park

NAJLEPSZA

TRADYCYJNA POLSKA

KUCHNIA

Obiady: 12 — 3 popoł.

Kolacje: 6 — 9 wiecz.

Wjśrody zamknięta.

Dojazd: podziemną i autobusami do
przystanku Camden Town

ESPLANADE

HOTEL RESTAURACJA

2, WARRINGTON CRESCENT
LONDON, W. 9. Tel.: CUN 1052

W pokojach ciepła i zimna woda oraz
telefon. Centralne ogrzewanie. Doskonała
kuchnia polsko-rosyjska

MÓWI SIĘ PO POLSKU

Dojazd: Stacja kolei podziemnej
Warwick Ave. na brązowej linii.

SPIS RZECZY

	Str.
<i>Rok piąty..</i>	563
KSAWERY PRUSZYŃSKI — <i>Wspomnienia Normandzkie</i>	564—586
MARIA PAWLIKOWSKA — <i>Światło w ciemnościach...</i>	587
KAROL ESTREICHER — <i>Teoria sztuki czystej</i>	587—600
JULIAN TUWIM — <i>Kwiaty Polskie (fragment)</i>	600—603
STEFANIA ZAHORSKA — „ <i>Smocza 13</i> ”	604—613
PORUCZNIK HERBERT — „ <i>Swińska</i> ” sprawa	613—628
FELIKS TOPOLSKI — <i>Rysunki z podróży na Wschód</i>	615—618
ALEKSANDER JANTA — <i>Ręce</i>	629—633
JAN PAPUGA — <i>Najpiękniejszy rejs</i>	633—640

Margrabia WIELOPOLSKI

Cena 4/6

聚英酒樓

CHOY'S

CHIŃSKA RESTAURACJA

Najlepszą kuchnia chińska w Londynie

otwarta codziennie od 12—10 w nocy

także w niedziele

26—28, Dean Street, London, W. 1

Tel.: GERRard 6086

Dodatkowych opłat nie dolicza się

Warszawski krawiec damski

F. PALMAN

przyjmuje nowe zlecenia i wykonuje w
możliwie najkrótszym terminie
Wielki wybór pierwszorzędných
materiałów na kostiumy i pałta
Ceny umiarkowane

52, BERWICK STREET

kolo Oxford Street, Oxford Circus

London, W. 1

Tel.: GERRard 3068

NOWA POLSKA jest największym i najpoważniejszym dziś periodykiem w języku polskim.

NOWA POLSKA służy polskiej myśli demokratycznej i postępowej, reprezentuje kulturę polską i dociera do wszystkich środowisk inteligencji emigracyjnej na całym świecie.

NOWA POLSKA pozyskała najwybitniejszych pisarzy, publicystów i poetów emigracji. W Nowej Polsce ogłosili utwory następujący autorzy:

Andrzejewski, Baliński, Bloch, Bramson, Broniewski, Cękałski, Ciolkosz, Czuchnowski, Danilewiczowa, Dziewanowski, Estreicher, Eydziatowicz, Falska, Fiedler, Gazda, Górka, Gotlib, Gross, Grosfeld, Grubiński, Haupt, Hemar, por. Herbert, Hertz, Hładki, Horzelski, Janta, Karpiński, Konarska Kosowska, Kot St., Kriedel, Kuncewiczowa M., Kuncewicz J., Łagniewski, Łęczyć, Łobodowski, Malczewski, Malessa, Malinowski, Markowski, Mrozowicki, Muczkowski, Naglerowa, Nagórski, Ordega, Pawlikowska, Parnicki, Piotrowski M., Potworowski, Pragier, Ksaw. Pruszyński, M. Pruszyński, Stonimski, Sokółów, Stańczyk, Stawiński Stempowski, Strasburger, Szerer, Szczepański, Szczerbic, Szczytt-Lednicka, Terlecki, Themerson, Topolski, Tuwim, Tuwimówna, Wąligórski, Wieniewski, Wittlin, Wójcicki, Zahorska, Zamoyski, Zubrzycki, Zweig, Zuławski. Żyw.

Nowej Polski zeszyty miesięczne stanowią objętość większej książki, a są jednak w przystępnej cenie s. 3/-.
Abonament roczny z przesyłką:

w W. Brytanii i Dominiach	£1 16 0
w Ameryce Płn. i Płd.	\$7.50
Roczniki Oprawne za 1942	£1 6 0
„ „ „ 1943	£1 15 0

Adres: 91, Great Titchfield St., London, W.1.
TEL. MUS. 1409.

Zagraniczni abonenci proszeni są o nadsyłanie opłaty z góry w postaci Imperial Postal Orders — lub czeków